

WSTRZĄSAJĄCA ROZMOWA Z OFIARĄ RUCHU LGBTQ

Byłem mężczyzną, zostałem kobietą,
wróciłem do swojej płci

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 29/331 15-21 LIPCA 2019

Jak odzyskać
polską kulturę
- esej Tomasza A. Żaka

**KTO PIŁ
WÓDKĘ
PRZY
OKRĄGŁYM
STOLE**



Zychowicz: Na Wołyniu
AK mogła zrobić więcej

Kłamstwo klimatyczne

CZY EMISJA CO₂ MA WPŁYW
NA WZROST TEMPERATUR?
LEWICA UCZYNIŁA Z WALKI Z GLOBALNYM
OCIEPLENIEM IDEOLOGICZNĄ PAŁKĘ

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



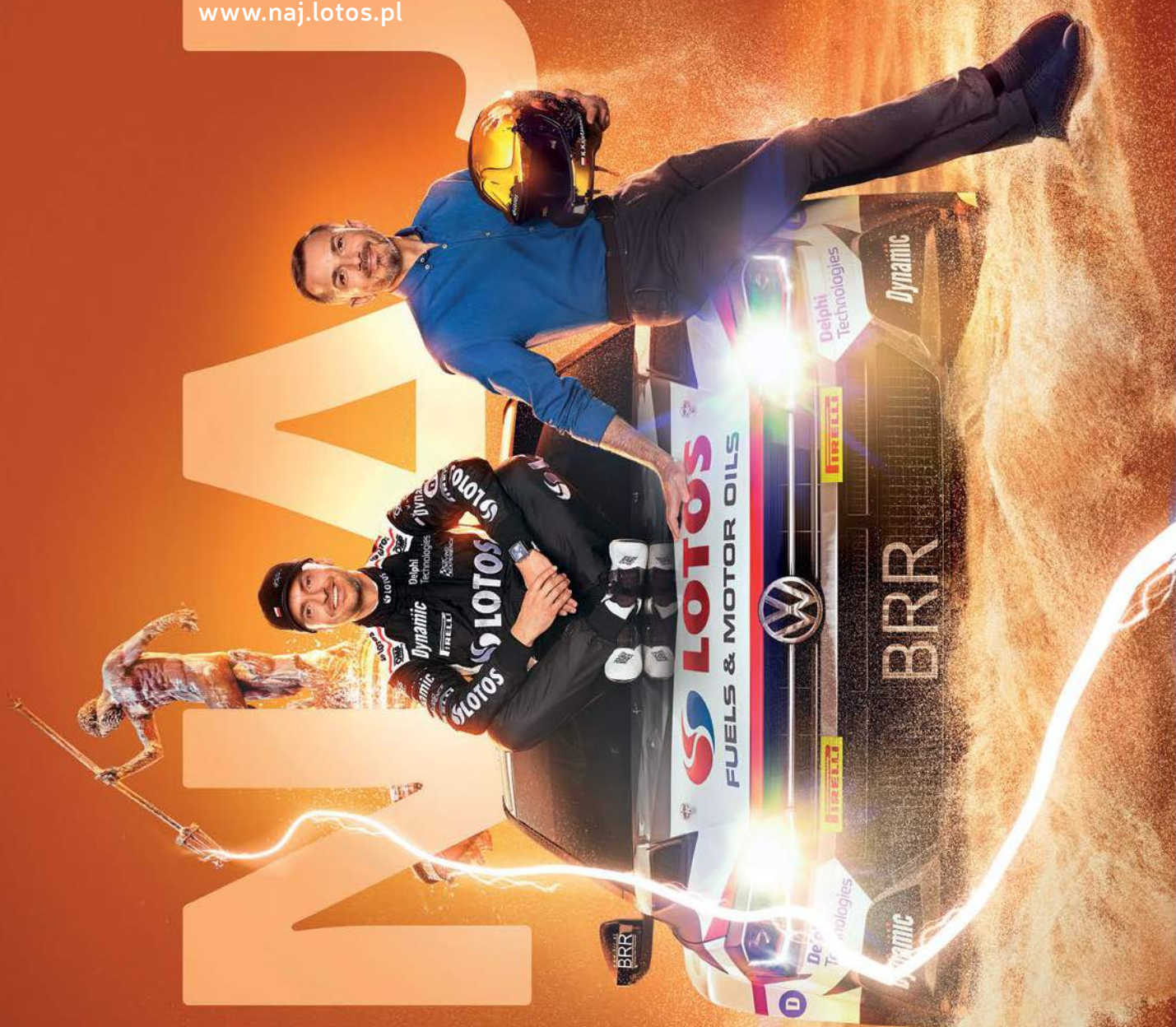
Nakład: 77 tys. egzemplarzy

eprasa.pl/f/a7654

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKAĆ

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sukces i mniejsze zło

Kiedy na początku lipca polskiej delegacji w Brukseli udało się powstrzymać wybór na szefa Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa, niektórzy widzieli w tym przełom i czytelny znak rosnących wpływów Polski w Unii. Sam premier Mateusz Morawiecki wspominał, że „byliśmy o krok, byliśmy o włos od wyboru kandydata radykalnego, kandydata ideologicznej lewicy. Nie chcieliśmy tego kandydata”. Dlatego Polska postawiła na Ursulę von der Leyen, była minister obrony Niemiec, zaufaną polityk obecnej kanclerz, Angeli Merkel. Jak można sądzić ze słów premiera, pani von der Leyen to kandydat, który nie tylko, że nie reprezentuje ideologicznej lewicy, lecz także „ma w sobie potencjał łączenia Europy, nie antagonizuje Europy, nie obraża państw członkowskich”. Nic dziwnego, że inni politycy PiS ogłosili, że wybór pani von der Leyen to wielki sukces rządu, i uznali, że pod jej przywództwem Komisja i inne instytucje

unijne zmieniają nastawienie do Warszawy.

Cóż, nie ma wątpliwości, że utracenie kandydatury Timmermansa było pokazem skuteczności. Jednak jak wielkim? Czy faktycznie Polsce, jak twierdził szef gabinetu, udało się zatrzymać „wybór kandydata radykalnego, kandydata lewicy”? Czy przedstawiciele polskich władz nie okazali w tym przypadku nadmiaru optymizmu? Czy tego, co można uznać za mniejsze zło – wyboru faktycznie lewicowej, zideologizowanej i niechętniej polskim władzom polityk – nazbyt szybko nie próbowali przedstawić jako zwycięstwa? Dając nowej kandydatce na szefa Komisji publicznie tak duży kredyt zaufania, łatwo można wpaść we własne sidła.

Wszystko bowiem wskazuje na to, że pani von der Leyen jest inną kopią pana Timmermansa i może próbować wpływać na Polskę dokładnie w taki sam sposób jak liberalny Holender. Gorzej. Von der Leyen ma za sobą bezpośrednie poparcie kanclerz Merkel, co

czyni silniejszym jej mandat polityczny. Po drugie może powołać się na to, że przecież głosowały za nią kraje V-4. Wreszcie, po trzecie, może będzie chciał się uwiarygodnić w oczach dominujących w mediach liberałów i lewicy. Już teraz, podczas przesłuchań przed PE, w wypowiedziach niemieckiej polityk pojawiły się bardzo niebezpieczne oznaki. Von der Leyen zadeklarowała, że jest zwolenniczką karania państw UE, które nie chcą przyjmować imigrantów, że popiera politykę tzw. neutralności klimatycznej i że chce walczyć o przestrzeganie praworządności w państwach Unii – przypomnę, że za tym zgrabnie brzmiącym sloganem ukrywa się dążenie do ograniczenia suwerenności poszczególnych państw Unii. We wszystkich tych punktach niemiecka polityk zajmuje stanowisko sprzeczne z tym, które reprezentował polski rząd.

Jaki z tego wszystkiego płynie morał? Czy oznacza to, że rząd niesłusznie przeciwstawił się kandydaturze Timmermansa? W żadnym razie. Jednak odrzucenie kandydatury Holendra nie powinno oznaczać tak jednoznacznego poparcia dla von der Leyen. Być może należało na samym początku publicznie i wyraźnie zaznaczyć dystans do nowej szefowej KE. Być może zamiast mówić tyle ciepłych słów o niemieckiej kandydatce trzeba było wyraźnie wskazać, że Polska udziela jej wyłącznie warunkowego poparcia. Nie miałyby to oczywiście praktycznego znaczenia – bo nie Polska i nie Węgry rozdają karty w Unii. Dawałoby jednak lepszą pozycję przetargową. Ułatwiłoby też krytykę przyszłych posunięć niemieckiej komisarz, jeśli te będą takie, jak wynika z jej lewicowych poglądów. ©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

NOWA RELIGIA – KLIMATYZM

Dlaczego musimy „ratować” świat

22 TOMASZ CUKIERNIK

SZALEŃSTWO KLIMATYCZNE

KRAJ

26 PIOTR SEMKA

LEWICA SPARALIŻOWANA

Mętnik w szeregach opozycji

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI

KONICZYNKA NA KATAFALKU

32 ROZMOWA Z POLITOLOGIEM

RAFAŁEM CHWEDORUKIEM

ELEKTORAT NIECHĘCI

34 ŁUKASZ WARZECHA

WARIANT WELLSA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

WAKACJE Z PLASTIKIEM

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

BAJORO PLATFORMY

KULTURA

42 TOMASZ A. ŻAK

CZAS NA NOWY POCZĄTEK

O czym trzeba rozmawiać w rezerwacie

48 ROZMOWA

Z ALEKSANDRĄ ZIÓŁKOWSKĄ-BOEHM

WAŃKOWICZOWSKIE REKOMENDACJE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM

GDYBY PUTIN NIE ZAJĄŁ KRYMU, BYĆ MOŻE JUŻ BY NIE ŻYŁ

Nie wysadzimy Rosji w kosmos

59 PAWEŁ CHMIELEWSKI

HEREZJA NA SZCZYTACH KOŚCIOŁA

HISTORIA

62 PIOTR ZYCHOWICZ

WOŁYŃ BEZ OCHRONY

Jak można było uratować Polaków przed UPA

66 SŁAWOMIR SIWEK

WÓDKA NA OKRĄGŁYM STOLE

ŚWIAT

68 ROZMOWA Z WALTEREM HEYEREM

IDEOLOGIA „ZMIANY PŁCI” TO ZBRODNIA

Były transseksualista ostrzega: trzeba przestać słuchać aktywistów LGBT

70 JAKUB WOZINSKI

TĘCZOWE AMBASADY

72 WITOLD REPETOWICZ

KRĘTA DROGA LIBIJSKIEGO MARSZAŁKA

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z RAFAŁEM MILCZARSKIM

JESTEŚMY LINIĄ O ZASIĘGU GLOBALNYM

Prezes Polskich Linii Lotniczych LOT: budowa CPK przyniesie wiele korzyści

80 JACEK PRZYBYLSKI

POLSKI ZŁOTY INTERES

84 STEFAN SĘKOWSKI

DYSKRETNY UROK ETATYZMU

STYL

88 TOMASZ KAŻMIEROWSKI

KAROLENSJA

Imperium wina,
las oliwy, morze sardeli

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

PRZĘŁOMY W HEMATOONKOLOGII

Droży Czytelnicy,

Dziś trzy listy i krótkie wyjaśnienie. Zachęcamy do przesyłania korespondencji. E-maile prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

**„Ohydny czyn Mikołajczyka”,
Piotr Zychowicz, „DRz” 26/2019**

Szanowna Redakcjo, Piotr Zychowicz pisze: „Mikołajczyk był nie tylko fatalnym politykiem, lecz także człowiekiem wybitnie niemoralnym”. To jego ocena. Podaje też – bardzo obciążające – fakty, których nie znałem (nie jestem historykiem). [...]

Dla pełni obrazu trzeba dodać, czym tu dla nas było Jego przybycie. Dla bardzo szerokich rzesz społeczeństwa znaczyło to, że w tym obcym rządzie jest ktoś z rządu naszego, prawdziwego. Stworzone przez Mikołajczyka PSL było jakby ostatnią próbą ocalenia jakichś fragmentów Niepodległości i demokracji na drodze politycznej. Komuniści wyśmiewali się z „rolników z Marszałkowskiej”, ale rzeczywiście PSL cieszyło się niezwykle szerokim poparciem w całym narodzie, zupełnie niezależnie od środowiska czy warstwy społecznej. [...]

PS Oby nigdy więcej żaden polski polityk nie musiał stawać przed takimi wyborami politycznymi i moralnymi jak Mikołajczyk i jemu współcześni.

Tomasz Umiński, Warszawa

**„Emerytura+”,
Piotr Gabryel, „DRz” 27/2019**

Szanowna Redakcjo, z zaciekawieniem przeczytałem felieton red. Piotra Gabryela „Emerytura+”. Podzielałam jego zaniepokojenie zdestawowanym systemem emerytalnym w Polsce odziedziczonym po poprzednich rządach. Sanacja systemu dzięki wprowadzeniu pracowniczych planów kapitałowych będzie jednak dalece niewystarczająca. Wyłączenie w 2003 r. z powszechnego systemu emerytalnego funkcjonariuszy służb mundurowych spowodowało, że obecnie mamy do czynienia ze skrajnie niesprawiedliwym systemem emerytalnym, powodującym ogromne dysproporcje w emeryturach cywili oraz mundurowych. Posłużę się konkretnym przykładem. Dyrektor szkoły, przechodząc na zaopatrzenie

emerytalne, po 35 latach pracy otrzymuje obecnie 1850 zł emerytury, dyrektor zakładu karnego zaś po 30 latach służby – 8000 zł (kwoty netto). Należy zatem zadać rządowi pytania: Co uzasadnia aż tak ogromne różnice w świadczeniach emerytalnych między osobami z różnych grup zawodowych, ale zajmujących hierarchicznie podobne stanowiska? Czy to jest sprawiedliwy system? Kiedy system ten zostanie zracjonalizowany?

**Pozdrawiam Redakcję
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji**

Do dwóch panów G

Piszecie Panowie („Dwaj panowie G”, „DRz” 27/2019): „Mateusz [Morawiecki] nigdy jeszcze nie przechodził chrztu bojowego w żadnych wyborach...”. To nieprawda. W 1998 r. startował on w wyborach do sejmiku woj. dolnośląskiego z listy AWS. I wygrał, osiągając najlepszy wynik w „naszej ekipie”. Jako jedyny przeprowadził morderczą, wzorcową kampanię „od drzwi do drzwi” w trudnym, podwrocławskim okręgu z dość rozproszonym zasięgiem. Tak więc test wyborczy przeszedł i to, jak to on, śpiewajco.

**Z serdecznymi pozdrowieniami
Jan Waszkiewicz, były marszałek
województwa dolnośląskiego**

Wyjaśnienie

W tekście pt. „Na celowniku anty-PiS” podałem nieprawdziwą informację, jakoby Rafał Chwedoruk był kibicem Lechii Gdańsk. Rafał Chwedoruk nie był ani nie jest kibicem Lechii Gdańsk. Za pomyłkę przepraszam.

Maciej Pieczyński


**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Sławomir Cendkiewicz**,
Wiesław Chelminiak, **Dominika Cioś** (*Brusela*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzelska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Sławomir Koper, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenarczyk**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małowski, **Monika Małowska**, **Karolina Marchlewska-Tzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torafski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Taiski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotorecenzja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rylkaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 836

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Blednięcie

Pierwszy publiczny atak drgawek Angela Merkel tłumaczyła reakcją na odwodnienie. Dwa kolejne napady dreszczy zbywała już tylko zapewnieniami o „dobrym stanie zdrowia”. W trakcie kolejnej wizyty zagranicznego gościa – premier Danii Mette Frederiksen

Jedno jest pewne. To się musiało w końcu zdarzyć. Angela Merkel rządzi Niemcami od 2005 r. i zawsze wzbudzała u innych liderów respekt pełnią sił w trakcie nocnych brukselskich negocjacji. Tam, gdzie inni przysypiali, ona wyglądała świeżo, nawet po wielogodzinnym rejsie do Japonii

obsady czołowych stanowisk unijnych. Gdy mimo to z trudem przevorsowała nową kandydatkę na szefową komisji – chadeczkę Ursulę von der Leyen – sprzeciwiają się jej rządowi koalicjanci z SPD. Coraz głośniejsze mówi się o przedwczesnym zakończeniu kadencji Bundestagu i nowych wyborach.

Na dodatek szykowana na następczynię Merkel pani sekretarz generalny CDU Annegret Kramp-Karrenbauer zawiodła nadzieje i nie wyszła poza stereotyp niezdarnego przybysza z prowincjonalnej Krainy Saary.

Mądrzy ludzie radzili Merkel, by w 2017 r. nie startowała kolejny raz na kanclerza. Nie posłuchała. Wystartowała, aby zmyć z siebie traumę po wypuszczeniu setek tysięcy imigrantów w 2015 r. I to był błąd. Jej obecna kadencja to już tylko schyłek i blednięcie. A drżenie ciała to tylko ich symboliczne potwierdzenie. Dla Polski to zapowiedź destabilizacji w polityce RFN i możliwy polityczny skręt w lewo nad Szprewą i Renem. ©

Obecna kadencja Angeli Merkel to już tylko schyłek i blednięcie.

A drżenie ciała to tylko ich symboliczne potwierdzenie.

Dla Polski to zapowiedź destabilizacji w polityce RFN

– taktownie złagodzone protokół i obie panie hymny swoich państw wysłuchały już na siedząco na fotelu.

Czy lider państwa ma prawo zbywać pytania mediów o widoczne oznaki jakiejś niedyspozycji? Niemieckie tygodniki prześcigają się w publikowaniu rozmów z lekarzami, którzy snują najróżniejsze przypuszczenia na temat powodu drgania ciała.

czy Australii. Żaden, nawet najsilniejszy organizm nie może tego jednak znosić w nieskończoność. Tym bardziej że pani kanclerz 17 lipca kończy 65 lat.

Te transmitowane przez kamery całego świata drżenia nakładają się na coraz wyraźniejszy schyłek władzy samej Merkel i jej formacji. Na ostatnim szczycie wyleciały w powietrze jej ustalenia ze szczytu w Osace na temat



BĘDZIE NOWE „500+”

Rząd Mateusza Morawieckiego przyjął projekt ustawy o świadczeniu uzupełniającym dla osób niezdolnych do samodzielnej egzystencji. W pierwszym etapie programem ma być objętych ok. 300 tys. osób. Świadczenie w wysokości 500 zł miesięcznie najprawdopodobniej zacznie obowiązywać od 1 października.

Z kolei w ramach programu „Rodzina 500+” Polacy od 1 lipca 2019 r. złożą już ponad 1,7 mln wniosków on-line. Od 2 sierpnia będzie można złożyć wnioski w tradycyjnej formie papierowej.

(jap) ©

7



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Znak Trzech

Oj, nie ma ta nasza opozycja szczęścia do „nowych twarzy”. Co jakąś wykreuje, to albo alimenciarz, albo sutener, albo defraudant, albo wreszcie oszust, który rzekome krzywdy doznane za młodu od księdza pedofila zwyczajnie zmyślił, z tych samych powodów, dla których pierwowzór bohatera filmu „Konsul” udawał ofiarę Holokaustu albo austriackiego dyplomatę. Doprawdy, zakrawa to na jakieś fatum, a zważywszy na to, że i „stare” twarze ma opozycja raczej mało lubiane, fatum to jest dla niej mordercze.

Chyba jednak nie dało się ono jeszcze we znaki opozycji tak jak przy okazji wysunięcia na czoło antypisowskiego frontu prezydent Gdańska, Aleksandry Dulciewicz, przez dwóch panów G nazwanej „Dulcieszczą”. W chwili, gdy Donald Tusk wskazał ją na swoją następczynię, wydawała

się mieć wszystkie atuty, żeby podbić serca Polaków. Niestety, są ludzie, którzy bardzo tracą przy bliższym poznaniu – i pani prezydent do tego właśnie rodzaju należy. Każda jej kolejna publiczna wypowiedź pokazuje, że jest drugą Ewą Kopacz, a kto wie, może nawet drugą Różą Thun.

Znakiem nieomylnym syndromu Kopacz-Thun-Dulciewicz jest połączenie agresywności i napastliwości wobec PiS z łatwością wygadywania nie stworzonych bzdur i to takich, co najgłupsze, które łatwo zweryfikować. Wydawało się, że zrównanie przyjęcia przez parlament specustawy o budowie Muzeum Westerplatte ze stalinowskimi represjami to już szczyt jej formy, ale opowieść o tym, jak codziennie (!) odbiera telefony z informacjami o próbach samobójczych uczniów gdańskich szkół, którym

winny jest oczywiście PiS, dowodzi, że rzucanie kamieniami w dinozaury to dla nowej nadziei PO pikus.

Wystarczy rzut oka, by stwierdzić, że ani policyjne, ani medyczne statystyki nie odnotowały większej liczby takich przypadków – akurat nawet przeciwnie. Ktoś więc panią prezydent przez telefon codziennie oszukuje. Co więcej, poziom stresu wśród uczniów wywołany medialnymi doniesieniami o problemach z naborem do liceów to raczej nic w porównaniu ze stresem wywołanym próbą zablokowania egzaminów gimnazjalnych i matur, czemu akurat partia „Dulcieszczą” kibicowała entuzjastycznie.

Czy można jeszcze głupiej? Rozum podpowiada, że nie, ale serce – że pani Dulciewicz jeszcze nie pokazała, na co naprawdę ją stać. ©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zdradzeni zadymiarze

Miało być tak pięknie. Wywiady, autografy, wizyty w zakładach pracy... a przynajmniej miejsca na listach wyborczych i spokojny stołek w Sejmie kolejnej kadencji. Plany były ambitne, wspólna lista wyborcza tworzona na bazie KOD i PO. Były sojusze o ambitnej nazwie Wolność, Równość i Demokracja. Co z nich zostało? Rozżalony Mateusz Kijowski, założyciel (no, przynajmniej oficjalnie) KOD, płacze na Facebooku, że opozycja już przegrała, w ogóle nikt nie pamięta o nim i jego kumplach, i domaga się od sztabu Platformy, by ten

dał mu podzielać. Inny z „demokratycznych” zadymiarzy, niejaki Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP, domaga się publicznej debaty – czytaj: oddania opozycyjnego głosu jemu i współtowarzyszom. Tymczasem po stronie Schetyny, Arłukowicza i Brejzy widać ciemność, widzę ciemność...

Czy to oznacza, że liderzy Platformy poszli po rozum do głowy i ostatecznie odcięli się od ludzi w „imię demokracji”, kompromitujących idee demokracji i zakłócających legalne zgromadzenia (atakujących polityków i państwowe instytucje). A gdzie tam! Platfor-

ma – w wyniku układanek przed wyborami samorządowymi i europarlamentarnymi, a także w wyniku tych pierwszych w wielkich miastach – stała się zakładnikiem radykalnie lewicowych ekstremistów promujących ewolucję światopoglądową, którzy korzystając z medialnego wsparcia, wyparli z politycznej agendy PO ponuro kojarzących się ulicznych awanturników. Tęcza zamiast demokracji. Spokojna głowa. Po – na co wiele wskazuje – jesiennej porażce wyborczej opozycji moda na ulicznych krzykaczy znów wróci. ©

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

KONCERT GALOWY

9 grudnia 2019 r.

Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie



**III EDYCJA
NAGRODY**

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

**Im. Przemysława
Gintrowskiego**

WWW.GINTROWSKI.PL |  [/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW](https://www.facebook.com/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW) | [#GINTROWSKI](https://www.instagram.com/GINTROWSKI)

MECENAS KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl f27a765446



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W szaleństwie jest metoda

Szaleństwo polega na tym, że włoscy postępowcy wbrew interesowi politycznemu i zdrowemu rozsądkowi chcą sprowadzić do Włoch całą głodną Afrykę i Azję. Ponad 60 proc. Wło-

Włoscy postępowcy wbrew interesowi politycznemu i zdrowemu rozsądkowi chcą sprowadzić do Włoch całą głodną Afrykę i Azję

chów wspiera twardą politykę rządu, szczególnie wicepremiera Matteo Salvini, wobec nielegalnej imigracji. Salvini i jego Liga właśnie dlatego biją teraz rekordy popularności w sondażach. Jednak postępowcy swoje: „Ratujemy tonących!”

To oczywiście nieprawda. Celem jest przewóz migrantów z Libii do Italii. Jak kilka dni temu wypłynęło się pani lekarce na pokładzie żaglowca „Alex” włoskiej organizacji pozarządowej: „Łódź z migrantami była sprawna. Musieliśmy

się śpieszyć, bo zbliżała się libijska straż przybrzeżna”. Jak wiadomość dotarła do Włoch? Prosto z pokładu. „Alex”, który ma wszystkiego siedem miejsc dla pasażerów, aż trzy oddał ekipie TV RAI. Procederowi towarzyszy bowiem zakrojona na ogromną skalę kampania propagandowa we włoskich mediach. Naturalnie statki „ratownicze” lekceważą pobliskie porty tunezyjskie, bo rzekomo nie są to porty bezpieczne, choć codziennie zawijają tam dziesiątki wielkich wycieczkowców. Powód: Tunezja nie posiada odpowiedniego prawa azylowego. Poważnie.

Z racji obowiązków zawodowych śledziłem pilnie doniesienia obu włoskich telewizji informacyjnych – SKY24 i RAI24. Leje się z nich zideologizowana propaganda apostołów kultu św. Migranta. Pierwszym protagoniście dyskusji w studiu jest były sekretarz Włoskiej Lewicy Nicola Frantoiani (1,7 proc. głosów w ostatnich wyborach) i podobnie wpływowe osoby. Drugim – arcylewicowy burmistrz Neapolu Luigi De Magistris, który zapowiada wysłanie floty do Libii, która przywiezie Włochom w prezencie migrantów. W ramach koncepcji „społeczeństwa otwartego”.

I na koniec: ks. Roberto Beretta z Pievo Porto Morone planował mszę św. za Carolę Rackete, kapitan statku Sea Watch z migrantami, których przywiozła na Lampedusę, łamiąc wszelkie zakazy. Zabronił mu jednak biskup: „Wierni mogliby to źle przyjąć”. ☹☹

Prezydent Dulkiewicz odstąpił
pomnik obrońcy Westerplatte



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wojna gdańsko-polska

Chociaż wakacje w pełni, to wielkimi krokami zbliżamy się do obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Przy tej okazji, po zapowiedzi rządu o przejęciu terenów nabrzeża i wybudowaniu muzeum 1939 r., wybuchła nowa „wojna”. „Westerplatte powtórnie »upadło«. W obu przypadkach zajęcia dokonali barbarzyńcy: (” – stwierdził poseł PO, Marek Rzęsa.

Atmosfera grozy rosła z tweeta na tweet.

„PiSchleswig-Holstein zbliża się do Westerplatte” – informował Zbigniew Hołdys. „Przed chwilą w Sejmie byliśmy świadkami troski o pamięć w wydaniu PiS-u. Mimo to wierzę, że można inaczej, i się nie poddam...” – raportowała z frontu Aleksandra Dulkiewicz.

„Westerplatte było symbolem początku

II wojny światowej, ale dziś stało się symbolem zaciętości PiS-u i wojny rządu z samorządem. A można było zauważyć wyciągniętą rękę Prezydent Dulkiewicz. Ta wojna rozdzieli nas na wiele lat. Szkoda! #Gdańsk #wojnapolskopolska” – defetystycznie dodała posłanka Nowoczesnej, Ewa Lieder. „PiS-owska władza zabrała warszawiakom plac Piłsudskiego, a gdańszczanom Westerplatte. Kiedy przyjdą po Rynek w Krakowie? #PaństwoPiS” – gdybał Bogdan Klich.

Przy tej okazji niezauważone przeszły dwa

ważne newsy. Pierwszy: „Organy statutowe partii podjęły decyzję o wyrejestrowaniu partii z ewidencji partii politycznych” – ogłosiło TERAZ! Ryszarda Petru. „Szkoda. Ze sceny schodzi partia, która nigdy nie przegrała wyborów” – skomentował Maciej Wąsik.

News drugi. „Dzięki Elżbiecie Bieńkowskiej Europa stanie się potęgą światową w dziedzinach obronności i kosmosu” – poinformowała

Róża Thun. A propos kosmosu. „Ks. Tymoteusz Szydło, syn Beaty Szydło, będzie celebrował msze po łacinie, tyłem do wiernych. To symboliczne – Sobór Watykański II jest w polskim Kościele kwestionowany tak jak w państwie polskim kwestionowana jest demokracja liberalna. Oddalamy się od świata...” – relacjonował z innej orbity Krzysztof Luft. I tak tu się u nas w mediach społecznościowych kręci. ☹☹

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZDOBYŁEM MONTE CASSINO!
PORUSZAJĄCY WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM ARMII ANDERSA

Piotr Zychowicz – Wołyń zdradzony
Szokujące dokumenty podziemia z Galicji Wschodniej
Sławomir Cenckiewicz – Berling, won z pomnika!
Mikołaj Iwanow – Luksusowe życie Stalina
Sławomir Koper – Bestialskie zabójstwo żony magnata
Gerald Posner – Diabelskie eksperymenty dr. Mengelego
Marcin Bartnicki – Tajemnica zatonięcia „Kurska”

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. PAMEŁ GROMADA

GDZIE TE KONTRAKTY

Aktorka Maja Ostaszewska, która w ostatnich latach mocno zaangażowała się politycznie, narzeka, że musi płacić za to wysoką cenę. Aktorka przed PiS broniła już sądów, konstytucji, dzików, karpi, drzew, nauczycieli i pewnie czegoś jeszcze, o czym nie pamiętamy. Większość akcji społecznych sprowadza się co prawda do fotek na Fejsbuniu, ale to i tak, jak się okazuje, duże poświęcenie!

– Straciłam kontrakt reklamowy przez swoje zaangażowanie społeczne, niejeden – wyznaje Maja w rozmowie z portalem Plejada. – To było przykre. Poczułam się nieco zażenowana. Wydawało mi się, że to jest bardzo nie w porządku. Zwłaszcza że osoby, które mi zakomunikowały tę decyzję, twierdziły, że prywatnie podzielają moje poglądy – opowiada, podkreślając, że „nie było to fajne”. – Chcę być uczciwa sama ze sobą i nie mam zamiaru udawać, że czegoś nie widzę, jeśli dzieje się to na moich oczach – tłumaczy. Tak się dziwnie składa, że zwykle pani Maja widzi tylko na jedno oko. I to może tłumaczyć jej problemy z kontraktami.

PIĘKNA KATASTROFA

Znana podróżniczka Beata Pawlikowska w ramach prowadzonego na swoim Facebooku „Wakacyjnego dziennika szczęścia” opublikowała wpis, w którym cieszy się, że znajduje się w lepszej sytuacji życiowej niż sprzątający u niej Oleg z Ukrainy. „Oleg pochodzi z Ukrainy i przyjechał dzisiaj z własnym odkurzaczem, który wyglądał jak żółta łódź podwodna. Kiedy wyszedł, znów pomyślałam, że jestem szczęśliwa. Szczęśliwa, bo mam to ogromne szczęście, że Oleg sprząta u mnie, a nie ja u niego” – napisała Pawlikowska. Zamiast gratulacji, których się spodziewała (że tak świetnie sobie radzi w życiu), posypały się słowa krytyki i oskarżenia o klasizm, a nawet rasizm. Podróżniczka zaczęła się więc tłumaczyć, że też kiedyś sprzątała w hotelach i „wie, jak to jest”. – Teraz pracuję jako ktoś inny i doceniam fakt, że dzisiaj ja nie sprzątam u kogoś, lecz ktoś u mnie. Nie wiem, jak będzie jutro – stwierdziła.

Trzeba chyba wziąć się do jej książek, zwłaszcza tych ostatnich, coachingowych. Bo strach pomyśleć, ile mądrości nas omija!

WYCHOWANIE GAZETOWE

Monika Zamachowska udzieliła wywiadu, w którym postanowiła podzielić się swoimi refleksjami na temat współczesnej młodzieży. A wiedzę ma, bo ma dzieci. Swoje i Zbyszka z poprzedniego

małżeństwa. Monika uważa, że młode pokolenie jest dziś zbyt roszczeniowe i pewne siebie. – Jeśli chodzi o życie z rodziców i pieniędzy, które zarobili, millenials nie mają żadnych wyrzutów sumienia ani poczucia, które miałam ja i mój mąż, że to wstyd być dorosłym utrzymywanym przez rodziców – tłumaczy Monika, odnosząc się do własnych dzieci. – Według mnie moim dzieciom wydaje się, że im się należy. Dajemy sobie ze Zbyskiem jeszcze trzy, cztery lata, by zacząć myśleć o tym, żeby moim dzieciom trochę przykręcić ten kurek – dodaje. Dobrze, że poinformowała dzieci, co je czeka w najbliższym czasie. A za to, że przy okazji poinformowała całą Polskę, na pewno będą jej wdzięczne. Dozgonnie.

JESTEM KULTOWA

Piosenkarka Sarsa, której kariera rozpoczęła się jakieś pięć lat temu od udziału w programie „The Voice of Poland”, ujawniła, że czuje się postacią kultową. Wszystko za sprawą tego, że jej fanki chętnie noszą podobną do niej fryzurę w postaci dwóch rogów na czubku głowy. – To supermiłe, że dziewczynki cheszają się na mnie i robią sobie rogi – mówi Sarsa. – Fajnie jest być postacią kultową. Kiedyś mi się to nie marzyło, a to się dzieje. Nie dość, że ludzie śpiewają ze mną moje utwory, przeżywają je, to jeszcze się na mnie stylizują. To mnie wzrusza – wyznaje młoda gwiazda. My też się prawie popłakaliśmy, czytając o kultowej Sarsie. Co prawda, że śmiechu, nie wzruszenia, ale zawsze coś.



FOT. JACEK DOMINIKSI/REPORTER

KWAŚNE CZY SŁODKIE

Małgorzata Rozenek-Majdan wprowadziła w swoim domu rygor, jeśli chodzi o dietę. Wszyscy przeszli na wegetarianizm i panuje zakaz jedzenia słodkiego. To ostatnie jednak nie zawsze jest przestrzegane przez jej dwóch synów: 13-letniego Stanisława i 9-letniego Tadeusza. Celebrytka ujawnia, że jej synowie w tajemnicy przed nią podjadają czasem coś słodkiego. – Chłopcy ukrywają przede mną i moim mężem słodkości, które czasami kupują za kieszonkowe – mówi. – A to dlatego, że u nas w domu nie akceptuje się żadnych słodkich rzeczy, poza lodami. Cukier nie jest do niczego nam potrzebny – dodaje. W przeciwieństwie do kwasu, na ten przykład hialuronowego. Bez niego trudno sobie dziś wyobrazić twarz Lady Rozenek! ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, Nowy z Tarnowa i inni pisowcy mają pojarę, ponieważ Komisja Europejska podała prognozy, iż gospodarka tego kraju będzie rozwijać się w tempie 4,4 proc. rocznie. No rzeczywiście, sukces w chooy.

O ile nam wiadomo z lekcji matematyki jeszcze w szkole podstawowej, procenty sumują się do 100. Tak więc rządowa propaganda sprytnie pomija milczeniem, iż tak naprawdę ten kraj się nie rozwija w tempie 95,6 proc. To już nie brzmi tak dobrze, prawda?

Pamiętajcie, kochani – ten wynik pokazuje, iż gospodarka w Polsce znacznie szybciej się nie rozwija, niż rozwija. Nie dajcie się zniewolić propagandzie sukcesu!

Sędzia Tuleya ostatnio przewidywał, iż krwawy reżim Kaczafiego wsadzi go za kratki, a profesora Płatek dodała, iż to optymistyczna wersja, bo „wcale nie musi się znaleźć w zakładzie karnym, ale psychiatrycznym”.

Naszym zdaniem może być jeszcze gorzej, iż PiS będzie zamykał opozycjonistów nie tylko

w zakładach odosobnienia, lecz także w miejscach nieneutralnych światopoglądowo typu klasztor albo nawet w cyrkach i wesołych miasteczkach.

Prześladowania, jak widzicie, sięgają zenitu. Co prawda na razie są to prześladowania antycypacyjne, ale dowodzą one, iż opozycja zachowuje jasność umysłu i pomimo wielu szykan i trudności jest w stanie trafnie przewidywać, do czego może się posunąć władza.

Prześladowania sięgają zenitu, chociaż na razie są to tylko prześladowania antycypacyjne

Lol, dowiedzieliśmy się, iż mistrzem tego kraju w piłce nożnej jest drużyna o nazwie „Piast”, która właśnie rozpoczęła rozgrywki eliminacyjne do Ligi Mistrzów. No przecież to jest beka na całą Europę. Równie dobrze można było drużynę nazwać Ziemowit, Kołodziej albo jakiś tam, nie wiemy, Siemomysł.

To naprawdę przynajmniej śmieszne, a może jednak nawet nieco straszne, iż będziemy straszyć Europę Piastem. Rywale, jak zobaczą, z kim mają grać, to wyobrażą sobie drużynę jasnowłosych, barczystych i wąsatych chłopów, którzy słuchają disco polo.

Może jeszcze nie jest za późno, iżby tę nazwę zmienić, może Europa się nie zorientuje, kogo my im pokażemy? To w sumie trochę tak, jak wtedy kiedy na Eurowizję pojechał Mietek Szcześniak. Niby spoko, ale „Mietek”? Co to za imię, kaman xD

Jak mówi ekonomia: różne państwa eksportują różne rzeczy. Czasem są to technologie, czasem są to idee – także postępowe. A co eksportuje i daje światu i Europie ten kraj? Trzymajcie się. Maliny.

Tak, kochani, Polska w XXI w. jest drugim największym w Europie i piątym na świecie producentem malin.

Już nawet nie marzymy o tym, iżby z tego kraju w świat wyszedł jakiś ciekawy równościowy projekt, jakaś rewolucyjna myśl ekonomiczna na zasadzie „pensja minimalna na poziomie średniej krajowej”.

W dodatku malina jest owocem o silnych konotacjach heteronormatywnych, wszak jeden z poetów opisywał, co niehomopozytywna para robiła w malinowym chruśniku, czymkolwiek jest ten chruśnik. No i w tej sytuacji mniej nas dziwi, iż przedmiotem zmasowanego eksportu Polska uczyniła sobie taki homofobiczny owoc nienawiści.

Skoro w temacie homofobii już jesteśmy: widzieliśmy wyniki sondażu, według którego aż 60 proc. mieszkańców tego kraju nie chce, aby firmy promowały postulaty środowisk LGBTQWERTY.

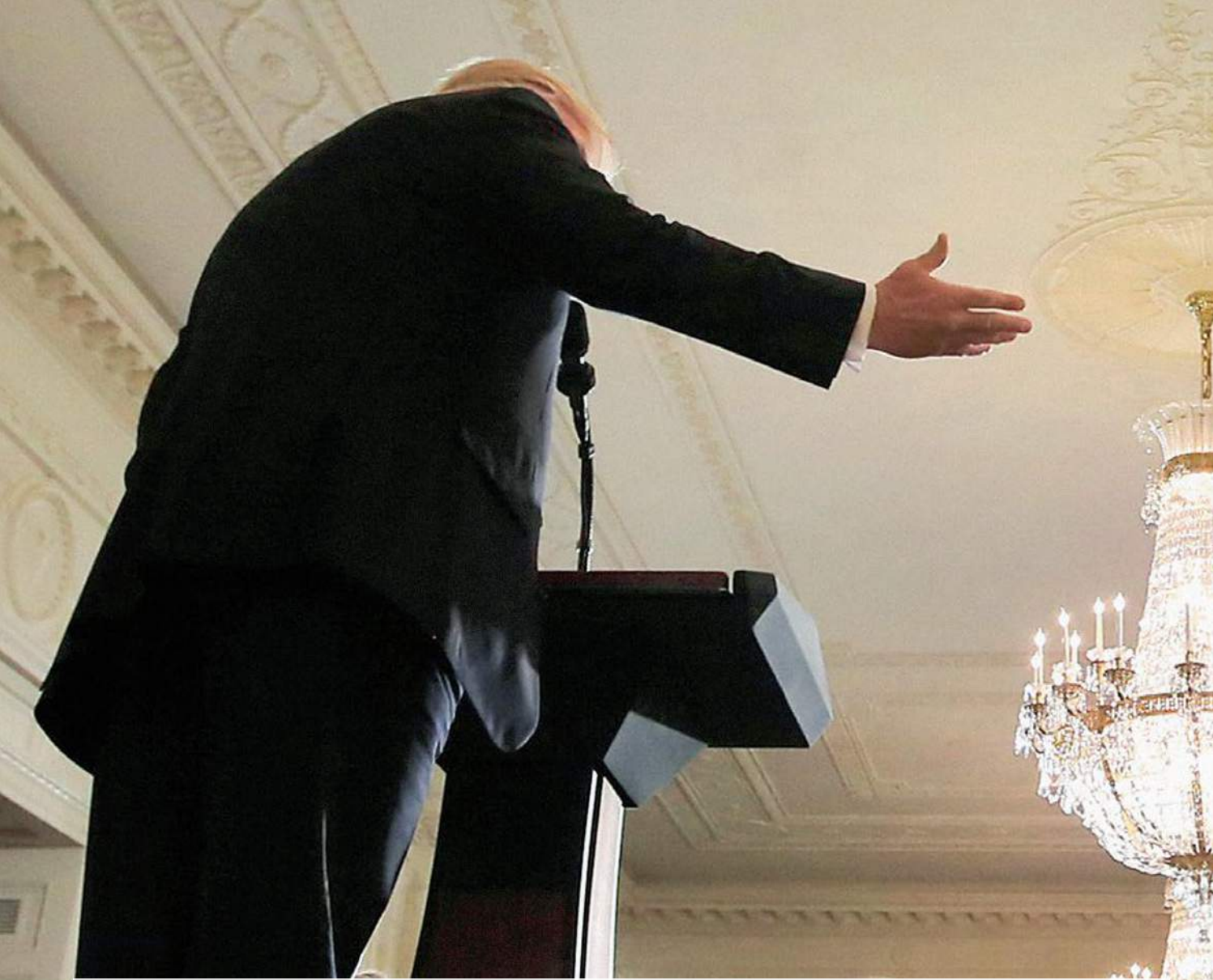
Jest to niedopuszczalne ingerowanie w politykę wewnętrzną firm, które mają w naszym odczuciu jak najbardziej prawo, iżby takie postulaty promować. Niechęć wobec tego jest nie tylko homofobiczna, ale zarazem kneblująca wolność słowa. Widocznie polskie społeczeństwo wciąż jeszcze nie dorosło do tego, żeby robić homopoztywne zakupy i według tego klucza dobierać marki, z których korzysta.

Wiadomo zaś, że większość mieszkańców tego kraju wolałaby, iżby firmy promowały wartości rodzinne i heteronormatywne, a najlepiej jeszcze wspierane przez Kościół. To już jednak byłby fashysm i niedopuszczalne ingerowanie światopoglądu w biznes. Przypomnijmy, że ważna jest neutralność!!! ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)





JAK DONALD TRUMP WYRZUCIŁ BRYTYJSKIEGO AMBASADORA

Wielki skandal po obu stronach oceanu. Gdy do mediów wyciekła wewnętrzna korespondencja dyplomatyczna brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie, który bardzo krytycznie ocenił obecnego gospodarza Białego Domu, Donaldowi Trumpowi puściły nerwy.

Z ujawnionych fragmentów korespondencji wynika, że sir Kim Darroch (na zdjęciu w pierwszym rządzie z niebieskim krawatem) nazwał prezydenta USA „nieudolnym”, „niepewnym” i „dyplomatycznie niezdarnym”, a jego administrację określił mianem „niekompetentnej, nieprzewidywalnej i dysfunkcyjnej”. Brytyjski dyplomata pisał też, że wątpi, by ekipa Trumpa mogła stać się „bardziej przewidywalna, mniej podzielona, mniej niezdarna i nieporadna pod względem dyplomatycznym”.

Mimo błyskawicznej reakcji Londynu, w ramach której Brytyjczycy podkreślali, że wyrwane z kontekstu słowa ambasadora „nie odzwierciedlają bliskości i szacunku”, którym

brytyjskie władze otaczają partnerstwo z Ameryką, prezydent USA publicznie zwyzwał brytyjskiego dyplomata, nazywając go „bardzo głupim człowiekiem” i sugerując na Twitterze, że nie chce go już więcej widzieć w Białym Domu. Doradził także władzom w Londynie zdymisjonowanie wysłannika do Waszyngtonu.

Urażony Trump nie skończył jednak na obrażaniu ambasadora – w mało dyplomatyczny sposób wyśmiał również sposób prowadzenia negocjacji Theresy May w sprawie brexitu.

Mimo wsparcia ze strony odchodzącej szefowej rządu oraz brytyjskiej opozycji ambasador podał się do dymisji. Nieoficjalnie mówi się, że uczynił to, bo faworyt do fotelu premiera Borisa Johnsona podczas debaty telewizyjnej nie wykluczył rychłego odwołania Darrocha z Waszyngtonu. Taka postawa prawdopodobnego przyszłego szefa rządu w Londynie sprawiła, że autor nielegalnego wycieku łatwo osiągnął swój cel. To też jasny

sygnał na przyszłość: Johnson, starając się wynegocjować z Waszyngtonem zawarcie nowej umowy handlowej, która ma złagodzić gospodarcze turbulencje związane z brexitem, będzie robił wiele, aby uszczęśliwić gospodarza Białego Domu.

Zarówno wyciek wewnętrznej korespondencji, jak i wyjątkowo nerwowa reakcja Donalda Trumpa pokazują, że „specjalne relacje”, które łączyły Waszyngton z Londynem za prezydenta Ronalda Reagana i premier Margaret Thatcher, są obecnie o wiele mniej specjalne. Kryzys dyplomatyczny Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest ważną przestrogą dla pozostałych dyplomatów akredytowanych przy Białym Domu. A także wskazówką dla polskiego rządu. Władze w Warszawie, do której amerykański prezydent ma przybyć pod koniec sierpnia, mogą wykorzystać ostatnie spory między Londynem a Waszyngtonem do zacieśnienia sojuszu z Donaldem Trumpem. ©©



Zza kulis konwencji PiS w Katowicach. Niektórzy zastanawiają się, jak to możliwe, że premierowi Mateuszowi zdarza się zapętlić i obiecać posadzenie drzewek, które już posadzono, a Kaczorowi Dyktatorowi – nie. Ujawniamy: Kaczor Dyktator uczy się swoich wystąpień, ćwiczy i powtarza w zaciszu domowym i gabinetowym. Premier Mateusz mówi natomiast z głową.

Po zakończeniu mrowiska programowego w Katowicach przyszedł czas na konkrety. Dlatego odpowiednia liczba osobników zamknęła się w minioiny czwartek, by pisać jesienny program wyborczy PiS. Chcecie wiedzieć kto? Patrzcie uważnie, kogo będzie mniej w mediach przez najbliższe tygodnie.

Fakty są takie, że piątki się sprawdzają. Jest już pomysł na cztery obietnice/zapowiedzi/hasła i te będą konkretne. Trwa poszukiwanie piątego elementu nowej piątki, czegoś lightowego, co da się zrobić migusem.

Tak naprawdę najciekawsza jest wiadomość, że Naczelnik zwany też Kaczorem Dyktatorem dał się przekonać, żeby osiłą sporu były kwestie ideolo-światopoglądowe, ale w wersji „świat normalnych, zwykłych ludzi kontra ekstremy”. Sami zresztą już to słyszeliście w wystąpieniach z Katowic.

Śwież wieści z NATO. Podobno szanse Krzyska Szczerskiego na wicesekretarza generalnego nieco wzrosły, ale nadal są patykiem na wodzie pisane. W związku z tym Krzysiek nadal jest numerem 1 na liście polskich kandydatów na komisarza europejskiego. Jest jednak pewien szkopuł.

Uwaga, ujawniamy szkopuł. Chodzi o to, że Krzysiek Szczerski najbardziej chciałby zostać takim miękkim komisarzem, to znaczy od rozszerzania Unii Europejskiej albo coś w tym stylu. Nowogrodzkiej zależy tymczasem na tym, by chodziło o coś konkretnego, gospodarkę, energię etc. Stąd szkopuł.

Wwiewiórki – pytane, co w takim razie, gdyby z jakichś powodów (NATO lub szkopułu) Krzysiek nie został komisarzem – odpowiadają z zadumą: „Wtedy wielka niewiadoma”. Ale potwierdzają jednocześnie, że najbardziej cały czas lobbuje Jerzy Kwieciński. Na czyją rzecz? No właśnie Jerzego Kwiecińskiego.

dwaj panowie g

To prawda z tym Banasiem Marianem. Faktycznie szykowany jest na nowego szefa Najwyższej Izby Kontroli. Nie tylko dlatego, że już tam kiedyś był (gdy śp. Lech Kaczyński prezesował). Głównie dlatego, że to jedna z tych osób, do których wielkie zaufanie mają zarówno Kaczor Dyktator, jak i premier Mateusz. Zapewniamy, nie ma takich wielu na świecie.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Z uwagą obserwujemy rozmaite sondaże, z których wynika, że kandydatem opozycji na premiera powinien być „żaden z powyższych”. Wieszczyśmy długą i pełną sukcesów przyszłość temu kandydatowi. On nie tylko stał się znany i lubiany. On się nawet umacnia.

Jesteśmy w kropce. Nie wiemy, czy szklanka jest do połowy pełna, czy pusta. Chodzi o Peezel, który jest otwarty na współpracę „ze środowiskami bliskimi ideowo”. Pomóżcie! Czy ugrupowanie totalnie bezideowe jest dzięki temu partnerem idealnym czy niemożliwym dla jakichkolwiek ideowych ugrupowań?

Àpropos spraw ideowych. Rzadko kiedy się czymś przejmujemy, ale tym razem przejęliśmy się bardzo. Chodzi o nagłą



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Zbanowaliśmy wszystkie pisoskie troje i teraz nie mamy z kim gadać



niechęć naszych zielonych braci z Peezlu do naszych czerwonych braci z Eselde. Z początku nie rozumieliśmy – jak to możliwe, że kiedyś ludowcom Eselde wcale nie przeszkadzało. A teraz tak. No i wreszcie zrozumieliśmy: kiedyś pewnie w Peezlu nie było takich młodych ideowych chadeków jak Marek Sawicki czy Eugeniusz Kłopotek. A teraz już są.

Ludowcy poza wszystkim mają dodatkowy powód do smutku. Otóż martwi ich, że na żadnych przeciekach z filmu Vegi o polityce nie ma ani grama ludowca. Czują się skrzywdzeni, niedocenieni i pominięci oraz potraktowani jak jakaś mała ważna partia z kilkuprocentowym poparciem. Rozumiemy ten ból. Apelujemy do Vegi: opamiętaj się, chłopie! Żaden film o patologjach polskiej polityki nie może się obyć bez Peezelu!

Tak naprawdę jednak z ludowcami było tak: jeszcze przed słynną Radą Naczelną, z której Waldek Pawlak przeciekał nagrania, a wszyscy gromko i zgodnie wołali „idziemy sami do wyborów”, ci sami ważni ludowcy mówili na offie: „Na 90 proc. idziemy z Platformą”. Dzisiaj ci sami ludowcy mówią: „Na

Ludowcy mają dodatkowy powód do smutku. Martwi ich to, że na przeciekach z filmu Vegi o polityce nie ma ani grama ludowców

95 proc. idziemy z Platformą”. Daje do myślenia, prawda?

Grzesiek Schetyna tymczasem chciałby mieć zarówno milion głosów ekstra od esbeków, mundurowych emerytów i innych sierot po PRL, jak i drugi milion (być może) od Peezlu. Stąd jego manewry. Żli ludzie opowiadają jednak, że za odrzuceniem Eselde gardłował nie kto inny jak Tusk Donald. Za kulisami, rzecz jasna.

W związku z odejściem Ryśka Petru z polityki nasz redakcyjny kolega zwany Pakerem lub Jastrzębiem, znaczy Sławek Jastrzębowski, wezwał w poprzednim numerze, by szukać nowego Ryśka. Odpowiadamy: zbyteczny trud, nowy Rysiek już się objawił i nazywa się Robik Biedroń. Możemy

go nawet nazywać Ryszardem Biedru, jeśli ktoś koniecznie chce mieć za każdym razem skojarzenia z oryginałem.

Podobieństw jest mnóstwo. Robert podobnie jak Rysiek nie wie za bardzo, co mówi. Podobnie jak Rysiek ma ego wielkości dwóch Radków Sikorskich. Podobnie jak Rysiek uważa, że wszyscy są debilami – oprócz niego samego. Podobnie jak Rysiek jest kochany przez „GazWyb” oraz Aśkę Scheuring-Wielgus. Podobnie jak Rysiek zawija rękawy koszul podobnych do tych, w których mankietach na Zbawixie chowa się jointy, blanty i splify. Robik jest nawet lepszym Petru niż Petru, bo jemu na pewno nie przydarzyłaby się ta historia z Aśką Schmidt na Maderze.

Wszystkich ludzi złych, występnych i związanych ze słusznym minionym reżimem informujemy, że wzmożenie działań jest chwilowe i wraz

z końcem posiedzeń Sejmu mogą spokojnie jechać na wakacje. Jak mówią wieściurki – nikt nie chce przed wyborami ryzykować powstania „nowej Sawickiej”. Tak więc na następne wizyty CBA u osób znanych z pierwszych stron „GazWybu” oraz bywalców tefauenów będzie trzeba poczekać do jesieni. Zapewniamy jednak, że jest na co czekać.

Powyższa wiadomość nie powinna jednak cieszyć ludzi złych, występnych, ale związanych z obecnym reżimem. CBA ma na nich nie tylko oko, lecz także ucho, czego dowodem są rozmaite

Nowy Rysiek Petru już się objawił i nazywa się Robik Biedroń. Podobnie jak Rysiek nie wie za bardzo, co mówi

interesujące nagrania. Głupia sprawa, senator Kogut nie był ostatnim, którego chce posadzić CBA, a Misiewicz nie będzie ostatnim przyjmującym o szóstej rano wizyty panów w kominiarkach. ©



Nowa religia



Rafał A. Ziembkiewicz

Człowiek nosi w sobie głód dobra, oddania jakiejś wielkiej sprawie. Tę potrzebę wykorzystują klimatyści. A w tle kręcą się młyny wielkich interesów

W XVIII-wiecznej angielszczyźnie istniał idiom „to trade the air”. Owo „handlowanie powietrzem” oznaczało wyjątkowo zachwały przekręt, bezczelny szwindel i szczególnie grube oszustwo. Kto by wtedy pomyślał, że za dwieście lat szwindel polegający na „handlowaniu powietrzem” – a konkretnie, limitami „zanieczyszczania” tegoż powietrza gazem

stanowiącym od zawsze jego naturalny składnik – stanie się globalnym interesem, podpartym ideologią bliską religii?

Trudno policzyć, ile już razy dla zniewolenia bądź okradzenia całych społeczności nadużyto zaufania, jakie człowiek współczesny żywi do nauki. Teorie rasowe, które przyniosły tak fatalne skutki zeszłowiecznemu światu, były – w przekonaniu współczesnych – teoriami naukowymi, niepodlegającymi dyskusji, bo wywiedzionymi z odkryć Darwina. Skoro istnieją rasy mniej i bardziej uzdolnione (co potwierdzało oczywiście, codzienne doświadczenie – jedni przecież byli panami, stworzyli cywilizację, naukę i kulturę, a inni wykonywali na rzecz tych pierwszych proste prace), udawadniano naukowo, że rasa warunkuje nie tylko cechy fizyczne, lecz także psychiczne. Są rasy z urodzenia głupie (kolorowi), są też rasy z urodzenia chciwe, kłamliwe i niemoralne (Żydzi). Droga do stworzenia na

ziemi raju wiodła więc przez stopniową eliminację nosicieli złych cech i promowanie tych dobrych. Że to się kłóci z gadaniem klechów? Trzeba się kierować nauką – a nauka dowiodła, że droga do szczęścia ludzkości wiedzie przez zasadę doboru naturalnego, rywalizację gatunków, w której zginie ten, kto okaże słabość. Ktoś śmie zaprzeczyć oczywistym, naukowym ustaleniom?

Równie naukowy był komunizm. Moje pokolenie pamięta jeszcze, że tzw. marksizm leninizm nazywał sam siebie światopoglądem naukowym, w przeciwieństwie do wywodzącego się z zanieganego przez naukę chrześcijaństwa światopoglądu idealistycznego. Były czasy, gdy dialektyczny młot stwierdzonych naukowo „obiektywnych praw dziejów” sprawiał, że najwybitniejsze (czy w każdym razie uważane za takie) umysły epoki milcząco bagatelizowały najstraszliwsze zbrodnie Stalina, uznając, że jest



– klimatyzm

to naukowo potwierdzona „historyczna konieczność”.

NAUKOWCY I BANKOWY KRYZYS

Stosunkowo świeżym, acz oczywiście nieporównywalnym przykładem zdławienia „dowodami naukowymi” odruchów uczciwości i zdrowego rozsądku była fala doprowadzonej do absurdu chciwości globalnych banków, skutkującej wprowadzeniem do światowego obrotu „instrumentów finansowych”, nazwanych potem toksycznymi – w pewnym uproszczeniu, pozwalających zadłużać się bez końca pod zastaw wcześniej zaciągniętych długów i kreować w obrocie papiery „wartościowe”, nieodwołujące się do żadnej realnej wartości. Doprowadziło to do wielkiego kryzysu finansowego, kojarzonego z upadłym bankiem Lehman Brothers (wbrew potocznemu mniemaniu zresztą kryzys ten wciąż trwa, tylko w formie utajonej – dysfunkcje systemu zasypano bowiem nie-

wyobraźalnie wielkimi kwotami publicznej pomocy dla zagrożonych banków, ale ich nie usunięto).

W utytułowanym, dostępnym także w Polsce filmie Charlesa H. Fergussona „Inside Job” („Wewnątrz branży”) reżyser doskonale pokazał rolę, jaką w rozmontowaniu systemu zabezpieczeń przed destabilizacją systemu finansowego odegrali naukowcy – profesorowie, nobliści, uważani za najtęższych znawców ekonomii w naszych czasach. Część z nich udało się Fergussonowi namówić na rozmowę. Choć było to już po krachu, ze wszystkimi jego następstwami, profesorowie w tonie wyższości podtrzymywali swoje wcześniej głoszone opinie. Kredyty „subprime” to wielki wynalazek, zabezpieczanie długów kolejnymi długami pozwala ludzkości przekroczyć dotychczasowe bariery dla rozwoju, i pomimo pewnych zaburzeń, które miały ostatnio miejsce, jest ponad wszelką wątpliwość bezpieczne – rynek bankowy

ureguluje się sam i nikt nie powinien się w działalność banków wtrącać.

Sytuacja zmieniała się dopiero wtedy, gdy prowadzący rozmowę zaczynał ujawniać fakty mające pozostać w dyskrekcji. „Bank X, który dzięki przychyleniu się politycznych decydentów do pańskiej ekspertyzy zarobił w ostatnich latach X bilionów dolarów, uczynił pana beneficjentem programu badawczego X na kwotę...”. Wtedy wybitni naukowcy reagowali okrzykami – „Skąd pan o tym wie?”, „W wolnym czasie mogę sprzedawać moje kwalifikacje komu chcę, nie ma w tym nic nielegalnego”, „Odmawiam dalszej rozmowy” – aż po rytualne „Jeśli ośmielicie się to pokazać, moi prawnicy was zniszczą!”.

Dodać warto, że banki nie tylko kupowały najbardziej wzięte „autorytety” ekonomiczne – one również je kreowały. Ci naukowcy, którzy byli dla budowanego przez banki przekazu pożyteczni, mogli liczyć na ogromne PR-owskie wsparcie. Wszeczpotażna medialna klaka, finansowana przez zainteresowanych maksymalizowaniem zysków, promowała ich różnymi sposobami na przewodników ludzkości, gwiazdy mediów i kapłanów, wskazujących ludzkości drogę ku szczęściu.

HISTERYZOWANIE MAS

Nie sposób, mając te doświadczenia w pamięci, nie być sceptycznym wobec ogłuszającej propagandy „zmian klimatycznych”. Widać tu te same sposoby histeryzowania mas, których użyto już wielokrotnie – z kruszeniem oporu młotem „stwierdzonej naukowo, obiektywnej prawdy”.

Przeciętny człowiek jest oczywiście bezbronny, gdy propaganda zarzuca go ze wszystkich stron zapewnieniami, że podstawy narzucanej przez światowe potęgi „polityki klimatycznej” są oparte na „naukowym konsensusie”, a ci, którzy ośmielają się temu zaprzeczać, to „negacjoniści” – ludzie tego samego sortu jak ci, którzy upierają się, że Ziemia jest płaska, albo twierdzą, że cała historia o Holokauście została zmyślona.

Nawet jeśli ktoś skłonny jest zaangażować swój czas i wysiłek w weryfikowanie tych zapewnień, trudno mu dotrzeć do opinii naukowców, którzy, odrzucając profity czekające na każdego, kto przyłącza się do orkiestry straszącej klimatycznym końcem świata, przedstawiają kontrdowody. Jeśli dotrze – nie jest w stanie zweryfikować sprzecznych danych, obliczeń i wykresów.

Na tym właśnie polega ten mechanizm. Aby obezwładnić opór mas, mówimy im: ■

„nauka” – ale w istocie odwołujemy się do ich wiary w naukę.

Na szczęście, oprócz wiary człowiek ma jeszcze zdrowy rozsądek. I w nim nadzieja, że ogłuszająca propaganda, wbijająca w setki milionów głów „konieczność radykalnej walki z emisją CO₂”, może znaleźć skuteczny odpór.

Przyjmijmy na chwilę, że „antropogeniczność zmian klimatycznych” rzeczywiście została naukowo udowodniona. Przyjmijmy, dla uproszczenia dyskusji, że prawdziwe i niebudzące wątpliwości są dane, dowodzące, że w ostatnich dziesięcioleciach temperatura w skali globalnej stopniowo rośnie i że, w przeciwieństwie do znanych w historii okresów ocieplenia (wieki XV i XVIII) i ochłodzenia („małe epoki lodowcowe” wieków XVII i XIX – w tym surowa, powulkaniczna zima 1812, która zmieniła bieg historii na dwóch kontynentach, uniemożliwiając Napoleonowi pokonanie Rosji, a Wielkiej Brytanii odzyskanie kolonii amerykańskich), za zmiany te nie odpowiada aktywność słoneczna ani wybuchy wulkanów. Że tym razem przyczyną zmian klimatu jest człowiek. A konkretnie – ludzka gospodarka, wytwarzająca energię ze spalania i tym samym dodająca do naturalnej emisji CO₂ przez oceany, wulkany i przyrodę dodatkową porcję, która zaburzyła naturalne mechanizmy samoregulacyjne.

Policzmy. Według większości źródeł główne gazy cieplarniane to para wodna i metan – dwutlenek węgla to jedynie kilka ich procent. Cała ludzka emisja tego gazu to z kolei kilka procent emisji naturalnej. Miażdżąca większość tej emisji z kolei pochodzi z krajów, które w żadną „politykę klimatyczną” bawić się ani myślą – głównie z Chin, których gospodarka emituje rocznie blisko 10 tys. ton tego gazu, dwa razy więcej niż znajdująca się na drugim miejscu gospodarka USA. Dalej na liście największych emitentów mamy Indie, Rosję, Japonię, Iran i inne kraje Zatoki Perskiej... W pierwszej dziesiątce tylko miejsca szóste (Niemcy, 699 ton) i dziesiąte (Kanada, 573 ton) zajmują kraje gotowe uczestniczyć w „klimatycznych porozumieniach” (wszystkie dane za Global Carbon Atlas). Dodajmy, że są to kraje, których emisja CO₂ spada głównie dlatego, iż podążając za tanią i niechronioną żadnymi prawami siłą roboczą, tamtejsze koncerny masowo przenoszą produkcję do Chin i innych krajów, które „nadchodzącą nieuchronnie klimatyczną katastrofą” programowo się nie przejmują.

Cała Unia Europejska (włącznie z zajmującą 21. miejsce Polską emitującą rocznie 327 ton) odpowiada za ok. 16 proc. światowej emisji CO₂ przez gospodarkę. Zliczmy to: 16 proc. z kilku procent sztucznej emisji CO₂, stanowiącej kilka procent ogólnej emisji CO₂, stanowiącej kilka procent ogólnej ilości „gazów cieplarnianych”, odpowiadających w kilku, góra kilkunastu procentach za ocieplanie się klimatu... Jaki wpływ może więc wywrzeć na globalny klimat „ambitna polityka klimatyczna” UE, której założenia, ku wściekłości i hysterii lewicy, zawetował w imieniu Polski Mateusz Morawiecki?

Mniej więcej taki jak chuchanie w powietrze na przyspieszenie odwilży. Albo (brzmi to groteskowo, ale nie zmyśliłem tego) akcja niespuszczania wody po każdym użyciu ubikacji, a tylko raz dziennie, gdy już się „uzbiera”, na dostępność wody w cierpiącej suszę Afryce Subsaharyjskiej.

NACISK BOGATYCH

Mają natomiast działania uzasadniane „koniecznością ratowania Ziemi” wpływ na kondycję całych narodów. Pod pretekstem „nadciągającej katastrofy” kraje bogate usiłują narzucić regulacje, które trwale zubożą na ich rzecz i uzależnią od nich energetycznie kraje biedniejsze. Skoro nie udaje się to na skalę świata – to przynajmniej w ramach Unii Europejskiej. Wspierające na różne sposoby klimatycz-

Jaki wpływ na klimat może wywrzeć „ambitna polityka UE”? Mniej więcej taki jak chuchanie w powietrze na przyspieszenie odwilży

ną histerię w Polsce i naciskające na „dekarbonizację” nad Wisłą Niemcy opublikowały w ostatnich dniach (bez wielkiej reklamy) swoją strategię energetyczną, z której wynika, że same bynajmniej „dekarbonizować” się nie zamierzają – ani do roku 2030 (wedle ortodoksyjnej wersji „klimatyzmu” ostatniego, by ratować Ziemię), ani nawet do 2050. Na handlu limitami emisji CO₂, na narzucaniu biednym krajom „ekologicznych” technologii, będących w wyłącznym posiadaniu zachodnich koncernów (włącznie z tak bezsensownymi jak instalacje do „wyłapywania” z atmosfery, zestalania i magazy-

nowania pod ziemią CO₂), na wyłączaniu ich systemów energetycznych i zmuszaniu do kupowania energii od bogaczy można zbić biliardowe majątki i rozszerzyć wpływy polityczne w stopniu porównywalnym z epoką kolonialnej „dyplomacji kanonierek”.

I to jest główna część odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięła i za czyje pieniądze została wylansowana kolejna „naukowa” religia, dowodząca, że trzeba odejść od tradycyjnych wartości, zarzucić zdrowy rozsądek, poniechać oporu i oddać się pod władzę kolejnych szemranych proroków, za którymi stoją – zawsze – wielkie pieniądze i wielka polityka.

Inną częścią tej odpowiedzi jest psychologia społeczna. W jednej z najważniejszych powieści Philipa K. Dicka „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach” (zekranizowanej, z wielkimi zmianami, pod tytułem „Blade Runner”) ludzkość XXI w. popada w obłęd religii zwanej mesmeryzmem. Zbudowana na poczuciu winy za zniszczenie naturalnego środowiska nakazuje ona każdemu hodować jakieś zwierzę – ale ponieważ żywe zwierzęta są już niezwykle drogą rzadkością, wyznawcy trzymają w domach sztuczne, elektroniczne imitacje owiec, psów, koni etc.

Człowiek nosi w sobie głód Dobra, głód Misji, oddania jakiejś wielkiej, szlachetnej sprawie. Niestety, podobnie jak zwykły głód można zamiast wartościowym posiłkiem zaspokoić cukrową watą – tak i ten metafizyczny głód łatwo obsłużyć jakimś ersatzem. I tak właśnie czynią klimatyści, kreując kretyńsko prostą wizję „walki o ocalenie ludzkości” oraz jej proroków, w osobach ogłupionych trzynastoletków (szwedzka prorokini ruchu Greta Thunberg, jak wyznała ostatnio jej matka, „widzi dwutlenek węgla” – co zakrawa już na przypadek medyczny), i propagując rytuały, które wprawdzie nie mają najmniejszego realnego wpływu na rzeczywistość, ale spełniają potrzeby psychologiczne wyznawców, budując poczucie, że „ratując klimat”, są lepsi i szlachetniejsi. A „że się kręcą przy tym ciemne młyny”? O to przecież chodzi.

W gruncie rzeczy najsmutniejsza jest powtarzalność tych wszystkich zjawisk. Zmieniają się hasła, ideologie – ale mechanizmy ogłupiania i histeryzowania mas nie. Co pokazuje, do jakiego stopnia ludzkość niczego się nie jest w stanie na kolejnych swych paroksyzmach nauczyć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY



Szaleństwo klimatyczne



Tomasz Cukiernik

Walka z globalnym ociepleniem to gigantyczny biznes i żerowanie na pieniądzach podatników

Zdaniem ekspertów Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) gazy cieplarniane emitowane w wyniku działalności człowieka, w tym przede wszystkim dwutlenek węgla, są decydującym czynnikiem zwiększającym średnią globalną temperaturę. „Globalny wzrost stężenia dwutlenku węgla wynika przede wszystkim ze zużycia paliw kopalnych i zmian użytkowania gruntów, podczas gdy wzrost metanu i tlenu azotu wynika głównie z rolnictwa” – czytamy

w czwartym raporcie IPCC z 2007 r. „Ocieplenie systemu klimatycznego jest jednoznaczne, jak wynika z obserwacji wzrostu średniej globalnej temperatury powietrza i oceanu, powszechnego topnienia śniegu i lodu oraz wzrostu globalnego średniego poziomu morza” – podkreślają eksperci. I dodają, że „większość obserwowanego wzrostu średnich temperatur na świecie od połowy XX w. bardzo prawdopodobnie wynika z obserwowanego wzrostu antropogenicznych stężeń gazów cie-

plarnianych”. Scenariusze w czwartym raporcie przewidują, że do końca XXI w. średnia temperatura może wzrosnąć od 1,1 st. do 6,4 st. C.

FAŁSZOWANE DANE

Podobnego zdania jest część innych naukowców. „Ocieplenie powodują gazy cieplarniane, a dziś to człowiek zwiększa ich zawartość w atmosferze. Świadczą o tym niezależne pomiary, wykonywane z Ziemi i z kosmosu, w atmosferze i w oceanach, w stacjach meteorologicz-



zdaniem wielu – np. ekspertów Heartland Institute z Chicago czy Komitetu na rzecz Konstrukttywnej Przyszłości z Waszyngtonu (CFACT) – raport IPCC jest niewiarygodny i ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. – Zmiany klimatu to wymysł urzędników. Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu to grupa biurokratów, a nie naukowców, którzy swoje wnioski opierali na celowo fałszowanych danych – mówi dr Tomasz Teluk, dyrektor wolnorynkowego Instytutu Globalizacji.

Naukowcy zajmujący się zmianami klimatycznymi rzeczywiście mają kłopoty z wiarygodnością danych. Warto wspomnieć afery Climategate i Glaciegate z 2009 r. W tej pierwszej miało dojść do manipulowania danymi, aby wykazać wyższy wzrost temperatury w XX w., niż to było w rzeczywistości. W drugiej „pomyłono się” o ponad 300 lat w kwestii stopienia himalajskich lodowców. To nie wszystko. W książce George’a Reimana pt. „Ekologizm. Trucizna XXI wieku” można przeczytać, w jaki sposób manipuluje się odczytami danych temperaturowych. Pomija się pomiary ze stacji, które wskazują nieproporcjonalnie niższe temperatury, jednocześnie pozostawiając w bazie pomiary historyczne z tych stacji. Do tego dochodzi m.in. zanieczyszczenie danych w wyniku urbanizacji czy zmian rodzaju użytkowania terenu.

Meteorolog Antoni Watt wykazał, że dane amerykańskiego urzędu pogodowego wykorzystywane do badań klimatycznych przez rząd USA są zbyt niedokładne, aby mogły być wiarygodne.

„Szczegółowy monitoring parametrów klimatycznych prowadzony jest niewiele ponad 200 lat, dotyczy tylko części kontynentów, które stanowią zaledwie 28 proc. globu. [...] Badania ogromnych przestworzy oceanów zostały zapoczątkowane zaledwie przed 40 laty. Tak krótkie okresy pomiarowe nie dają pewnych podstaw do tworzenia w pełni wiarygodnych modeli zmian termicznych na powierzchni Ziemi, a ich poprawność jest trudna do weryfikacji. Dlatego należy bezwzględnie zachować daleko idącą powściągliwość w przypisywaniu człowiekowi wyłącznej czy choćby tylko dominującej odpowiedzialności za zwiększoną emisję gazów cieplarnianych, gdyż prawdziwość takiego twierdzenia nie została udowodniona” – czytamy w stanowisku Komitetu Nauk Geologicznych PAN z 2009 r.

Co więcej, w 2015 r. odkryto, że klimatolodzy często wprowadzają poprawki do odczytów temperatury w taki sposób, by zaniżać temperatury z przeszłości, a zawyżać odczyty współczesne. W 2017 r. pismo naukowe „Natural Geoscience” podało, że modele klimatyczne IPCC przewidujące wzrost temperatur po 2000 r. się nie sprawdziły.

Zwolennicy teorii globalnego ocieplenia straszą ludzkość zwiększoną liczbą kataklizmów. Tymczasem Laurens M. Bouwer z uniwersytetu w Amsterdamie odpowiada, że wzrost odnotowanych klęsk żywiołowych i spowodowane tym wyższe straty gospodarcze nie powinny być wiązane z globalnym ociepleniem. Jego zdaniem winna jest urbanizacja, bo ludzie osiedlają się w miejscach obciążonych „ryzykiem przyrodniczym”. Co więcej, okazuje się, że częstotliwość występowania np. huraganów czy susz wcale nie rośnie, ale maleje. Na przykład w 2013 r. „International Journal of Climatology” podał, że w latach 1951–2010 w obu Amerykach i w Rosji zmniejszyły się częstotliwość, czas trwania i siła susz.

BEZ POROZUMIENIA

Zwolennicy konsensusu klimatycznego powołują się na badanie Johna Cooka z Uniwersytetu Queensland w Australii z 2013 r., które obejmowało analizę niemal 12 tys. artykułów naukowych z lat 1991–2011. Z badania ma wynikać, że 97 proc. naukowców uważa, iż ocieplenie się klimatu jest efektem działalności człowieka. Jednak taki wynik tej analizy jest zwykłą manipulacją. Otóż w rzeczywistości 66,4 proc. autorów badanych artykułów, które zawierały wyrażenia „globalne zmiany klimatu” lub „globalne ocieplenie”, w ogóle nie wyraziło opinii na temat przyczyn globalnego ocieplenia i te artykuły po prostu... odrzucono, a tylko 32,6 proc. wyraziło opinię o antropogenicznym globalnym ociepleniu. I w tej ostatniej grupie 97,1 proc. autorów uważało, że globalne ocieplenie jest spowodowane działaniem człowieka.

Dlatego bliższe prawdzie może być Amerykańskie Stowarzyszenie Meteorologiczne, które w 2013 r. wykazało, że w grupach zawodowych związanych z pogodą i klimatem 52 proc. ankietowanych uważa, iż globalne ocieplenie jest powodowane głównie działalnością człowieka.

nych i w laboratoriach” – czytamy na stronie Naukaoklimacie.pl.

W jednym z raportów badacze stwierdzili, że na radykalne ograniczenie emisji CO₂ świat ma czas tylko do 2030 r.

Bardziej ostrożna w swych prognozach jest UE. W kwietniu unijny urząd – Europejski System Analizy Strategicznej i Politycznej – ogłosił raport „Wyzwania i wybory dla Europy”. Eurokraci straszą w nim, że jeśli nie utrzyma się wzrostu temperatury poniżej 1,5 st. C, to ludzkość wyginie jeszcze w tym stuleciu. Jednak

FOT. ANDRZEJ STYCK

■ Nie ma jednogłośnie naukowej w kwestii globalnego ocieplenia. Emerytowany profesor William Happer z Uniwersytetu w Princeton uważa, że dwutlenek węgla nie jest zanieczyszczeniem, a ludzkość raczej nie jest w stanie wpływać na naturalne zmiany klimatu. Nieżyjący już prof. Zbigniew Jaworowski w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” w 2008 r. mówił, że CO₂ pochodzenia ludzkiego to tylko 4,5 proc. strumienia naturalnego pochodzenia CO₂, a „dane wskazują, że ocieplenie klimatu nie ma związku z zawartością CO₂ w powietrzu”. Reszta to emisje naturalne, głównie przez oceany, a także lądy i wulkany.

Profesor Przemysław Mastalerz w swojej książce „Ekologiczne kłamstwa ekowojowników” pisze, iż obserwacje klimatu przez ostatnie 100 lat „nie przyniosły dowodu, że przyczyną ocieplenia jest wzrost stężenia dwutlenku węgla w powietrzu”. Dodaje, że „stopień całej pokrywy lodowej na Antarktydzie musiałoby trwać ok. 15 tysięcy lat”, a „obserwowane od 100 lat ocieplenie, wynoszące ok. od 0,5 do 1 st. C, jest po prostu wynikiem naturalnego cyklu, czyli oznacza normalne ocieplenie się klimatu po oziębieniu w małej epoce lodowej”. Zdaniem prof. Mastalerza nie znamy przyczyn zmian klimatu ani występujących na przemian epok lodowych z okresami cieplejmi.

Niektórzy naukowcy twierdzą, że globalne ocieplenie jest związane z aktywnością Słońca, prądami morskimi czy promieniowaniem kosmicznym. „Efekt cieplarniany jest powodowany przede wszystkim przez parę wodną w powietrzu, która odpowiada za to zjawisko w 95–99 procentach! [...] A dwutlenek węgla powstały na skutek działalności człowieka dodaje do tego poniżej 0,2 procent. To jest kompletnie nic wobec naturalnych zmian klimatu” – wyjaśniał w wywiadzie prof. Jaworowski. Zaznaczał, że klimat zależy przede wszystkim od Słońca, a nie istnieją żadne zależności pomiędzy zmianami dwutlenku węgla w atmosferze a klimatem.

Składający się z niezależnych naukowców Pozarządowy Międzynarodowy Panel o Zmianach Klimatu (NIPCC) zebrał dane, które także udowadniają, że aktualne globalne ocieplenie ma podłoże naturalne, a gazy cieplarniane mają minimalny wpływ na temperaturę na świecie. Co więcej, działający jak nawóz CO₂ ma stymulujący wpływ na vegetację roślin,

co powoduje stabilność ekosystemu i przedłużenie jego życia. Już w 1998 r. w tzw. petycji oregońskiej, podpisanej przez 31 tys. amerykańskich naukowców, nie tylko wyrażono przekonanie, że brakuje dowodów na to, iż gazy cieplarniane spowodują zmiany klimatyczne, lecz także wykazano pozytywny wpływ większego stężenia dwutlenku węgla na środowisko.

PEWNA TYLKO ZMIENNOŚĆ

Tymczasem samo istnienie globalnego ocieplenia jest dyskusyjne. Niektórzy naukowcy przewidują nadchodzące globalne oziębienie związane ze zmniejszoną aktywnością Słońca, a nawet małą epokę lodowcową. W połowie 2018 r. NASA poinformowała, że średnia temperatura od lutego 2016 r. do lutego 2018 r. spadła o 0,56 st. C. Według Dona Easterbrooka, geologa z Western Washington University, klimat Ziemi nie

„Obecnemu ociepleniu towarzyszy wzrost zawartości gazów cieplarnianych w atmosferze: wśród nich dominuje para wodna, a w mniejszych ilościach występują m.in. dwutlenek węgla, metan, tlenki azotu i ozon. Tak działa się zawsze, bo jest to zjawisko nierozłączne związane z cyklicznym ocieplaniem i oziębianiem” – dodaje Komitet Nauk Geologicznych PAN.

Heartland Institute wskazuje natomiast, że długoterminowe badania geologiczne nie dowiodły związku pomiędzy ocieplaniem się klimatu a wzrostem stężenia CO₂. Były okresy, kiedy następował wzrost stężenia dwutlenku węgla, a temperatury spadały, i odwrotnie – spadało stężenie CO₂, a temperatury rosły.

Oczywiście jednorazowy śnieg późną wiosną czy upalne lato o niczym nie świadczą, bo jest to kwestia bardziej lokalnej pogody niż globalnych zmian klimatycznych, ale faktem jest, że w tym

Niektórzy naukowcy twierdzą, że wzrost stężenia gazów cieplarnianych jest efektem wyższych temperatur, a nie odwrotnie

ociepla się, lecz ochładza, a następstwa tego procesu są groźniejsze. Ochłodzenie może spowodować bowiem dwa razy więcej przypadków śmiertelnych, m.in. poprzez uszczuplenie zasobów żywności wynikające ze słabszej vegetacji roślin uprawnych. Podobnie naukowcy z Uniwersytetu w Edynburgu ogłosili niedawno, że zmiany w orbicie ziemskiej sprawiają, iż czeka nas niebawem trwająca tysiąclecia epoka lodowcowa.

Właściwie pewna jest tylko zmienność klimatu. „Badania geologiczne dowodzą niezbicie, że stała zmienność jest podstawową cechą klimatu Ziemi w całej jej historii, a zmiany zachodzą w nakładających się cyklach o różnej długości – od kilkuset tysięcy do kilkunastu lat” – czytamy w stanowisku Komitetu Nauk Geologicznych PAN.

Co więcej, niektórzy naukowcy twierdzą, że wzrost stężenia gazów cieplarnianych jest efektem wyższych temperatur, a nie odwrotnie. Zdaniem prof. Jaworowskiego w okresach historycznych najpierw następowało ocieplenie i wówczas zwiększała się zawartość CO₂ w powietrzu, bo ocieplone oceany oddawały ten gaz do atmosfery.

roku w USA i Kanadzie była szczególnie mroźna i długa zima.

Jakobshavn, największy lodowiec na Grenlandii, zamiast topić się zgodnie z teorią globalnego ocieplenia, w tym roku przyrasta trzeci rok z rzędu. Jednak są też dowody na to, że lód Antarktydy topnieje, bo ogrzewa się od wnętrza Ziemi.

MILIARDY NA WALKĘ

Zdaniem agencji ONZ ds. środowiska (UNEP) zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych do atmosfery należy wymusić z jednej strony zwiększeniem obciążeń fiskalnych energetyki zasilanej paliwami kopalnymi, a z drugiej strony hojnym dotowaniem energetyki opartej na odnawialnych źródłach energii. Na to – zdaniem ekspertów ONZ – trzeba w skali świata wydawać aż 2,4 bln dol. rocznie.

Już podczas szczytu klimatycznego w Kopenhadze z 2009 r. ustalono, że na walkę ze zmianami klimatu w latach 2012–2020 będzie wydawane 100 mld dol. rocznie. Z kolei na COP24 w Katowicach w 2018 r. zdecydowano, że w 2020 r. ma zostać rozpoczęta dys-

kusja na temat zwiększenia finansowania poza ustalone 100 mld dol.

Najbardziej gorliwym zwolennikiem ograniczania emisji gazów cieplarnianych jest Unia Europejska, która forsuje swój pakiet energetyczno-klimatyczny. 28 listopada 2018 r. Komisja Europejska przyjęła strategię dla klimatu do 2050 r. pt. „Czysta planeta dla wszystkich”. Bruksela chce, by na ograniczenie emisji dwutlenku węgla do zera do 2050 r. była wydawana astronomiczna kwota nawet 290 mld euro rocznie. Na razie kraje Grupy Wyszehradzkiej zablokowały wejście w życie tych planów. Jednak firma doradcza McKinsey już wyliczyła, że realizacja unijnych wymagań klimatycznych tylko do 2030 r. będzie kosztowała Polskę aż 92 mld euro.

Kto na tym zarobi? Kristalina Georgiewa, wiceprezes Banku Światowego, powiedziała, że po 2020 r. jej instytucja zamierza podwoić zaangażowanie finansowe na rzecz walki ze zmianami klimatu. W ciągu pięciu lat państwa świata miałyby zadłużyć się na ten cel w Banku Światowym na gigantyczną kwotę 200 mld dol.

W maju szefostwo MFW wezwało do wprowadzenia... globalnego podatku klimatycznego, który miałyby ograniczyć zużycie paliw kopalnych i w efekcie doprowadzić do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych. Wpływy z nowego obciążenia miałyby służyć finansowaniu projektów związanych z odnawialnymi źródłami energii.

Obie strony konfliktu obrzucają się oskarżeniami o sprawy finansowe. Zwolennicy teorii o ludzkim pochodzeniu globalnego ocieplenia twierdzą, że przeciwnicy tej teorii są opłacani przez koncerny naftowe czy inne instytucje. Z kolei przeciwnicy teorii oskarżają zwolenników, że ich pogląd jest wynikiem podpięcia się do kasy podatników. „Są opłacani tak hojnie, że gotowi są zapomnieć o podstawowej naukowej prawdzie: ochłodzenie i ocieplenie następują po sobie, ponieważ klimat ma charakter zmienny” – czytamy w książce pt. „Mitologia efektu cieplarnianego” dr. Teluka.

Al Gore, były wiceprezydent USA i ikona walki z globalnym ociepleniem, zbił fortunę na inwestycjach w zielone technologie. Jednocześnie jego katastroficzne wizje się nie spełniają. Gore przewidywał m.in., że jeśli nie zmniejszy się emisji CO₂, to już w 2014 r. Arktyka będzie wolna od lodów. Zresztą już w 1989 r.

Noel Braun, dyrektor UNEP, ostrzegał, że jeśli do 2000 r. nie zostanie odwrócony trend globalnego ocieplenia, to z powodu podniesienia poziomu mórz całe narody znikną z powierzchni Ziemi.

Naukowcy, którzy kwestionują globalne ocieplenie, nie otrzymują dotacji lub nawet tracą stanowiska.

TO PRZEJAW PYCHY

Wydaje się, że mit globalnego ocieplenia służy ograniczeniu wolności nie tylko gospodarczej. Václav Klaus, były prezydent Czech, w swojej książce „Błękitna planeta w zielonych okowach” pisze, że jest to batalia o ograniczenie ludzkich praw i swobód, która nie służy ochronie przyrody, lecz jest największym zagrożeniem dla wolności, demokracji, gospodarki rynkowej i współczesnego rozwoju”. Podobnie Marc Morano z CFACT, były polityk Partii Republikańskiej, uważa, że celem „walki z klimatem” nie jest ochrona planety, ale kontrola światowej gospodarki i ludzi oraz depopulacja, a dochodzi do tego, iż pojawiły się już nawet propozycje karania kłamstwa klimatycznego! – Im chodzi o centralne sterowanie, aby regulować gospodarkę – podkreśla Morano. Profesor Richard Lindzen, fizyk atmosfery i meteorolog MIT, uważa, że głównym celem tych działań jest obalenie cywilizacji przemysłowej. Zagrożeniem nie jest bowiem globalne ocieplenie, lecz zmiany w gospodarce, które proponują politycy.

W 2015 r. w wywiadzie dla organizacji Climate One Christina Figueres, ówczesna sekretarz wykonawcza ONZ-owskiiej Ramowej Konwencji ws. Zmian Klimatu, wypowiedziała szokujące słowa. Stwierdziła, że ludzkość jest strasznym obciążeniem dla planety i powinniśmy podjąć kroki w kierunku wyłudnienia Ziemi. Jest już zresztą cała nowa moda – aktywiści klimatyczni nie chcą mieć dzieci, bo te przez całe życie szkodzą klimatowi, emitując CO₂.

Pomysły na ratowanie klimatu są coraz ciekawsze. Niemal 20 proc. Finów chce zrezygnować z jazdy samochodem. Radni Reykjavíku zagłosowali za zmniejszeniem o połowę liczby stacji benzynowych w mieście, a holenderska grupa RAI wezwała rząd do obniżenia maksymalnej prędkości w terenie zabudowanym z 50 do 30 km/godz. WWF proponuje, by ludzie zrezygnowali z prasowania, a władze Nowego Jorku

ogłaszają „bezmieśne poniedziałki” w szkołach publicznych.

Profesor Jaworowski stwierdził, że pogląd, iż człowiek może wpływać na klimat globalny, to przejaw pychy. Oprócz niej są jeszcze pieniądze. W polityce klimatycznej chodzi bowiem głównie o biznes. Paweł Sałek, doradca prezydenta RP ds. ochrony środowiska, uważa, że konwencje ONZ ds. klimatu to porozumienia nie tyle klimatyczne, ile bardziej quasi-gospodarcze, które „w bezpośredni sposób wpływają na gospodarkę krajów, regionów, a także decydują o tym, kto, gdzie i w jaki sposób na świecie – mówiąc wprost – będzie mógł się rozwijać”.

– Być może chodzi tylko o to, żeby dokonywać na siłę w stosunku do innych krajów transferu technologii – zauważa Sałek w programie TVP „Warto rozmawiać”. Potwierdza to poseł Krzysztof Sitarski, zastępca przewodniczącego sejmowej Komisji ds. Energii i Skarbu Państwa. – To jest gra interesów. To nie jest tak, że wszyscy idą w jednym kierunku. Tu każdy w swoją stronę przeciąga tę linę – zaznacza. Dlaczego promuje się np. akurat kosztowne i nieprzewidywalne wiatraki? Ponieważ sprzedają je

Są już nawet aktywiści klimatyczni, którzy nie chcą mieć dzieci, bo te, żyjąc, szkodzą klimatowi, emitując CO₂

gospodarki rozwinięte, takie jak Niemcy, Holandia czy Francja. Nie inaczej jest z wyjątkowo drogą elektromobilnością.

Jak zaznacza Craig Rucker z organizacji Committee for a Constructive Tomorrow z USA, niebezpieczeństwo płynie nie z „wywołanego przez człowieka globalnego ocieplenia, ale z wywołanej przez człowieka hysterii”. Częścią tej hysterii jest choćby nieetyczne wykorzystywanie zindoktrynowanych i nieświadomych dzieci, takich jak 16-letnia Szwedka Greta Thunberg, która w 2018 r. pod parlamentem w Sztokholmie zainicjowała protest przeciwko zmianom klimatycznym. Jej śladem w tym roku Wakacyjny Strajk Klimatyczny pod Sejmem rozpoczęła 13-letnia Inga Zasowska z Grodziska Mazowieckiego.



FOT. ANDRZEJ HULAKA/FORUM

Lewica sparaliżowana



Piotr Semka

Jakie scenariusze stoją przed lewicą w nadchodzących wyborach? Dużo zależy od tego, jak zachowa się PSL

Jeśli założymy, że jesienne wybory odbędą się 13 października, to do końca kampanii jest już mniej niż sto dni. Mimo że jest już tak niewiele czasu – w obozie opozycji trwa swoista komedia dell'arte. Absolutny mętlik wokół układu sojuszy wyborczych.

Konfliktu, który dzieli dziś opozycję, nie byłoby, gdyby nie polityczne trzęsienie ziemi w Polskim Stronnictwie Ludowym po klęsce w eurowyborach i wyjściu PSL z Koalicji Obywatelskiej. Początkowo zapowiedzi samodzielnego startu ludowców pod szyldem Koalicji Polskiej uznano za kolejną licytację w celu poprawienia swej pozycji w Koalicji Obywatelskiej. Jednak z czasem okazało się, że determinacja Władysława Kosiniaka-Kamysza nie była chwilowa, i zbieranie pod zielonym sztandarem byłych posłów PO wyrzuconych za konserwyzm dodało działaniom ludowców nieco więcej wiarygodności.

Kosiniak-Kamysz zaszachował Schetynę żądaniem usunięcia z Koalicji SLD i partii Wiosna. Dla Grzegorza Schetyny był to dość bolesny manewr. Zmuszał lidera PO do wyrazistego określenia ideowego, czego dotąd ten starał się unikać.

Żądania PSL zbiegły się z irytacją części „dołów” Platformy, rozgniewanych przechwałkami lidera Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Włodzimierza Czarzastego, że to jego ugrupowanie tak naprawdę wygrało majowe wybory.

O ile jednak Schetyna może czuć jedynie irytację z racji ideologicznych żądań PSL, o tyle wizja centrowej koalicji PSL-PO to nieporównanie gorsza wiadomość dla lewicy.

Rozpatrzmy sytuację trzech głównych sił lewicy przy obecnym stanie gry przy opozycyjnym stoliku (słabiutkich zielonych możemy na razie pominąć w tych rozważaniach).

1. SLD, CZYLI OBUDZENIE ZE SŁODKIEGO SNU

Z chwilą pełnoprawnego wejścia do Koalicji Obywatelskiej skończyła się dla

Włodzimierza Czarzastego długa pokuta za aferę Rywina. „Gazeta Wyborcza” podejrzewała go, że był jednym z mózgów intrygi mającej zmusić Agorę do wypłaty 17,5 mln dol. w zamian za możliwość zakupu jednej ze stacji telewizyjnych. Przez długie lata Czarzasty był na salonach lewicowo-liberalnych wykłety i dopiero w obliczu problemów z rządami PiS środowisko „Wyborcze” niechętnie, ale jednak, udzieliło mu amnestii za dawne grzechy.

Uskrzydłony wprowadzeniem aż pięciu eurodeputowanych do Brukseli – Czarzasty pysznił się sukcesem, a jednocześnie przedstawiał się jako najwierniejszy syn koalicji stworzonej przez Schetynę. Lider SLD był przekonany, że bez niego żadna koalicja nie jest możliwa i swoje dobre samopoczucie okazywał – jak się okazuje – zbyt demonstracyjnie.

Pewny miejsca na opozycyjnej łodzie Czarzasty nie potrafił się powstrzymać od wbijania szpilek kolegom z lewicy. Jeszcze 4 lipca wyśmiewał teksty publicysty „Krytyki Politycznej” Michała Sutowskiego, wychwalając Roberta Biedronia jako wielką nadzieję lewicy.

Jednak w ciągu kolejnych dni lipca do Czarzastego zaczęły dochodzić niepokojące pomruki z otoczenia Schetyny. Choćby propozycje, by miejsca na listach koalicji dawać tylko politykom SLD bez przeszłości w PZPR. Czarzasty w partii komunistycznej był (zapisał się w 1983 r. jako 23-latek), więc mógł odebrać to jako osobisty atak. Na dodatek Sławomir Neumann zaczął przypominać, że PO zawsze była partią centrową i konserwatywno-liberalną.

Od tej chwili lider Sojuszu przyjął nową strategię. „Ja swoją partię do Sejmu wprowadzę” – ogłosił z wystudiowaną pewnością siebie w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”. I zapewnił, że SLD ma dwa równoległe warianty – albo pójście z Koalicją Obywatelską, co byłoby według niego najlepsze, albo z koalicją lewicową SLD-Wiosna-Lewica Razem.

A potem ze strony SLD posypały się kpiny z nagłej politycznej pryncypialności ludowców. Anna Maria Żukowska, rzeczniczka Sojuszu, tak ironizowała na temat nowej polityki PSL: „Cztery lata okrzyków »Zjednoczona opozycja«. Wiele rozmów, że trzeba wygrać z PiS-em. Spotkania u nas w biurze i w biurze PSL przed wyborami. Wtem lewica przeszkadza. A Jażdżewski, Nowacka, Trzaskowski, Tusk?”

Rzeczniczka SLD trafiła w ludowców celnie. Istotnie, jeśli w kampanii do euro-parlamentu doszło do przechyłu w lewo, to był to efekt przyjęcia przez Rafała Trzaskowskiego deklaracji LGBT słów Pawła Rabej z Nowoczesnej o homoadopcji czy wreszcie antykościelny wyskok na UW Leszka Jażdżewskiego utożsamianego z Donaldem Tuskiem.

Jednak dla PSL logika nie jest teraz najważniejsza. Zwrot nastrojów na wsi w prawo to problem, który zagraża istnieniu ludowców w terenie. To dlatego żądanie wykluczenia z Koalicji Obywatelskiej SLD i Wiosny brzmi tak dobrze w elektoracie wiejskim.

Dlaczego wizja sojuszu PO z PSL pod szyldem centrowo-chadeckim tak bardzo niepokoi Czarzastego?

Rzecz w tym, że lider SLD przyzwyczaił się do wygrywania sporych korzyści za pomocą dość kiepskich kart. Owszem, Sojusz jest wciąż sprawną i liczną strukturą. Wykazało to referendum w sprawie startu SLD w wyborach, w których wzięło udział 13 tys. członków partii na 20 tys. uprawnionych. Równie rozwiniętych struktur co Sojusz nie mają ani Wiosna, ani Lewica razem. Jednak tu już atuty się kończą.

W eurowyborach poszło SLD dobrze, bo wystawiła stare gwiazdy od Leszka Millera do Włodzimierza Cimoszewicza. Jednak to już ostatnie pamiętki po sytych latach przełomu wieków, gdy Sojusz był potęgą i miał za sobą popularnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Teraz mija już 14 lat od chwili, gdy SLD ostatni raz był u władzy. A Czarzasty nie ma zbyt wiele chwytliwych nazwisk w swojej partii. Sam, mając 59 lat, nie jest już młodzieniaszkiem, a jego partia od czterech lat jest poza Sejmem i drugiej takiej kadencji na zielonej trawce może już nie przetrzymać.

Co pozostaje? Wzywanie do zakończenia „oper mydlanej”, przypomnienie o głównym wrogu – władzy PiS – i liczenie na nacisk salonu, na czele z „Gazetą Wyborczą”, by jednak stworzyć jedną listę opozycji. Czarzasty posuwa się nawet do tak tanich chwytów jak głoszenie – bez najmniejszych na to dowodów – że PSL jest już dogadane z Jarosławem Kaczyńskim i wystąpi w roli koalicjanta po wyborach. Tworzyć to ma sytuację nacisku. Jeśli PSL nie wejdzie teraz do wspólnej koalicji, to nie będzie w stanie udowodnić, że nie spiskuje z Nowogrodzką. Jeśli jednak Władysław

■ Kosiniak-Kamysz wytrzyma ten nacisk, a Schetyna spisie SLD na straty, to Czarzasty boleśnie odczuje nową sytuację. Budowa lewicowej koalicji będzie niełatwa.

2. WIOSNA, CZYLI JAK DOTRWAĆ DO JESIENI

O ile konta internetowe Włodzimierza Czarzastego aż kipią od emocji, skrywanych niepokojów czy buńczucznych ultimatów wobec Grzegorza Schetyny, o tyle portal twitterowy partii Wiosna zachowuje się, jakby nic ciekawego się nie działo.

Robert Biedroń udziela wywiadów ze spokojem i bez emocji. Jego krytycy w partii wiążą to z uzyskaniem mandatu europosła. Jeden z polityków Wiosny z goryczą wskazuje: „Na długie pięć lat Robert ma zapewniony wikt i opierunek. Pewnie stanął przed Krzysztofem Śmieszkiem wyrecytował: »Panie prezesie, zadanie wykonane! Po co jeszcze ma martwić się o partię?»”.

Coś w tym chyba jest, bo dziś nie widać u Biedronia ani jednej dziesiątej tego, co okazywał w kampanii do europarlamentu. Były prezydent Słupska najpierw rozsiedział lewicę deklaracją, że chce rozmawiać najpierw ze Schetyną o wspólnej koalicji. Potem 5 lipca, jak gdyby nigdy nic, zmienił linię. W Radiu TOK FM ogłosił: „Zaczniemy od próby zjednoczenia lewicy. A potem zastanowimy się, czy dodanie tego, co przynosi ta postępową część sceny politycznej do centroprawicowej, daje zysk czy przynosi straty dla opozycji”. Znowu mówił bez emocji i tak jakby opozycja miała jeszcze długie miesiące na wybór odpowiedniej formuły startu w wyborach.

Tymczasem teksty o stanie Wiosny w „Polityce” i na łamach „Gazety Wyborczej” pokazują dość ponury krajobraz. Partia rozgorączcona jest nepotyzmem Biedronia i byłego wiceszefa partii Marcina Anaszewicza. Ten ostatni podał się ostatnio do dymisji z funkcji wiceprezesa Wiosny. Jak twierdzą jego krytycy – aby objąć atrakcyjne finansowo stanowiska szefa biura Biedronia w Brukseli i przy okazji być bliżej swej narzeczonej, świeżo upieczonej europosłanki Sylwii Spurek.

Wiosna to dziś partia pozbawiona zasobów pieniędzy, pełna konfliktów wewnętrznych i oskarżeń o mobbing. Ilustracją stanu wewnętrznego skłócenia partii jest to, że Robert Biedroń zablokował na Twitterze dostęp do swego konta

Robertowi Smuczowi, pełnomocnikowi partii z Podkarpacia. W Świętokrzyskiem pełnomocniczka Wiosny Małgorzata Marenin wraz z wieloma aktywistami odeszła do SLD. Nic dziwnego, że w tej sytuacji znacznie więcej nerwowości niż Biedroń wykazują ci eksperci lewicy, którzy ulegli czarowi lidera Wiosny i weszli na jego listy, tacy jak Maciej Gdula, a dziś boją się ośmieszenia.

To choćby Adam Traczyk, który w partii Biedronia miał odpowiadać za politykę zagraniczną, a teraz na portalu „Krytyki Politycznej” nerwowo wzywa do szybkiego stworzenia ponadpartyjnej koalicji wyborczej lewicy. Ponadto Traczyk, tym razem z Michałem Syską z lewicowego think tanku dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a opublikowali na łamach „Rzeczpospolitej” duży artykuł wzywający do tego, by koalicja antypisowska odrzuciła język antypisu, ale utworzyła się na socjalne i ekologiczne postulaty lewicy.

Jednocześnie wykipując ostatnie wzmożenie w PO wokół wyjazdów w teren, pisząc: „W polityce jest jak w piłce nożnej. Lepiej mądrze stać, niż głupio biegać”. Zabrzmiało to jak kąśliwa recenzja z wizyty Bartosza Arłukowicza w Węgrowie.

3. LEWICA RAZEM, CZYLI TRWANIE W TRWANIU

Kłopoty Sojuszu Lewicy Demokratycznej z PSL i Grzegorzem Schetyną uważnie obserwowane są w partii Adriana Zandberga. Liderzy Lewicy Razem natychmiast zaczęli wysyłać w świat zachęające manifesty.

Maciej Konieczny z władz partii zagrzmiął na zaimprovizowanej konferencji prasowej: „Apelujemy do Roberta Biedronia i Włodzimierza Czarzastego. Nie kapitulujcie! Nie dajmy się rozjechać konserwatywnemu walcowi. 14 proc. dla wspólnej listy lewicy to dużo więcej niż mandaty z przydziału Schetyny i daleko idące kompromisy ideowe z konserwatywnymi liberałami”.

Podobne wizje snuje Mateusz Mirys, inny polityk z czołówki Lewicy Razem: „Koalicja na partnerskich zasadach ugrupowań na lewo od PO – Wiosna, SLD, Razem, Zieloni, Ruch Sprawiedliwości Społecznej – miałyby szanse nie tylko na ponad 10 proc. głosów, ale byłaby też w stanie powalczyć o wygraną z liberałami o miejsce drugiej siły politycznej w Polsce”.

Brzmi to kusząco, ale wymaga cudu – pogodzenia osobowości cynicznego Czarzastego, nieprzewidywalnego Biedronia i pryncypialnego ponuraka Zandberga. I to wszystko pod warunkiem, że Schetyna zmusi SLD i Wiosnę do opuszczenia ciepłego gniazda Koalicji Obywatelskiej. Na dodatek realia polityczne mogą wymagać startu kandydatów Wiosny i Lewicy Razem z listy SLD.

Reguły wyborcze są bowiem bardzo brutalne. Koalicja partii musi zmierzyć się z progiem 8 proc. A jeśli użyta zostanie formuła „komitetu wyborców”, to w razie przegranej nie ma szans na dotacje po przekroczeniu progu 3 proc. Wtedy np. Lewica Razem straci dotychczasową dotację, którą zdobyła po wyborach w 2015 r.

Włodzimierz Czarzasty bez ogródek wyjaśnia kolegom z lewicy, jak jest: „Jeśli będziemy robili blok lewicowy, to zaprosimy do rozmów pana Biedronia, pana Zandberga i panią Zawiszę (lub przyjmijemy ich zaproszenie), zaproponujemy budowę sztabu i podzielenie się pracą. Liczba wariantów jest określona. Powołanie komitetu wyborczego wyborców oznacza brak subwencji. Jest też możliwość startu z list jednej partii, która potem dostaje subwencję. Jest też wariant, pod którym my się na pewno nie podpiszemy, czyli pójdzie jako komitet koalicyjny. Wtedy wszyscy mają subwencję, ale trzeba przekroczyć próg 8, a nie 5 proc. poparcia. To marny pomysł”.

Lider Sojuszu nie kryje przed kolegami z lewicy brutalnej prawdy – jeśli chcecie startować razem, to tylko z listy najsilniejszego podmiotu, czyli SLD.

Dla takich polityków jak Maciej Gdula czy Michał Syska będzie to gorzka pigułka do przełknięcia. Dla lewicowych tożsamościowców w rodzaju Zandberga tym bardziej.

Dlatego do samej próby stworzenia osobnej koalicji lewicy dojdzie na samym końcu. Jak już nie będzie szans na wslizgnięcie się do wielkiej koalicji Schetyny.

I tak wracamy do pytania: Jak silna będzie determinacja PSL w obronie ich świeżego image’u chadeków? Cynicy twierdzą, że pryncypializm ludowców nie będzie trwał w nieskończoność.

Jednak na razie lewicowcy jak grzeczne dzieci muszą czekać na to, co wyniknie ze sprzeczki dorosłych – Władysława Kosiniaka-Kamysza i Grzegorza Schetyny.



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



Gdy PiS i PO już rozpoczęły kampanię wyborczą w terenie, Polskie Stronnictwo Ludowe prowadziło dopiero gorące wewnętrzne debaty, jak w ogóle w tych wyborach wystartować: samodzielnie, w koalicji z Platformą (ale bez radykalnie lewicowych światopoglądowo ugrupowań) czy może tworząc własny, chadecki blok – Koalicję Polską – której powstanie zapowiadał Władysław Kosiniak Kamysz.

– Jesteśmy w polityce nie tylko po to, żeby być w parlamencie, lecz także żeby przekonać i przyciągnąć jak największą liczbę wyborców. Przyciągnąć też wyborców od PiS – mówił niedawno w rozmowie z TVN24 lider ludowców.

Tyle że chętnych do tworzenia chadeckiej koalicji z Polskim Stronnictwem Ludowym wśród poważnych partnerów na polskiej scenie politycznej nie ma zbyt wielu. A partia Kosiniak-Kamysza po nieudanym starcie w wyborach samorządowych, w których zdobyła zaledwie 12,07 proc. głosów (w 2014 r. było to 23,88 proc.) zaliczyła klęskę w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Mariaż z promującą liberalizm światopoglądowy Koalicją Europejską, w skład której obok PO i ludowców weszły także lewicowe i ultralewicowe ugrupowania – SLD, Zieloni, Nowoczesna – okazał się dla PSL kolejną porażką. Zdobyli zaledwie trzy z 22 mandatów, które przypadły KE. Straty polityczne ludowców okazały się jednak znacznie większe. Układ z ugrupowaniami promującymi LGBT i gender spowodował odwrót sporej części tradycyjnych wyborców uważanych dotąd za żelazny elektorat tej partii.

– Jaki był efekt dotychczasowej polityki naszych przywódców? Ot taki, że ludzie związani z Izbami Rolniczymi w regionach, czyli środowiska bardzo wpływowe w naszym elektoracie na wsiach i w małych miasteczkach, w eurowyborach poparli PiS – narzeka w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy” jeden ze spin doktorów PSL, kojarzony ze środowiskiem Adama Struzika. – Mamy swoich działaczy w 26 izbach wojewódzkich, tylko w trzech z nich ludzie zaangażowali się w naszą kampanię, pozostali w mniejszym lub większym stopniu wspierali PiS – dodaje.

Konflikt wśród ludowców stał się tak widoczny, że grupa terenowych działaczy z Podlasia kilka dni temu, nie czekając na formalne zakończenie negocjacji koalicyjnych prowadzonych przez władze partii, ogłosiła, iż nie będzie na nie czekać i ma już własne listy wyborcze.



Konieczynka na katafalku



Wojciech Wybranowski

W jesiennych wyborach działacze PSL walczyć będą o mandaty i dotacje, a Kosiniak-Kamysz o utrzymanie fotela lidera. Jednak czy ludowcy w ogóle przetrwają w obecnej formie?

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

„Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Stronnictwa Ludowego w Białymstoku rekomendowało potencjalnych kandydatów na listy do wyborów parlamentarnych” – napisano w wysłanym mediom oświadczeniu.

– PSL jest na prostej drodze do politycznego niebytu. Co ciekawe, przez lata była to jedna z niewielu partii, której udawało się wychodzić cało z wewnętrznych sporów i walki frakcji, niekiedy nawet bardzo ostrych. Partie się rozpadały, a szyld PSL trwał. Teraz wzajemne animozje i napięcia są tak duże, że po raz pierwszy przyszłość „ludowej” partii wisi na włosku – uważa dr Jacek Kloczkowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej. Jego zdaniem ewentualny rozpad PSL byłby „iście kopernikańską rewolucją na polskiej scenie politycznej”.

WOJNA POKOLENIOWA

Część analityków wskazuje, że wewnętrzny konflikt trapiący PSL to wojna międzypokoleniowa – starzy wyjadacze kontra młode pokolenie Kosiniaka-Kamysza. Jak mówią nam jednak ludzie związani z „koniczynką”, sytuacja wygląda nieco inaczej. Z jednej strony rzeczywiście znaleźli się starzy „baronowie” PSL, którzy utracili wpływ w partii po „czystce” przeprowadzonej przez Kosiniaka-Kamysza, a po ostatnich wyborach samorządowych utracili także własne, często lukratywne bastiony samorządowe. Ta grupa nazywana nieoficjalnie „frakcją Sawickiego” w niewielkiej części zazębia się z „grupą Pawłaka”, czyli ze środowiskiem byłego premiera Waldemara Pawłaka, który ponownie zaczął – jak wszystko wskazuje – walczyć o fotel lidera PSL. Jednak coraz mocniej głowę podnosi także tzw. frakcja młodych – Forum Młodych Ludowców PSL, związana z Miłoszem Motyką, dziś jeszcze wspierająca Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale – jak mówią nasi informatorzy – coraz częściej próbująca grać na własną rękę.

– Gdy niedawno na Radzie Naczelnej PSL zapadła decyzja, że będziemy budować własną chadecką grupę lub nawet pójdziemy samodzielnie do wyborów, młodzi w kuluarach nie kryli niezadowolenia. Im bliżej do młodych wykształconych z wielkich ośrodków niż do naszych tradycyjnych wyborców – mówi nam poseł PSL, uważany za stronnika Pawłaka.

Wewnętrzne konflikty w PSL wyszły na światło dzienne krótko po niefortunnie zakończonych dla PSL wyborach do PE. To właśnie wówczas wiceszef klubu

parlamentarnego ludowców skrytykował Kosiniaka-Kamysza za nieudany eksperyment z Koalicją Europejską. – Dla mnie było oczywiste, że koalicja z Platformą Obywatelską i partiami lewicowymi nie wyjdzie nam na zdrowie. Straciliśmy elektorat na rzecz PiS – mówił w maju Sawicki w rozmowie z tygodnikiem „Wprost”.

Na miejsce lidera wewnętrznej opozycji w PSL zdecydowanie wskoczył jednak były premier Waldemar Pawlak. Ujawnił przemówienie, które wygłosił na niedawnej radzie naczelnej partii. Zrezygnując z konsumowania obawy i niechęć regionalnych działaczy do startu w ramach lewicowej Koalicji Europejskiej, nazywając Platformę Obywatelską „oszustami”. – Ja nie chcę być grabarzem PSL i nie będę w tym uczestniczył. Usłyszałem apel, że mam stanąć obok Kosiniaka-Kamysza. [...] Władysław Kosiniak-Kamysz siedział między Tuskiem a Jażdżewskim. Ja bym wtedy

na opozycji to większa skuteczność i szansa, by zatrzymać samodzielne rządy jednej partii – przekonywał Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL, w rozmowie z TVN24. I precyzował, o jakich blokach myśli: – Lewicowy, który jest możliwy i potrzebny Polsce. Umiarkowane centrum my budujemy i naturalnym, oczywistym partnerem wydaje się być Platforma, ale to ona musi się określić.

Lider PSL próbował się odciąć od wcześniejszego sojuszu z lewicową światopoglądowo Koalicją Europejską, krytykując m.in. podpisanie przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego „Deklaracji LGBT Plus”.

Jednocześnie ważni politycy PSL zaczęli przebąkiwać o możliwości samodzielnego startu w wyborach lub współpracy z ruchem Kukiz'15. – Polskie Stronnictwo Ludowe walczy o życie. Pój-

Na miejsce lidera wewnętrznej opozycji w PSL **wskoczył** były premier Waldemar Pawlak

wyszedł. Wyszedłbym z tego pieprzonego spotkania po tym, co Jażdżewski zrobił. Nie w każdym towarzystwie można się dobrze czuć i wygrywać – mówił Pawlak.

Kilka miesięcy temu, gdy Polskie Stronnictwo Ludowe ogłosiło, że o mandaty w Parlamencie Europejskim będzie walczyć w Koalicji Europejskiej, z partii odszedł Sławomir Świerzyński, wieloletni działacz partii i znana gwiazda disco polo z zespołu Bayer Full. „PSL straciło szansę bycia centroprawicą, taką jak za Witosy. Partia, której hymnem jest »Rota«, idzie razem z aborcjonistami, lewakami i komunistami, będzie razem z nimi walczyć z Kościołem, religią w szkołach i sprawać uchodźców” – napisał wówczas Świerzyński na Facebooku. – Sławek to dobry kumpel Pawłaka. Mówiło się u nas, że zanim rzucił legitymację, skonsultował to z nim – słyszymy wśród ludowców.

SZORSTKA PRZYJAŹŃ?

Kilka dni temu Rada Naczelna PSL zdecydowała, że partia wystartuje w wyborach parlamentarnych w bloku centrowym bez formacji lewicowych, zaangażowanych w światopoglądową rewolucję społeczną: SLD, Nowoczesnej i Wiosny Roberta Biedronia. – Dwa bloki

ście samodzielnie do wyborów byłoby grą o wszystko i pozwalałoby ludowcom zachować podmiotowość, jest jednak ryzyko, że nie przekroczy 5 proc. Pójście w koalicji z PO daje szansę na złapanie kilku mandatów i przetrwanie kolejnych miesięcy, jednak jest obciążone rozplątaniem się w koalicyjnej masie – ocenia dr Jacek Kloczkowski.

Deklaracja o możliwości samodzielnego startu w wyborach PSL spowodowała, że natychmiast część mediów bliskich opozycyjnej Platformie zorganizowała akcję przekonywania polityków i wyborców PSL do sojuszu z PO. Radio Zet opublikowało sondaż pracowni Kantar, z którego miało wynikać, że tylko zjednoczona opozycja może pokonać Prawo i Sprawiedliwość. Publikując wyniki sondażu, ukryto jednak, co ujawnił Michał Olech z 300polityka.pl, że badania zostały przeprowadzone na zlecenie... Platformy Obywatelskiej.

Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” trwały jeszcze rozmowy negocjacyjne między PSL a Platformą Obywatelską. Wiadomo, że nastąpił w nich impas. Nie było wiadomo, czym rozmowy się zakończą.

KAMILA BARANOWSKA: Zjednoczona koalicja wszystkich partii czy kilka osobnych bloków – która formuła jest z punktu widzenia opozycji najkorzystniejsza?

RAFAŁ CHWEDORUK: Najkorzystniej z punktu widzenia opozycji byłoby pewnie cofnąć czas do dnia po ostatnich wyborach europejskich. Bo wtedy właśnie do wyborców popłynął komunikat: nie wierzymy w zwycięstwo nad PiS i rozpoczynamy walkę o byt, gdzie głównym celem jest nie wygrana, lecz własne przetrwanie, nawet kosztem sojuszników. W ten sposób należy bowiem odczytywać sytuację, w której trzy duże partie opozycyjne powołują przed wyborami do Parlamentu Europejskiego wspólny komitet wyborczy, a chwilę po wyborach w trybie nagłym ogłaszają, że przestaje on istnieć, by później tygodniami negocjować jego reaktywację. Gdyby reaktywacji nie było, to powyższy komunikat wybrzmiałby jeszcze mocniej.

Czyli jednak rację ma Grzegorz Schetyna, który od początku powtarza, że tylko duża koalicja ma sens?

Patrząc na to, jak silny jest dziś PiS, i nawet biorąc pod uwagę wszystkie niespodzianki, które może przynieść metoda d'Hondta, doraźnie w najlepszym interesie opozycji jest jedna wspólna lista. Bez względu na sposób podziału mandatów i zasady ordynacji wspólny start daje gwarancję, podobnie jak w wyborach europejskich, zdobycia dużej liczby mandatów. Dwa czy trzy bloki to same znaki zapytania, bo uruchomi się dużo trudnych do przewidzenia zmiennych dotyczących proporcji poparcia między tymi blokami a PiS, dotyczących liczby partii w Sejmie, tego, jak rozłożą się głosy wśród partii opozycyjnych itd. Bardzo ryzykowne.

Władysław Kosiniak-Kamysz twierdzi z kolei, że tylko dwa bloki: lewicowy i umiarkowanie centrowy mają szansę zatrzymać samodzielne rządy PiS.

Po pierwsze byłyby to bardzo skomplikowana układanka polityczna. A po drugie, wizja podzielonej opozycji mogłaby zadziałać demobilizująco na antypisowski elektorat, a bez wielkiej mobilizacji swoich wyborców opozycja nie ma co liczyć na dobry wynik. Poza tym start dwóch komitetów, przy założeniu dużej mobilizacji wyborców opozycji, doprowadziłby do prostej sytuacji, w której jeden z nich, zapewne



Z Rafałem Chwedorukiem, politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego rozmawia Kamila Baranowska

Elektorat niechęci

ten zbudowany wokół Platformy, uzyska bardzo wysoki wynik, natomiast ten drugi walczy o przetrwanie na granicy progu wyborczego. To w realiach d'Hondta daje małe prawdopodobieństwo zablokowania rządów PiS.

Ludowcy podnoszą też, że nie ma sensu powtarzanie tego samego eksperymentu, z tymi

samymi składnikami, licząc na inny efekt. Powołanie Koalicji Europejskiej było błędem?

Eksperymentem był moment powołania Koalicji, bo ona powinna powstawać teraz. Teraz opozycja powinna odbierać premie za zjednoczenie, cieszyć się ponadstandardowym zainteresowaniem mediów i wysyłać opinie publicznej komunikat o wyjątkowej

i nadzwyczajnej sytuacji, która zmusza różne partie do startu w jednym bloku. O tym, że koalicja powstała wcześniej, przy okazji wyborów do PE, zdecydowała, jak sędzę, sytuacja wewnętrzna w Platformie. Cały paradoks Koalicji Europejskiej polega jednak na tym, że została pogrążona nie za sprawą własnych działań, lecz działań części elit popierających ją, ale uważających się za autonomiczny i ważniejszy od partii ośrodek opiniotwórczy. Ukierunkowanie dyskusji na kwestie kulturowe w sytuacji, w której ani Platforma, ani PSL, ani SLD nigdy nie kształtowały swojej tożsamości na takich kwestiach, a wręcz przeciwnie – unikały ich, było sytuacją kuriozalną i musiało się skończyć tak, jak się skończyło.

Jaki sens ma upór ludowców, by w obecnej koalicji nie było SLD?

Z pewnością ma pewien wymiar symboliczny, choć w mojej ocenie o wiele ważniejszy jest tu wymiar pragmatyczny. Już wybory samorządowe, szczególnie do sejmików, ujawniły bardzo wysoką mobilizację elektoratu SLD. Partia pozaparlamentarna zmobilizowała prawie tyle samo wyborców co w ostatnich wyborach sejmowych – dostała prawie milion głosów. To, że nie przełożyło się to na wysoki procent mandatów, to kwestia wyłącznie bardzo wysokiej frekwencji.

W wyborach do PE znów okazało się, że elektorat SLD gremialnie poszedł do urn i głosował na swoich kandydatów na liście Koalicji Europejskiej. I stąd wzięły się dobre wyniki kandydatów SLD. Ludowcy wyciągnęli wnioski. W dużej trialistycznej koalicji w naturalny sposób ktoś chciałby być numerem dwa po Platformie. Nie tylko symbolicznie, lecz także pod względem liczby biorących miejsc na listach. Przy wysokiej mobilizacji swoich wyborców SLD znów mógłby wypaść nadspodziewanie dobrze. Kalkulacja PSL nie jest więc nieracjonalna.

Dla PiS łatwiejszym przeciwnikiem jest opozycja razem czy osobno?

Krótkoterminowo dla PiS podział opozycji jest lepszy, bo demobilizuje przeciwników PiS, a frekwencja będzie czynnikiem decydującym. Z drugiej strony ewentualna porażka wielkiego bloku zjednoczonej opozycji byłaby bardziej spektakularna i dawałaby PiS trochę

oddechu po ewentualnych wygranych wyborach. Jakiś kłopot mogłoby stanowić samodzielnie startujące PSL, bo to zmusiłoby PiS do bardziej wyrazistego przekazu w prawą stronę. A tego PiS zdaje się dzisiaj unikać, widząc, że co innego przynosi mu profity.

Woli przesuwac się w kierunku centrum?

Został tam wręcz wepchnięty przez swoich największych przeciwników politycznych. To marzenie każdego polityka. Każda duża partia walcząca o władzę wymyśla skomplikowane strategie, zmienia programy, wizerunki, równoważy skrzydła, tymczasem PiS poprzez radykalizację dyskursu przez opozycję został wepchnięty do centrum i można odnieść wrażenie, że dopiero teraz uświadamia sobie skalę tego, co się stało.

Tymczasem Platforma w swojej kampanii stawia na bezpośredni kontakt z ludźmi, już nie na walkę o demokrację. Ktoś wyciągnął słuszne wnioski?

Rzeczywiście nie ma już tej manichejskości, zagrożonej demokracji, teraz jest licytacja, kto jest większym swoim klientem na rynku w małej miejscowości. Problem w tym, że większość wyborców liberalnych swój kontakt z polityką i tak odbywa poprzez medialnych pośredników. To PiS musi być na tych rynkach i rynekach, bo jego wyborcy nie doверяją mediom i nie ma z nimi innego środka komunikacji. Działania PO mogą mieć długoterminowe znaczenie, ale raczej nie dla najbliższej kampanii.

Dlaczego nie dla najbliższej kampanii?

Podział na PiS i Platformę, zakładany okresowo przez mniejsze partie, nałożył na siebie różne podziały społeczne, różne osie tych podziałów: podział centrum – peryferie, podział kulturowy, podział ekonomiczny itd. Nakładanie się tych podziałów na siebie, co nie jest wyłącznie polskim zjawiskiem, powodowało, że zawężał się elektorat centrowy. Czyli taki, który może się wahać, który nie jest zagospodarowany przez któryś z dwóch głównych podmiotów polityki. W tej sytuacji w naturalny sposób wygrywa ten, kto wykracza poza swoje podwórko. Ten, kto zyskuje status obrońcy społecznej normalności. Od ostatnich wyborów sejmowych to miejsce zaczął zajmować PiS, umacniając tę tendencję w wyborach europejskich. Drugiej stro-

nie w tej chwili pozostały do dyspozycji wyłącznie wierne elektoraty: wierny elektorat Platformy, SLD i połowa elektoratu PSL. I nikt więcej.

Czyli nawet jak ich zmobilizuje, to szanse na wygraną ma marne?

Olbrzymim problemem Platformy i całej opozycji pozostaje też kwestia klasy średniej, stworzonej przez III RP. Olbrzymia część tej klasy średniej, nie tylko jej elity opiniotwórcze, naprawdę nie chce „500+”, nie chce redystrybucji, a chce – mówiąc w uproszczeniu – strzeżonych osiedli. Nie dlatego, że marzy o budowaniu pałaców i życiu w przepychu, lecz dlatego, że postrzega to, co jest za bramą tych osiedli, jako stan nienormalności. Tutaj niechęć do PiS nie jest wcale nakręcana przez medialnych krytyków, lecz jest autentyczna. Wynika często z gry interesów społecznych, dlatego jest bardziej egalitarna, prowadząca do bardziej zrównoważonego rozwoju polityka niekoniecznie dla wszystkich jest korzystna. Bo to, że jest korzystna dla większości, nie znaczy, że dla wszystkich. Do tego dochodzi jeszcze poczucie utraty prestiżu tej grupy, która wyznacza normy społeczne, gdy nagle okazuje się, że wyszydzani w liberalnym dyskursie „Janusze w skarpetach do sandałów” są nową normą.

To Schetyna przecież kiedyś mówił, że wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie.

PO zdaje się mieć świadomość, że wyborcami ze strzeżonych osiedli wyborów nie wygra, ale zupełnie nie ma pomysłu, jak poradzić sobie z tym strukturalnym problemem zachowań własnego elektoratu. Reaktywność, konflikty wewnętrzne, problemy w samej Platformie, niezrozumienie przez część elit opiniotwórczych istoty problemu i nieustanne podsuwanie agendy kulturowej – to wszystko były i są barykady na drodze opozycji do tego, by nawiązać wyrównaną walkę z PiS. Los wyborów będzie zależał od tego, jak wielu dodatkowo zmobilizowanych przez PiS wyborców pojawi się przy urnach, a ilu z nich jednak z jakichś powodów się nie pojawi. Jeśli ci wyborcy mają zostać czymś zniechęceni, to nie dalszą debatą o sądach czy LGBT, lecz o wiele bardziej przyziemnymi sprawami, które wynikają z codziennego sprawowania władzy.



Łukasz Warzecha

Jak powinna reagować policja w przypadku ludzi niebezpiecznych?

Na pustawym parkingu policjant celuje z pistoletu w zbliżającego się napastnika z nożem, krzycząc: „Rzuć nóż! Rzuć nóż, bo będę strzelał!”. Brodaty napastnik nie wykonuje polecenia, zbliża się natomiast jeszcze bardziej do policjanta, więc ten strzela dwukrotnie – nie w powietrze, ale od razu do nożownika, który upada na ziemię, zwijając się z bólu. Nie wypuszcza jednak z ręki noża. „Siedem czterdzieści, dziewięć dziewięć osiem, dziewięć dziewięć dziewięć” – mówi policjant przez radio, posługując się policyjnymi kodami, informującymi o użyciu broni. Nie przychodzi napastnikowi z pomocą, ale nadal celując teraz już w leżącego mężczyznę, krzyczy: „Odrzuć nóż!”. Napastnik jęczy, że już to zrobił. Policjant wciąż stoi w bezpiecznej odległości z pistoletem w ręku. Pyta: „Czy masz przy sobie jeszcze jakąś broń?”. „Nie” – mamrocze ranny. „Muszę widzieć twoje ręce. Wyciągnij je!” – poleca funkcjonariusz.

W tle rozlegają się syreny. Odsiecz, wezwana wcześniej przez radio, nadjeżdża błyskawicznie. Jednak przybyli dwaj policjanci wciąż nie zajmują się rannym. Nadal wypytują, czy ma przy sobie broń, i żądają, aby wyciągnął ręce przed siebie. Podchodzą do niego dopiero, gdy wyraźnie pokazuje, że nie trzyma żadnego niebezpiecznego narzędzia, a pierwszą rzeczą, jaką robią, jest założenie leżącemu kajdanek.

To prawdziwa scena, ale nie rozegrała się w Polsce, lecz w Fountain Hills w Arizonie, w pobliżu miejscowego posterunku policji przy East Avenue of the Fountains w styczniu tego roku. Sama historia kwalifikuje napastnika do Nagrody Darwina. Człowiek przedstawiający się jako Ismail Hamed zatelefonował na 911 i oświadczył, że przynależy do Państwa Islamskiego, i zażądał, aby jak najszybciej spotkał się z nim policjant, bo chce się z nim „rozmówić”. Na miejsce wskazane przez Hameda udał się sierżant Brandon Wells z biura szeryfa powiatu Maricopa. Hamed przez moment rozmawiał z sierżantem, po czym zaczął



Wariant Wellsa

w niego rzucać kamieniami, a następnie wyciągnął nóż. Policjant wyjął broń, gdy tylko trafiły go pierwsze kamienie. Dalej sprawy potoczyły się jak na filmie, który można znaleźć na YouTube. O ujawnieniu nagrania z kamery osobistej sierżanta Wellsa zdecydowała sędzia okręgowa. Sprawę zakwalifikowano wstępnie jako przypadek terroryzmu.

CO WOLNO NAD WISŁĄ

Jak podobna sytuacja wyglądałaby w Polsce? Trudno powiedzieć. Z jednej strony policjanta ogranicza Ustawa o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej z 2013 r., a na ręce patrzy mu obrońcy praw człowieka czy dziennikarze. Z drugiej – ustawa sobie, a życie sobie. Inny słynny internetowy film pokazuje scenę z 2014 r. z Gorzowa Wielkopolskiego, gdy dwoje policjantów zaczęło strzelać do nieznajomego Ramzesa O., który biegał po ulicy z łutczkiem do mięsa w jednej, a metalową rurką w drugiej ręce. Pół roku później prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie postępowania funkcjonariuszy, orzekając, że nie przekroczyli uprawnień (Ramzes O. rzucał w nich niebezpiecz-

nymi przedmiotami). Jednak wideo do dziś budzi wątpliwości co do opanowania i wyszkolenia policjantów. Na ulicy w środku miasta, gdzie wokół pełno ścian i betonu (zagrożenie rykoszetami), wydają się strzelać dość chaotycznie nie tyle do agresywnego człowieka, ile raczej ogólnie w jego kierunku. Wreszcie trafiają, ale celność i opanowanie nie wydają się ich mocną stroną.

Przed wszystkim pojawia się pytanie o to, co wolno policjantowi w trakcie interwencji. Warto je zadać po tym, jak niedawno rzecznik praw obywatelskich skrytykował – chyba pochoinnie i pośpiesznie – sposób zatrzymania przez policję podejrzanego o zabójstwo 10-latkę w Mrowinach. Interwencję Bodnara w tamtej sprawie trzeba podzielić na dwa wątki. Czym innym były jego uwagi dotyczące sposobu przesłuchiwanie domniemanego sprawcy – tu mogły być zasadne – a czym innym te dotyczące samego zatrzymania.

A gdyby Adam Bodnar miał się – czysto teoretycznie – przyjrzeć interwencji w Fountain Hills, co by powiedział? To oczywiście spekulacja, ale czy nie miałyby zastrzeżeń, że policjant strzelał,



RPO ganił policjantów za skucie kajdankami zespolonymi mężczyzny podejrzanego o brutalne morderstwo dziecka FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

palnej, lecz także kaftana bezpieczeństwa, siatki obezwładniającej, psa i konia służbowego (tak, koń służbowy policjanta także może wystąpić w roli środka przymusu bezpośredniego) oraz oczywiście siły fizycznej, na przykład w postaci chwytu transportowego, zakwestionowanego przez Adama Bodnara w przypadku zatrzymania Jakuba A. Z jednej strony mamy prawo oczekiwać od policji skuteczności, a nawet bezwzględności w określonych przypadkach – zwłaszcza wówczas, gdy na szali jest życie innych ludzi albo samych funkcjonariuszy. Z drugiej – policja nie jest organem zemsty. Ma być skuteczna, ale też profesjonalna. Czy w Polsce taka jest?

Metoda zatrzymania podejrzanego o zabójstwo z Mrowin jest absolutnie do obrony. W przypadku zbrodni podejrzan – czyli możliwy sprawca – może być nieobliczalny. Policjanci muszą zakładać najpoważniejszy scenariusz, włącznie z tym, że zostaną zaatakowani, że zatrzymywany podejmie próbę ucieczki albo że spróbuje zrobić sobie sam krzywdę. Gdzieś w tyle głowy wszyscy mają samobójstwo Barbary Blidy właśnie w momencie zatrzymywania jej przez ABW. Inną sprawą jest, czy w przypadku, gdy sprawa budzi tyle emocji, a postępowanie policjantów może być przez niektórych odbierane jako nadmiernie restrykcyjne, policja powinna udostępniać opinii publicznej nagrania z zatrzymania. Czemu to bowiem ma służyć poza podbiciem bębna politykom?

BRITYJSKA DEGENERACJA

Na drugiej szali leży przypadek Igora Stachowiaka, zatrzymanego przez wrocławską policję nad ranem 15 maja 2016 r. i potraktowanego na komisariacie w sposób, który doprowadził do jego śmierci. Tak, wtedy policjanci złamali wiele procedur, więc można powiedzieć, że to nie w przepisach leży problem, lecz w mentalności funkcjonariuszy.

Od przejęcia władzy przez PiS policja – z dużym sukcesem – jest prezentowana jako formacja przyjazna obywatelom, przychodząca im z pomocą w nagłych przypadkach, potrafiąca odstąpić od formalności, żeby pokazać swoje bardziej ludzkie oblicze. To jednak tylko jedna strona medalu. Mimo deklaracji, które składał na początku swojego urzędowania obecny komendant główny (od 2016 r.), generalny inspektor Jarosław

Szymyczek, nie został wydłużony czas podstawowego szkolenia policjantów, który nadal wynosi zaledwie 143 dni. W Wielkiej Brytanii podstawowy kurs trwa podobnie długo, ale natychmiast idzie za nim kolejny okres szkolenia, trwający już dwa lata. Francuska policja rozróżnia kilka poziomów wyszkolenia. Tylko na najniższym z nich – *adjoint de sécurité* (asystent) – nauka trwa krócej niż w Polsce: od 12 do 14 tygodni. Już poziom wyżej – *gardien de la paix* (strażnik pokoju) – szkolenie zajmuje rok. W Czechach podstawowy kurs policyjny trwa również rok, czyli trzy razy dłużej niż w Polsce.

Rzecz oczywiście nie tylko w długości szkolenia, lecz także w jego jakości. To policjant ostatecznie musi ocenić, co wolno mu zrobić i jak w danej sytuacji zinterpretować Ustawę o środkach przymusu. Z jednej strony ma się odnosić do obywatela z szacunkiem, z drugiej – nie może sobie pozwolić wejść na głowę. Ma być przyjazny, ale nie powinien robić z siebie idioty czy okazywać bezradności albo słabości. Niedopuszczalne jest, żeby na słabszym zatrzymanym odreagowywał frustrację z innych akcji.

Poucządzająca może być tutaj degeneracja brytyjskich bobbies. W Londynie, w warunkach jednych z najbardziej restrykcyjnych przepisów dotyczących posiadania narzędzi do samoobrony, lawinowo rośnie liczba przestępstw z użyciem noża. Od początku tego roku odnotowano już ponad 30 tego typu zabójstw – to absolutny rekord. Jednocześnie szeregowi brytyjscy policjanci (z wyłączeniem tych z Irlandii Północnej) nadal są nieuzbrojeni i coraz bardziej nieskuteczni, jeśli chodzi o prewencję, za to bardzo dbają o swój PR, tańcząc podczas karnawału w Notting Hill i w imię poparcia dla środowisk LGBT przemalowując radiowozy w tęczowe kolorki.

Mając po jednej stronie wizję Brudnego Harry'ego, wymachującego smithem & wessonem kalibru 44 i wymierzającego sprawiedliwość po swojemu, po drugiej zaś bezbronnych i głupawo uśmiechniętych brytyjskich stójkowych, którzy nie umieją powstrzymać fali nożowników, ale za to ładnie wyglądają w tęczowych radiowozach – musimy zachować zdrowy rozsądek. Ani jeden, ani drugi wariant nie jest optymalny. Ja wybieram wariant sierżanta Wellsa z powiatu Maricopa w Arizonie.

zamiast użyć innych środków przymusu? I dlaczego natychmiast postrzelonemu nie pomóc? Nie mówiąc już o tym, że funkcjonariusze, którzy przyjechali na pomoc, założyli rannemu kajdanki. Idę o zakład, że gdyby tego typu obiekcie przedstawić szeryfowi powiatu Maricopa, Paulowi Penzone'owi, popukałby się w głowę i wyjaśnił, że na pierwszym miejscu jest bezpieczeństwo obywateli, zaraz na drugim – jego ludzi, a jeśli ktoś zaczyna machać nożem w publicznym miejscu i rusza z nim na policjanta, ten musi się liczyć ze wszelkimi konsekwencjami. Hamed i tak miał szczęście, że nie został zastrzelony na miejscu.

Z drugiej jednak strony ze stanowiska polskiego RPO nie powinniśmy kpić – Bodnar zasygnalizował dylemat, przed którym stoimy wszyscy, również konserwatyści, rozumiejący potrzebę egzekucji prawa. To napięcie pomiędzy skutecznością organów ścigania a koniecznością przestrzegania przez nie prawa. Policja nie jest od tego, żeby na miejscu wymierzać karę, i Ustawa o środkach przymusu bezpośredniego temu właśnie w teorii służy, wręcz do przesady drobniawo określając zasady użycia nie tylko broni

Wakacje z plastikiem

FOT. ADRIEN STOK



Łukasz Zboralski

Co roku miliony Polaków muszą prosić o kartę, która potwierdza ich ubezpieczenie zdrowotne za granicą. System EKUZ to symbol nieracjonalności UE

Ten, kto choć raz wyjeżdżał na wakacje za granicę, dobrze zna ten przykry obowiązek. Żeby móc bezpłatnie skorzystać z pomocy lekarskiej na urlopie poza Polską – a precyzyjniej: by skorzystać na takich samych zasadach co pacjenci w danym kraju, więc czasem nie jest to zupełnie bezpłatne – trzeba mieć z sobą małą kartę.

To upragniony EKUZ, czyli Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego. Kawałek niebiesko-białego plastiku. Nie ma zabezpieczeń, hologramów, można by zrobić sobie taką kartę w każdym zakładzie zajmującym się produkcją tego rodzaju rzeczy. Jednak ten amulet turystyczny dostaje się tylko w jednym miejscu – w Narodowym Funduszu Zdrowia. Od jakiegoś czasu wnioski o taką kartę można złożyć przez Internet, ale robią to głównie ci, którzy urlop zaplanują wiele miesięcy wcześniej. Krótszy czas do wyjazdu stwarza już ryzyko. I to nie tylko dlatego, że urzędnicy z NFZ mogą nie zdążyć. Jest przecież jeszcze poczta, która czasem poważnie zawodzi.

W KOLEJCE OD RANA

Ten, kto chce mieć kartę, musi więc często pojechać do oddziału NFZ. Od czerwca zaczyna tam robić się gorąco. W Warszawie przybycie pół godziny przed otwarciem oddziału Funduszu

gwarantuje czasem jedynie miejsce w kilkudziesięcioosobowej kolejce czekającej na otwarcie drzwi. Potem jeszcze bieg do automatu wydającego numerki i dalej można spokojnie czekać. Ile? Ktoś, kto wybierze się w środku dnia, może dostać numer zaczynający się od liczby 700.

Kiedy już stanie się przy upragnionym okienku, trzeba okazać dowód osobisty, a potem jeszcze złożyć papierowy wniosek. W tym wniosku oczywiście trzeba wpisać PESEL, imię, nazwisko, adres i tak dalej. Jeśli potrzeba kart dla całej rodziny, papierów musi być kilka. Chociaż przecież działa w Polsce system, w którym urzędnicy mogą sprawdzić ubezpieczenie społeczne, papier musi być. Bez tego przecież administracja nie działa.

Drukowanie i wypełnianie papierów niezbyt dobrze pomaga chronić środowisko. Jeszcze mniej plastik, z którego zrobione są karty EKUZ. Tymczasem co roku wydawane są miliony takich kart. Dawniej w Polsce dawano je za ledwie na kilka mie-

sięcy, ostatnio na rok, a dopiero obecnie – cóż za łaska! – otrzymuje się kartę ważną maksymalnie nawet przez trzy lata.

Unia Europejska tak bardzo dba o środowisko, że przepisami zaczyna rugować używanie plastikowych sztućców czy słomek do picia. Tymczasem jej biurokratyczna machina powoduje, że tylko nad Wisłą przez ostatnie sześć lat wydano ludziom 13 mln plastikowych kart EKUZ, które po wakacjach trafiały do koszy.

Z roku na rok kart jest coraz więcej. W 2013 r. NFZ wydał ich Polakom nieco ponad 2 mln, a w ubiegłym roku było to już 3 441 500 kart EKUZ.

KOSZTOWNY POLSKI SYSTEM

Wydawanie kart EKUZ kosztuje nie tylko czas ludzi, którzy muszą np. stanąć w kolejkach do okienek w NFZ. Kosztują też nas wszystkich pensje urzędników, którzy miliony razy odbierają dokument w okienku, wklepują dane do komputera, wkładają plastik do drukarki i wydają wydrukowane karty. Kosztują też jednak same surowe karty, które Narodowy Fundusz Zdrowia co roku musi zamawiać. Ile? Sprawdziliśmy w tym roku, w którym NFZ zamówił ponad 3,5 mln kart.

„W wyniku przetargu prowadzonego przez Centralę Funduszu w 2019 r. została wybrana oferta firmy Argo Card Sp. z o.o., ul. Krynicka 1, 80-393 Gdańsk z ceną brutto zaofiarowaną przez wykonawcę w wysokości 441 807,80 zł” – poinformowało nas Biuro Komunikacji Społecznej Centrali NFZ.

Trzeba przy tym zauważyć, że polski system latami mnożył koszty dla podatników. Każdy kraj sam bowiem decydował o tym, jak długo ważna będzie karta EKUZ. W europejskim zestawieniu z 2015 r. widać, że Polska odbiegała od innych krajów UE. Karty dawano Polakom wówczas najwyżej na sześć miesięcy, gdy w innych krajach ważne były latami. Najkrótsze terminy były i tak dwa razy dłuższe niż polskie – na rok karty dawano Rumunom, Bułgarom czy Grekom. W tym czasie Czesi dostawali EKUZ na pięć lat, Włosi – na sześć lat, Łotysze – na trzy lata, Brytyjczycy – na pięć lat...

Nawet jednak i przy dłuższych niż w Polsce terminach wydawanie EKUZ kosztuje wszystkich unijnych podatników. W Polsce po karty zgłasza się tylko niewielki procent ubezpieczonych zdrowotnie. Z raportu Komisji Europejskiej opartego na danych z 2016 r. wynika,

że karty te posiadało mniej niż 10 proc. ubezpieczonych w naszym kraju. To jeden z najniższych odsetków.

W wielu krajach prawie wszyscy ubezpieczeni mają karty EKUZ – Włochy (blisko 100 proc.), Malta (98 proc.), Czechy (96 proc.), Holandia (95 proc.), Austria (94 proc.), Szwajcaria (92 proc.). Jest też duża grupa krajów, w których karty ma od 30 do 70 proc. ubezpieczonych zdrowotnie mieszkańców, to m.in. Dania, Szwecja, Słowacja, Wielka Brytania, Belgia. W części krajów brak danych. A np. Niemcy uważają podawanie takich informacji za naruszanie tajemnicy, choć u nich z pewnością bardzo wielu obywateli EKUZ ma – jest on bowiem



wdrukowany jako strona dokumentu ubezpieczeniowego.

Dlaczego Unia Europejska nie potrafi sporządzić jednego systemu komputerowego, w którym każdy zakład opieki medycznej mógłby dzięki danym z dowodu lub paszportu sprawdzić, czy ktoś jest ubezpieczony w swoim kraju? Dlaczego nie można wprowadzić np. aplikacji na smartfony? Nie wiadomo. Zapewne z tego samego powodu, dla którego Unia nie potrafi ujednolicić wielu innych rzeczy (np. wymagań wyposażenia obowiązkowego pojazdu – co powoduje, że upierdliwi policjanci z innego kraju mogą się podczas kontroli domagać rzeczy w bagażniku, których w kraju polskiemu kierowcy nikt wozić nie nakazuje). To po prostu polityka „nie da się” na poziomie europejskim.

Chcieliśmy sprawdzić, dlaczego się nie da, ale rzecznik prasowy Komisji Europejskiej nie znalazł czasu przez kilkanaście dni, by odpisać na nasze pytania.

SAMA KARTA I TAK NIE WYSTARCZY

Najmieszniejsze z kartą EKUZ, którą ma obecnie ok. 40 proc. mieszkańców Unii Europejskiej, jest jednak to, że gdy się już załatwi taką kartę w urzędzie, to za granicą nie zawsze gwarantuje ona bezpłatną

opiekę zdrowotną. Zresztą na stronie Komisji Europejskiej jest wyraźne ostrzeżenie, że EKUZ „nie gwarantuje bezpłatnych usług, ponieważ system opieki zdrowotnej każdego kraju jest inny i usługi, które w kraju zamieszkania podróżnego są bezpłatne, w innym kraju mogą być inne”.

Przykłady wylicza na stronie poświęconej EKUZ sam NFZ. W Austrii leczenie stomatologiczne jest częściowo odpłatne. Tylko niewielki zakres świadczeń jest w pełni refundowany. W dodatku trzeba szukać gabinetów ze specjalnym oznaczeniem. A za każdy dzień pobytu w szpitalu pacjent płaci 12–20 euro. Nie będzie też darmowej pomocy np. w przypadku urazów w wypadkach podczas uprawiania sportów wodnych czy narciarstwa.

We Włoszech zwykła wizyta u lekarza pierwszego kontaktu jest dla pacjenta płatna w kwocie do 36,15 euro. Leczenie stomatologiczne w pełni polega na kieszeni pacjenta.

Chorowacja – za wizytą u lekarza pierwszego kontaktu trzeba zapłacić, choć opłata jest niewielka i sięga w przeliczeniu ok. 6 zł. Tyle samo trzeba zawsze dopłacić u dentysty, a nie wszystkie usługi dentystryczne mieszczą się tam w koszyku świadczeń gwarantowanych. Przy ambulatoryjnej opiece specjalistycznej lub szpitalnej pacjent pokrywa 20 proc. kosztów (ale te nie mogą przekroczyć ok. 1,7 tys. zł).

A warto jeszcze wspomnieć, że w europejskich kurortach czasem na miejscu dostępne są tylko prywatne gabinety lekarskie. EKUZ tam na nic się nie przyda.

– EKUZ ma trzy podstawowe ograniczenia – wskazuje Marcin Tarczyński z Polskiej Izby Ubezpieczeń. – Pierwsze wynika już z nazwy, czyli karta ta działa tylko w Europie i poza nią się nie przyda. Drugie ograniczenie dotyczy tego, że pacjent traktowany jest jak obywatel tego kraju, w którym przebywa. Czyli jeśli Francuz w publicznym systemie musi dopłacać za leki, to Polak we Francji na urlopie też będzie musiał. Trzecie ograniczenie związane jest z tym, że EKUZ nie pokrywa transportu medycznego do kraju oraz akcji ratowniczych, np. w górach. A to są rzeczy, które w wydatkach na opiekę medyczną za granicą są najdroższe. Tych wszystkich ograniczeń nie ma dobrze wybrane ubezpieczenie turystyczne. Może działać na całym świecie i pokrywać koszty leczenia niezależnie od systemu w danym kraju. W dodatku chroni na wypadek akcji ratowniczych.



Agnieszka Niewińska

W albumie masz zdjęcia z lata nad jeziorem Jamno? Zachowaj je, bo niedługo mogą stać się białym krukiem. Akwen wysycha i zamiera przez nietrafione inwestycje

Otym przybrzeżnym jeziorze na Wybrzeżu Słowińskim na lekcjach geografii uczyły się kolejne pokolenia uczniów. Jamno wymieniane było jednym z tchem obok Łebska czy Gardna. Pod względem wielkości jest na dziewiątym miejscu w Polsce, z Bałtykiem łączy je kanał. Wciąż można znaleźć informacje o tym, że Jamno to świetna baza dla amatorów sportów wodnych, początkujących żeglarzy.

– Dawniej na Jamnie działały 3–4 kluby żeglarskie. Tylko w klubie Tramp, do którego należałem, szkoliło się w sezonie nawet 100 młodych żeglarzy, na jeziorze pływało sporo jednostek. Jamno żyło – wspomina Krzysztof Najda z fundacji Jantar, który z Jamnem jest związany od lat 60., kiedy jako nastolatek rozpoczął przygodę z żeglarstwem. Dzisiaj te opowieści o żeglarstwie na Jamnie trzeba powoli wkładać między bajki. – Kilka dni temu w słoneczny letni weekend na jeziorze, które ma powierzchnię 2,5 tys. ha widziałem zaledwie cztery jachty – mówi Najda.

KRÓLESTWO SINIC

Od pięciu lat Krzysztof Najda uparcie puka do kolejnych urzędniczych drzwi, by zatrzymać degradację jeziora. A ta postępuje, odkąd w 2013 r. za ok. 23,5 mln zł przebudowano kanał jamneński i postawiono wrota sztormowe uniemożliwiające wlew wody morskiej do jeziora. Akwen wysycha. Brak wymiany wody zniszczył unikatowy ekosystem, uniemożliwił migrację organizmów żywych pomiędzy morzem a jeziorem. W efekcie w Jamnie najlepiej czują się sinice.

– Jamno zamienia się w ściek – mówi z żalem Andrzej Mielcarek, redaktor naczelny koszańskiego magazynu „Prestiż”. – To płytkie jezioro przybrzeżne o bardzo delikatnej strukturze. Naturalne osady, przegniłe trzciny przykrywa lustro wody. Dawniej dzięki połączeniu z Bałtykiem jezioro się samooczyszczało.

Podczas sztormu woda była wtłaczana do jeziora kanałem jamneńskim, jej poziom podnosił się o 30–40 cm, a kiedy sztorm ustawał, wszystko wracało do normy. Po tym, jak powstały wrota sztormowe, nie ma wymiany wody w jeziorze, jej poziom opada. Nie trzeba być biologiem, żeby dostrzec degradację jeziora. Kiedy podnosi się temperatura powietrza, jezioro zakwita – przypomina zieloną lurę, śmierdzi. Znikają ryby. Dla sandacza czy węgorza, które migrowały

dla falochronu (też pochłonał miliony). Tłumaczył, że cofka jest zjawiskiem naturalnym, a woda powinna się rozlewać na łąki i pola. – Nie wolno wydawać pozwoleń na budowę na terasach zalewowych do 2–3 m n.p.m. To przestępstwo – mówił i tłumaczył, że woda wpływająca w związku ze sztormem do jeziora chroni plażę, wydmy i klif przed erozją.

Po tym jak zrealizowano inwestycję na jeziorze Jamno, jej oceny na zlecenie zachodniopomorskiego sejmiku dokonali



Bajoro Platformy

na tarło, wrota sztormowe to przeszkoda nie do pokonania.

Wrota miały być remedium na podtopienia zabudowań w okolicy jeziora. Kiedy przed dwoma laty sztorm Axel nawiedził wybrzeże, lokalni urzędnicy odpowiedzialni za meliorację i urządzenia wodne ogłosili, że to wrota sztormowe uratowały Mielno i Unieście przed zalaniem. Tymczasem dr hab. Tomasz Łabuz z Instytutu Nauk o Morzu Uniwersytetu Szczecińskiego wyjaśniał w „Głosie Koszańskim”, że sztorm jest przykrywką dla wrót, a wrota

naukowcy z Katedry Hydrologii Uniwersytetu Gdańskiego. Uznali, że budowa wrót sztormowych na Jamnie była zbędna. Podkreślili, że może mieć katastrofalne skutki dla fauny i flory jeziora.

Z tą oceną nie zgodził się Stanisław Gawłowski, zachodniopomorski poseł PO, który w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz był wiceministrem środowiska. Twierdził, że inwestycja jest krytykowana z powodów politycznych. – Jest mi przykro, że zamiast myśleć w kategoriach bezpieczeństwa, pozwalają sobie na awantury

polityczne. Tak się zachowują działacze PiS – komentował w 2015 r. Gawłowski. Do dziś nie daje wiary twierdzeniom, że to wrota przyczyniły się do degradacji Jamna.

Kilka tygodni temu na jeziorze doszło do śnięcia ryb. Służby wyłowiły ich ok. 2 tys. Najbardziej oczywistym wyjaśnieniem była przyducha – brak tlenu w wodzie w związku z zakwitem sinic. – Tymczasem poseł Gawłowski wyśmiewał tych, którzy wskazywali, że to efekt budowy wrót sztormowych. Twierdził,

Od kiedy w 2013 r. za 23,5 mln zł postawiono wrota sztormowe, jezioro Jamno wysycha. FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS



że ryby padły z powodu zanieczyszczeń, które wpłynęły do jeziora wraz z rzeką Dzierżęcinką. Trudno jednak przyjąć to wyjaśnienie, bo martwe ryby znaleziono 3–4 km od miejsca, w którym Dzierżęcinka wpływa do Jamna – wskazuje Mielcarek.

Szczeciński WIOŚ podał w komunikacie, że w ujściu Dzierżęcinki znaleziono nieliczne śnięte ryby. Napisał, że wstępne wyniki badań potwierdziły, że zakwit sinic może być prawdopodobną przyczyną śnięcia ryb.

– W PRL zanieczyszczano jezioro bez umiaru, odprowadzając tam ścieki m.in.

z zakładów Płytolen, które wykorzystywały w produkcji len, co powodowało powstawanie ogromnej ilości szkodliwych płynnych odpadów. Wszystko to spływało do Jamna. W latach 90. stan wody był fatalny, ale zarówno Koszalin, jak i Mielno zbudowały oczyszczalnie ścieków. Sytuacja się poprawiła na tyle, że dopuszczono jezioro do użytku sportowego, na Jamno wróciło żeglarsstwo – przypomina Mielcarek.

PARTACKA INWESTYCJA

Lokalna społeczność, żeglarze, wędkarze, ekolodzy, miłośnicy Jamna zaniepokojeni sytuacją na jeziorze zaprotestowali przed rokiem. W maju 2018 r. fundacja Jantar zorganizowała manifestację przy sztormowych wrotach. Już wtedy sytuacja była bezprecedensowa. Poziom wody w jeziorze obniżył się o 60 cm. – Został obniżony – zaznacza Najda. – To było świadome działanie Wód Polskich – wskazuje. Wody Polskie to państwowa jednostka zajmująca się gospodarowaniem wodami.

„Chcemy jeziora, a nie bajora” – można było przeczytać na transparentach przygotowanych przez uczestników protestu. Domagali się działań, które zapobiegą katastrofie ekologicznej na Jamnie. – We wrześniu po tamtym proteście pojawił się u nas minister Marek Gróbarczyk. Złożył deklarację, że do końca 2018 r. powstanie koncepcja na zagospodarowanie i przebudowę kanału. Wody Polskie przeciągnęły jednak ogłoszenie przetargu na opracowanie koncepcji do kwietnia tego roku. De facto przez prawie rok Wody nie zrobiły nic. Można było nawet odnieść wrażenie, że Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Szczecinie bojkotował deklarację ministra – wskazuje Najda.

Wody Polskie odpierają zarzuty. W przesłanym nam piśmie czytamy, że „w bardzo krótkim czasie od powstania 1 stycznia 2018 r. podjęły szereg działań dla ratowania jeziora Jamno. Szybka interwencja uratowała ten unikatowy akwen przed katastrofą ekologiczną”. Wody wyliczają m.in. takie działania jak zamówienie zamknięcia, za pomocą którego możliwe są regulacja objętości wód uchodzących do morza i migracja ryb; regularny przegląd cieków wodnych czy przetarg i podpisanie umowy na koncepcję przebudowy węzła wodnego na kanale jamneńskim.

W połowie lipca wyłoniona w przetargu Energa Invest ma ogłosić wstępną koncepcję, przedstawić działania ratunkowe, a do 15 listopada pełną koncepcję przebudowy kanału jamneńskiego. Fir-

ma nie chciała nam zdradzić, co zakłada koncepcja. Biuro prasowe poinformowało, że dotrzymają zapisanego w umowie terminu (12 lipca). Koncepcja wstępna ma zawierać wariant naprawczy, który ma na celu doraźne rozwiązanie głównych problemów związanych z obecnym funkcjonowaniem wrót sztormowych.

Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej zapowiada, że przebudowa rozpocznie się na początku 2020 r. – Wrota sztormowe były partacką inwestycją – stwierdził minister Gróbarczyk kilka tygodni temu w Polskim Radiu Koszalin. Koszt przebudowy resort szacuje na ponad 20 mln zł.

Najda uważa, że będzie on znacznie wyższy: – Ile faktycznie będzie to kosztowało, będzie można powiedzieć po opracowaniu koncepcji, sporządzeniu projektów, określeniu zakresu prac itd. W przebudowę kanału – budowę wrót sztormowych i tzw. falochronu osłonowego – wpomniano dotychczas ok. 48 mln zł. Prawdopodobnie wszystko jest do rozbiórki.

Andrzej Mielcarek podkreśla, że degradacja Jamna to ogromna strata dla lokalnej społeczności. – Przede wszystkim tracą ci, którzy swój biznes oparli na jeziorze – wypożyczalnie sprzętu wodnego, przystanie i oczywiście rybacy. Dawniej dużym zainteresowaniem cieszyły się domy na wodzie, które były wynajmowane przez turystów. Teraz nikt nie chce do nich przyjeżdżać. Osiedli na mieliźnie w paskudnym otoczeniu – opowiada redaktor naczelny magazynu „Prestiż”. Dodaje, że pod uwagę trzeba też wziąć straty wizerunkowe. – Dawniej Jamno było źródłem dumy dla lokalnej społeczności. Gmina Mielno mogła pochwalić się unikalnym położeniem na mierzei między jeziorem a morzem. Teraz jezioro wątpliwej jakości jest antyreklamą.

– Czy da się jeszcze zatrzymać katastrofę ekologiczną na Jamnie? Droga do tego jest bardzo długa. Była niepewność, czy w ogóle powstanie koncepcja przebudowy kanału, bo do przetargu zgłosiła się tylko jedna firma, oferująca cenę 930 tys. zł, podczas gdy górną granicę cenową przetargu ustalono na 560 tys. zł. Ministerstwo dołożyło brakującą kwotę. To już o czymś świadczy – mówi Krzysztof Najda. I dodaje: – Mam nikłą nadzieję na zmianę sytuacji na jeziorze. Wielu ludzi już zabrało swoje łódki z Jamna. Przenieśli je na jezioro Drawsko czy nad Zalew Szczeciński. Żona żartuje, że tylko moja została na Jamnie.

Panie prezesie, jak wygląda sytuacja na rynku nieruchomości mieszkaniowych po pierwszym półroczu 2019 r.?

Po drugim kwartale 2019 r. rynek nieruchomości mieszkaniowych nadal znajduje się w fazie dużej aktywności. W Polsce zanotowano historycznie wysoką liczbę zarówno mieszkań oddanych do użytkowania, jak i mieszkań, których budowę rozpoczęto. Rosnące dochody Polaków, najniższe w okresie ostatnich 30 lat wskaźniki bezrobocia i stóp procentowych – to wszystko sprzyja rozwojowi rynku mieszkaniowego i go stymuluje. Według ostatnich danych NBP sprzedaż mieszkań i kontraktów na ich budowę na sześciu największych rynkach pierwotnych w Polsce pozostała na poziomie poprzednich dwóch kwartałów i wyniosła ok. 16,5 tys. Należy pamiętać, że wysoka sprzedaż i budowa mieszkań na rynku pierwotnym narzuca konieczność uzupełniania banków ziemi. Nadal jednak w Polsce brakuje ok. 3 mln mieszkań.

Jakie mieszkania najchętniej wybierają Polacy?

Coraz chętniej Polacy wybierają nieruchomości z rynku pierwotnego i co naturalne, deweloperzy już podczas projektowania dostosowują swoją ofertę do ich potrzeb. Chociaż mogłoby się wydawać, że decydując się na zakup mieszkania, wybieramy duże, kilkupokojowe lokale, trend okazuje się inny. Jak wynika z różnych raportów, Polacy najczęściej wybierają niewielkie, dwupokojowe mieszkania, najwięcej sprzedawanych mieszkań mieści się w przedziale 40–50m, i właśnie te mieszkania wybierają najchętniej nasi klienci.

Jeśli chodzi o liczbę pokoi, to powodzeniem cieszą się mieszkania dwu–trypokojowe, choć deweloperzy mogą zaplanować rozkład i metraż tak, aby konkretne lokum dało się dostosować do wymagań nabywcy. To kolejny plus wyboru lokalu z rynku pierwotnego. Coraz większym zainteresowaniem cieszą się również mieszkania „pod klucz”. Niewątpliwą zaletą takiego rozwiązania jest duża oszczędność czasu. Nie musimy szukać ekipy wykończeniowej, kontrolować prac ani dostarczać materiałów. Często firmy pracujące dla dewelopera mogą przystąpić do wykańczania wcześniej, jeszcze zanim zaczną się odbiory mieszkań. Nasi klienci coraz chętniej korzystają z takiego rozwiązania.

Ceny mieszkań wciąż są jednak wysokie.

Tak, dlatego dane nt. wyboru najpopularniejszego metrażu należy rozpatrywać

Rozmowa z Piotrem Hofmanem, prezesem Grupy Inwest

Walka z deficytem mieszkaniowym jest możliwa



przede wszystkim pod kątem możliwości finansowych nabywcy. Nieruchomości w Polsce stale drożeją, dotyczy to również gruntów, na których budowane są nowe osiedla. To jeszcze bardziej odbija się na cenach mieszkań, a nic nie zapowiada, by podwyżki miały się skończyć. Możemy stwierdzić, że wzrastające ceny mieszkań są spowodowane głównie kilkoma czynnikami: rosnącymi cenami materiałów i robót budowlanych, wysokimi cenami działek pod zabudowę oraz ich małą dostępnością, dużym zapotrzebowaniem na lokale mieszkaniowe oraz aktywnością inwestorów kupujących lokale pod wynajem.

Dla deweloperów wciąż największe wyzwania stanowią wysokie ceny materiałów oraz robót. Jednym z przyszłościowych rozwiązań może być tu prefabrykacja, której główne założenia brzmią: taniej, szybciej, lepiej. Na taką opcję postawiła nasza Grupa Inwest: w zeszłym roku zainwestowaliśmy w fabrykę prefabrykatów HM Factory w podwarszawskim Sochaczewie. Mamy nadzieję, że spowoduje to w przyszłości obniżenie kosztów związanych z wykonawstwem budowlanym. Planujemy obniżyć koszty o ok. 30 proc. w stosunku do technologii tradycyjnej, co pozwoli nam na zaoferowanie jeszcze atrakcyjniejszych mieszkań w konkurencyjnych cenach. Nie zgodzę się jednak z tezą, że klienci sugerują się wyłącznie ceną. Dzisiejszy klient jest bardzo wymagający i doskonałe wie, czego chce. Zwłaszcza na rynku mieszkaniowym, który jest rynkiem długoterminowym. Najważniejsze jest, aby cena szła w parze z jakością. Doświadczenia wielu lat pozwoliły nam wypracować taki model optymalnego połączenia wszystkich najważniejszych cech: jakości, ceny i funkcjonalności.

Mówi się, że deficyt mieszkaniowy wciąż jest duży. Jak z tym walczyć?

Potrzeby rynku mieszkaniowego nadal są bardzo duże. W Polsce od lat zmagamy się z deficytem mieszkań, który wynosi ok. 3 mln. Średnia liczba mieszkań na tysiąc mieszkańców plasuje nas prawie na samym końcu wszystkich państw UE. W Polsce jest to ok. 360 mieszkań na tysiąc mieszkańców, podczas gdy średnia unijna wynosi ok. 450 mieszkań na tysiąc mieszkańców.

Co możemy zrobić? Cieszę się, że rząd wprowadza programy mające pomóc w walce z niedoborem mieszkaniowym: „Mieszkanie Plus” i „Mieszkanie na start”. Pierwszy z nich ma być odpowiedzią na



rosnącą grupę osób, których nie stać na zakup mieszkania bezpośrednio od dewelopera, ale których dochody są zbyt wysokie np. na mieszkanie socjalne. Drugi z kolei to program dopłat do czynszu, który kierowany jest do najemców nowych mieszkań utworzonych lub poddanych rewitalizacji w ramach współpracy inwestorów z gminami. Oba mają przede wszystkim zdyktować polski rynek mieszkaniowy.

Problem pojawiający się przed chcącymi kupić mieszkanie to nie tylko znaczące koszty zakupu lokalu, lecz także malejąca ilość terenów inwestycyjnych w atrakcyjnych lokalizacjach. Najwięcej mieszkań powstaje w dużych aglomeracjach oraz ich okolicach, które leżą w głównych kręgach zainteresowań deweloperów. Aby wyrównać różnicę między aglomeracjami a małymi miejscowościami, rząd stawia na budowę tanich lokali w mniejszych miastach, w których deficyt jest szczególnie widoczny. W tym celu weszła w życie ustawa o Krajowym Zasobie Nieruchomości, dzięki

której powstał tzw. bank ziemi, dysponujący gruntami Skarbu Państwa przeznaczonymi pod budowę lokali w programie „Mieszkanie Plus”.

Dostępność mieszkań jest o tyle istotna, że to od niej w dużej mierze zależy poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji życiowej. To z kolei przekłada się często chociażby na chęć posiadania potomstwa. A warto zauważyć, że walka z niżem demograficznym to jedno z głównych zadań rządzących na następne lata. Proponowane programy rządowe mogą być bardzo cennym narzędziem w walce z deficytem mieszkaniowym, ale tylko jeśli odbywać się one będą na płaszczyźnie współpracy rządu z biznesem, inwestorami oraz samorządami.

Pamiętajmy, że nie ma pisklat bez gniazda. Dlatego tanie, dobrej jakości, dostępne dla większości Polaków mieszkania będą bardzo ważnym elementem poprawy sytuacji demograficznej kraju oraz będą stanowiły ciekawą ofertę dla powracających z emigracji.



Tomasz A. Żak

Obecny poziom „oświecenia” zupełnie wystarcza do kulturowej dezynfekcji w skali makro. Ci, którzy dzisiaj nawołują do „odwojowania kultury”, zupełnie nie biorą pod uwagę, że u człowieka odcięta kończyna już nie odrasta. No, chyba że w rezerwacie, w którym zamknięto naszą kulturę, zdarzy się cud, co nad Wisłą wcale nie jest taką rzadkością

Czas na nowy początek



Według dzisiejszych lewicowych paradygmatów kulturalna była obrazoburcza „Golgota Picnic”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ludzie od zawsze nie chcą wierzyć, że może być gorzej, jak jest. Że tzw. świat wcale nie jest „dobry i miły” i wcale nie kieruje się miłością bliźniego. Tymczasem zło nigdy nie ukrywało swoich zamiarów wobec dobra. Swych planów nie ukrywali carcyca Katarzyna i cesarz Fryderyk. I się stało. Co zrobili, mówili Lenin, Stalin i Hitler. I zrobili. Towarzysze Gramsci i Spinelli bez żadnych osłonek pisali i nauczali, jak ma wyglądać Europa. I wygląda.

Instytucje, marszem zdobyte przez komunistów oraz ich wszelakiej maści i płci pomiot, są dokładnie tym samym, czym było pruskie, ruskie i austriackie szkolnictwo na ziemiach polskich przez

ponad 100 lat. I niczym innym niż to, czego chcieli Niemcy i Sowieci po roku 1939. I toczka w toczkę tym samym, czym teatry i salony w stolicy guberni warszawskiej, albo richtig tym, czym polskojęzyczne rewie i farsy na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Można by to wszystko najkrócej opisać jako modelowy proces eksterminacji podbitego państwa i narodu. Oczywiście kilkadziesiąt milionów ludzi nie da się ot tak, od razu pozabijać strzałem w tył głowy czy przepuścić przez komin, nawet gdy się ich bardzo nienawidzi, a w tym uczuciu pomocne może być inne niż katolickie wyznanie albo po prostu jego brak. W eksterminację są przecież wkalku-

lowane programy wykorzystywania ludzi do niewolniczej pracy, i to najlepiej za ich zgodą. A najsukuteczniej można przeprowadzić taką masową lobotomię, używając do tego szkoły i sztuki (czytaj: rozrywki), a więc sprawnie kierowanych instytucji kultury. I oni właśnie po to je zdobyli.

U nas stało się to stosunkowo późno, bo po roku 1944, kiedy Armia Czerwona przywoziła nam na czołgach nową elitę. Przez dziesięciolecia zdrajcy i lokalni popucznicy nie tylko zamienili walonki na lakierki, lecz także się resortowo rozmnożyli. No i w ramach transformacji z „towarzyszy” stali się „Europejczykami”. Jednak co do instytucji kultury – jest jak za Borejszy.

CZEKIŚCI KULTURY

Kilka lat temu spotkałem się z byłym już dyrektorem Teatru Polskiego w Poznaniu, Pawłem Szkotakiem. Za-proponowałem, aby na jego scenie miał miejsce jeden z pokazów premierowych przygotowywanej przeze mnie inscenizacji dramatu Romana Brandstaettera „Dzień gniewu”. Odmówił, motywując tym, że to nie dla jego publiczności, która jest z gruntu lewicowa (sic!). Spytałem wtedy, jakoś tak odruchowo, czy jeżeli tak światopoglądowo definiuje widzów, to czy zna jakiś instytucjonalny prawicowy teatr w Polsce. A on poważnie się zamyślił i odpowiedział, że według niego w żadnym z państw europejskich nie ma takiego teatru.

Spróbujmy dla jasności wyводу zdefiniować lewicowe paradygmaty formatujące kulturę, a więc i jej odbiorców. Oto, co nam w zarządzanych przez siebie instytucjach proponują dzisiejsi czekięści. Najpierw „plusy ujemne”: PATRIOTYZM = FASZYZM; ŻOŁNIERZE WYKLĘCI = BANDYCI; KATOLIK = NAWIEDZONY FANATYK; RODZINA = PRZEMOC; POLACY = ANTYSEMICY; KSIĘŻA = PEDOFILE. A teraz, podtrzymując tę poetykę totalnej relatywizacji wszystkiego, proponuję ich nie „minusy dodatnie”: EUROPEJSKOŚĆ = POSTĘP; UCHODŹCY = UBOGACENIE; HOMOSEKSUALIZM = ELITARNOŚĆ; ABORCJA = WOLNOŚĆ KOBIETY; DZIAŁACZ LGBT+ = HEROLD HUMANIZMU.

Wszystko to w ramach tzw. pozycjonowania produktu jest od lat podstawą oferty, którą wciąż zwie się kulturalną. Kulturalna była obrazoburcza „Golgota Picnic”, niczym zaraza rozniesiona z Poznania po całym kraju; jakże kulturalne

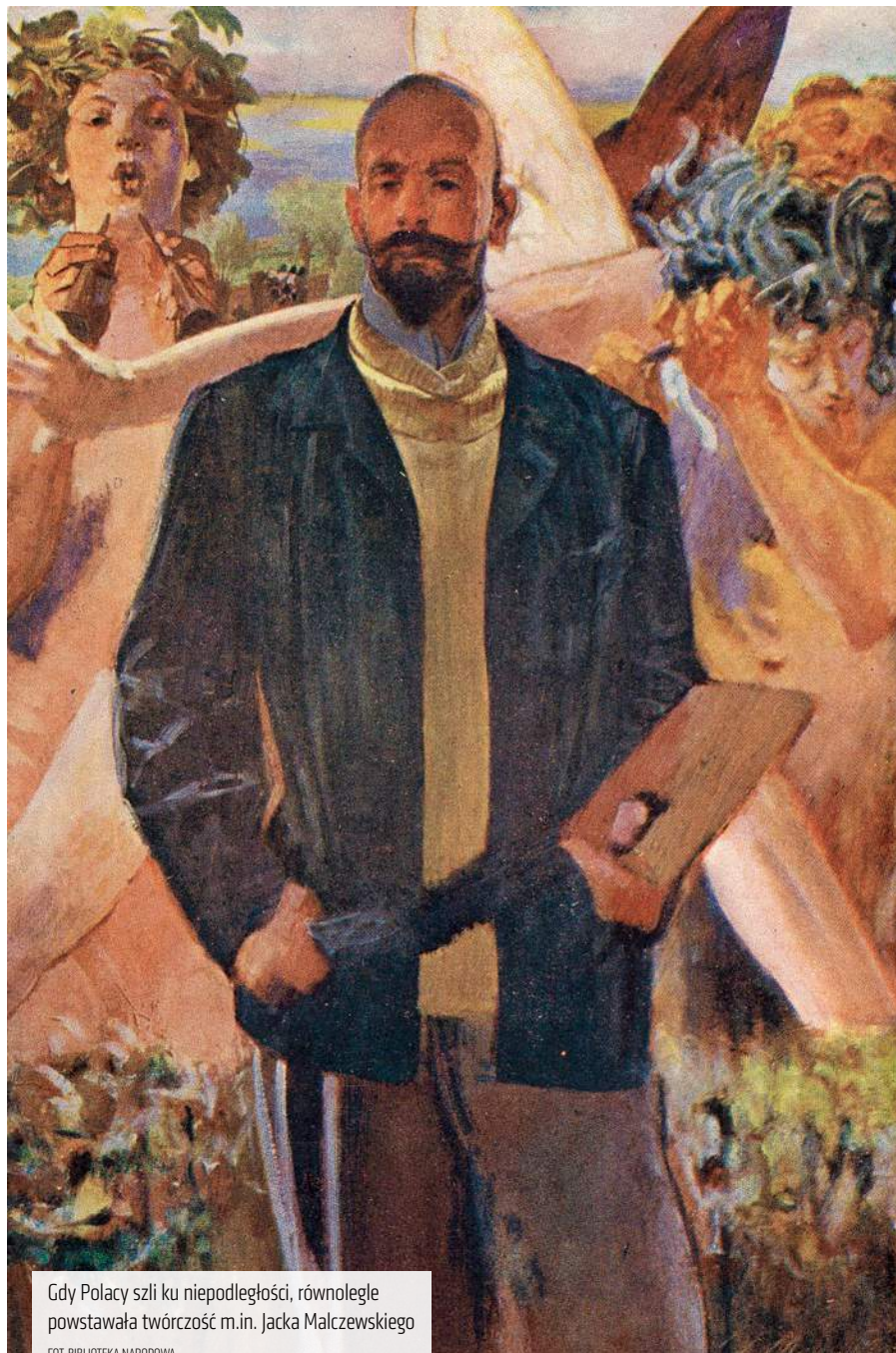
■ było antypolskie przedstawienie „Pałę Rosję” z Legnicy; jeszcze bardziej kulturalny, antypolski i obrazoburczy do kwadratu był bydgoski spektakl „Wasza przemoc, nasza przemoc”; hiperkulturalne i także antypolskie było dzieło „Dobroć, nasza dobroć”, które powstało w Gdyni. Czy jeszcze pamiętamy, jak to wszystko idzie i jak eskaluje od Bałtyku do Tatr? Pojedyncze potworności opisano, ale szambo rozlało się szeroko i dotarło niemal wszędzie tam, gdzie samorządami rządzi lewica, a rządzi w zasadzie niemal w każdym większym polskim mieście.

Wielką porażką polskiej kultury jest podejmowanie dyskusji z tym, co ma zniszczyć, a równoległe oburzanie się i protestowanie, a potem znów z samozaparciem masochisty recenzowanie tego szamba. Celem antykultury jest odebrać nam tożsamość i transcendencję. W sumie: człowieczeństwo. Dzisiejsi marksiści za Gramscim twierdzą, że dopóki nie zabije się w ludziach wiary w Boga, dopóty oni nie uznają czegoś innego. I wprowadzają to w czyn. No i bojąc się narodu, en block głosują za „Europą regionów”, tak jak chciał Spinelli. A protesty przeciwko bluźnierczym wystawom i przedstawieniom umacniają tylko rewolucyjny zapał wszelkich janczarów tego piekła, finansowanego skądinąd także pieniędzmi ofiar. Nie tędy droga. Tam już nie ma co odwojowywać. Tam już nie ma cywilizacji.

„ONI NIE CHCOM CHCIEĆ”

Po kolejnym „Klerze”, po kolejnej „Kłątwie” ktoś po raz enty postawi językiem wojskowym pytanie o możliwość odbicia opanowanych przez lewicę instytucji. W domyśle – odbicia przez prawicę. Trochę to nielogiczne, kiedy od czterech lat w Polsce rządzi PiS, skądinąd uważany za partię prawicową. I żadnego sensu nie mogą mieć tłumaczenia, iż te instytucje to są w rękach samorządów, a więc rząd nic nie może. Zgodzę się, że przez pierwsze dwa, trzy miesiące po wygranej w 2015 r. niekoniecznie dało się to załatwić, ale przez dwa, trzy kolejne lata, i to mając przewagę głosów w Sejmie i Senacie plus prezydenta – nie, to jest nielogiczne do kwadratu.

Jak to Wypiański słowami Czepca podsumował w „Weselu”: „Duża by już mogli mieć, ino oni nie chcom chcieć”. A mój kolega dziennikarz sugeruje, że PiS to nie prawica i dlatego tak jest. A kto inny powie, że teraz są ważniej-



Gdy Polacy szli ku niepodległości, równoległe powstawała twórczość m.in. Jacka Malczewskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

sze sprawy niż kultura. I w tym drugim stwierdzeniu/tłumaczeniu zdefiniowany jest cały problem przegrywanej wojny kulturowej. Bo żeby chcieć, trzeba rozumieć. Polska racja stanu, ograniczana do strategicznego partnerstwa z USA plus bezalternatywnego trwania w strukturach Unii Europejskiej, być może i wystarczy dla państwa, ale z punktu widzenia interesu narodowego to jest za mało. Skorupę sojuszy wojskowych i gospodarczych trzeba czymś wypełnić. Pokoleniami całymi wystarczał nam Kościół, ale ten obecny, posoborowy jakby abdykował ze swej apostołskiej funkcji.

A patriotyzm – drugi komponent wartości niematerialnych konstytuujących ojczyznę – próbuje się zrewitalizować, i słusznie, przy pomocy żołnierzy wykłętych. Tylko że to ma w praktyce z jednej strony charakter niszowy, okazjonalny, a z drugiej, także w wymiarze artystycznym, niestety akademijny. I jeszcze jedno – honorujemy tych niezłomnych, ale nijak nie honorujemy tego, co ich ukształtowało.

Jeżeli kino, to popularne, jest tak ważne, kulturotwórcze, to spuentujmy powyższe myśli, odwołując się do drugiej części megahitu stworzonego przez Syl-

vestra Stallone'a, czyli filmu „Rambo 2”. Początek filmu: John ma być zwolniony z więzienia, aby wziąć udział w kolejnej misji wojskowej w komunistycznym Wietnamie. Pyta swego dowódcę, stojącego z drugiej strony krat: „Czy tym razem pozwolą nam wygrać?”. Ot i metafora tego, z czym mamy do czynienia.

WSTYD TAK UMIERAĆ

W starych dobrych czasach, pomimo przymusowej indoktrynacji zaborców i okupantów, mieliśmy nie tylko domowe czy konspiracyjne nauczanie, lecz także dzięki temu również polską kulturę. W ogóle Polacy to mistrzowie świata w byciu niezależnymi. Jest tylko problem: czy ta cecha to już tylko historia czy trwała cecha narodowa pozwalająca mieć nadzieję? Ja jestem przekonany, że to coś wciąż w nas jest, bo ja wierzę w cuda. Potrzebujemy tylko wyjść z matryxa (o – i znowu skojarzenie filmowe).

Najpierw trzeba odrzucić pokusę bezradnictwa, które osłabia wolę, a przy okazji bywa prostą drogą do zaprzaństwa. Artyści, spozycjonowani jako prawica, wciąż powtarzają, że o tym, co się dzieje w kulturze, decyduje „mała grupa ludzi trzymających władzę. Jeśli nie będą chcieli, to nie zrobisz filmu albo sztuki”. Efekt to „ekumeniczne współistnienie”, nieujaławianie swoich przekonań, no i wniosek, że „trzeba się z tymi ludźmi wpływowymi jakoś układać”. Bo jeżeli nie, twierdzą owi artyści nazywani prawicowymi, to się wypada z gry, traci pracę w tych instytucjach kultury, które przecież – taki werbalny lejtmotyw – mamy jakoś odbić. A jak wyrzuca, dadzą wilczy bilet, to w najlepszym wypadku „trafia się do offu, który siłą rzeczy nie ma zbyt dużego przełożenia na opinię publiczną”. Błędne koło.

Mordor (kino raz jeszcze!), czyli marksizm kulturowy, oferuje tylko to, czym jest, a więc kulturę śmierci duchowej i cywilizacyjnej. Patrząc na to już trzecie dziesięciolecie i ze zgrozą widzę, jak aktywność prawicy w kulturze sprowadza się jedynie do kultury trwania i przetrwania, a w rzeczywistości jest to kultura powolnego umierania.

To nie urzędy i instytucje powinny być celem pierwszym. Odbijanie kultury musimy zacząć się we własnej głowie. Wystarczy uwierzyć w Polskę, kochać ją po prostu. Nie wstydić się jej i traktować ją jak pępek świata, wokoło którego wszystko się ma kręcić i wszystko się

ma z nim/nią (Polską) kojarzyć. Jeżeli to będzie natchnieniem i misją artystów, to nie musimy bać się o teatr, o sztukę i w ogóle o przyszłość naszej ojczyzny. No i przy takiej koniecznej ortodoksji trzeba tworzyć dzieła. Gadanie to o wiele za mało. A że trzeba zacząć od offu? Przecież jest wojna, a instytucje kultury są pod okupacją, prawda? Setki tysięcy ludzi potrzebują sztuki, która ich nie będzie obrażała, która opowie o tym, co jest w nich, co jest wokoło. Oni dzisiaj, jak Polska długa i szeroka, są z kultury wykluczeni, szczególnie z kultury wyższej. Oni czekają, a dotrzeć do nich można w jedyny możliwy sposób, czyli właśnie na sposób offowy. A władza? A urzędy? Są po to, by nam służyć, a więc niech nas doganiają; w końcu każda kadencja kiedyś się kończy.

KULTURA LUDOWA

Ktoś sformatowany przez mainstream napisał o moim zespole stygmatyzująco: „Co z was za teatr, gracie tylko po wsiach”. Oczywiście, że nie tylko, ale to „po wsiach” warte jest przemyślenia. Po pierwsze – odwołując się do porównań wziętych z tatarnictwa – idzie się tam, gdzie teren puszcza. Po drugie, „wiocha” w znaczeniu pejoratywnym to teraz jest w miastach, a jednocześnie to właśnie tam, w tych księstewkach, zlokalizowane jest gros instytucji kultury zaprzęgniętych do produkowania antykultury na wzór i nader często również na obstalunek wrogiej Polsce zagranicy. No i wreszcie po trzecie – wieś, prowincja, kresy to są te miejsca, które i dla przetrwania, i dla rozkwitu kultury polskiej były w naszych dziejach jak dotąd najważniejsze.

Polska jest również za Jankami i Łomiankami (to takie warszawskie suburbia). Tam ludziom się nie tylko chce – oni mają co pokazać i co opowiedzieć, także poprzez sztukę. Ot, taki Kietrz przy czeskiej granicy i młodzi ludzie skupieni wokół Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Wschowa na Dolnym Śląsku i Stowarzyszenie Huta Pieniacka. A z drugiej strony Polski – Ostrołęka i Muzeum Żołnierzy Wyklętych stworzone przez Jacka Karczewskiego. I jeszcze setki ludzi z grup rekonstrukcyjnych, np. ci z Przemysła – Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej „X D.O.K.” – albo ci z Białegostoku, koniarze kultywujący pamięć Kresów... Gdyby oni nie robili tego, co robią, to wszyscy żyliby w tym samym getcie, na które we Wrocławiu, w Gdań-

skach, Poznaniach, Warszawach e tutti quanti skazuje się ludzi prawych. Chcąc być w swym artystycznym działaniu Polakami, musimy podjąć pracę nad nowymi formami instytucjonalno-organizacyjnymi, gdyż złe drzewo nie urodzi dobrych owoców. Moglibyśmy tutaj napisać, jak to jest u nas z konkursami na stanowiska dyrektorskie w instytucjach kultury. I moglibyśmy dojść do jedynie słusznego wniosku, że jak nieustawione, to i tak pasuje do tego gorzkie powiedzenie o tym, iż wiele trzeba było zmienić, aby wszystko zostało po staremu (np. nomen omen Stary Teatr w Krakowie).

Na początku ubiegłego wieku Polacy zdecydowanie szli ku niepodległości: drużyny sokole, paramilitarny Strzelec, a równolegle twórczość Malczewskiego, Wyspiańskiego, Paderewskiego. Jednocześnie – i to zdaje mi się najważniejsze – w każdym z zaborów zaczęły powstawać domy ludowe, lokalizowane przede wszystkim na wsi. Do roku 1909, kiedy to zjawisko opisywała Zofia Daszyńska-Golińska, powstało ich już kilkadziesiąt:

„Z pojęciem i życiem demokracji wiąże się konieczność ognisk zbiorowego życia, ognisk kulturalnych, które by wprowadzały lud w krainę wiedzy, piękna, życia towarzyskiego, które umożliwiałyby mu wszelką akcję społeczną, wymianę publiczną myśli, formułowanie życzeń, wytwarzanie nowych form współżycia [...]. W warunkach życia naszego narodu domy ludowe stają się niekiedy placówkami narodowymi”.

Powstawały najczęściej ze składek, niekiedy z prywatnych donacji. Regułą było, że w domu ludowym musiały być sala teatralna, a także czytelnia i biblioteka. Właścicielami domów ludowych były nie instytucje, ale – mówiąc językiem współczesnym – organizacje pozarządowe (np. mieszkańcy wsi zrzeszeni w formie towarzystwa). W germanizowanym i rusyfikowanym kraju te samorodne ośrodki kultury tworzyły edukacyjną, kulturową alternatywę. Były niejednokrotnie miejscem narodzin patriotycznych polskich elit. Myślę, że bez tej pracy, wykonanej z pominięciem oficjalnych urzędów i z reguły wbrew nim, nie byłoby Legionów, a już na pewno nie ziściłby się Cud nad Wisłą. Nie przyzwyczajajmy się do bycia marginesem we własnym kraju. A to, gdzie jesteśmy, to bardzo dobre miejsce na nowy początek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reżyserem, scenarzystą, poetą i publicystą, założycielem Teatru Nie Teraz



Zamiast AC. Na wypadek wgniotą!

O ile ubezpieczenie OC jest obowiązkowe i nie można bez niego wyjechać na żadną drogę, o tyle mówiąc o AC, wielu kierowców myśli „drogie, zbędne, na pewno mi się nie przyda”. A to błąd, bo w wielu, i to wcale nierzadkich, przypadkach samo OC może nie wystarczyć na pokrycie wszystkich szkód. Nawet jeśli ten argument nie przekonuje kierowców do AC, to jest jeszcze jedno rozwiązanie. Nazywa się Smart Casco i jest tzw. małym AC

Będzie niezastąpione w przypadku niszczących skutków żywiołów, kradzieży i szkody całkowitej. Nawet jeśli uważamy się za świetnego kierowcę i nawet jeśli naprawdę nim jesteśmy, to na jedną rzecz na pewno nie mamy wpływu. To pogoda. Nie ma w roku miesiąca, w którym media nie donoszą o zjawiskach, które są bezpośrednim



Taki widok często spotyka się ostatnio w całej Polsce. Silny wiatr powala drzewa, które spadają prosto na zaparkowane w pobliżu auta. To zawsze wielki kłopot, który pomoże rozwiązać Smart Casco

FOT. ADOBE STOCK

zagrożeniem dla ludzi i ich mienia, w tym oczywiście dla samochodów.

Co to jest Smart Casco?

Lato już przyzwyczało nas do nagłych burz z silnym wiatrem, który bez problemu powala wielkie drzewa, które przynajmniej zaparkowane w ich sąsiedztwie samochody. Zniszczenia mogą być tak wielkie, że nie można ich opisać inaczej niż szkoda całkowita. Za szczęście uznaje się wówczas przypadek, gdy gałąź tylko wybija szybę. Lato to też ulewę, podtopienia i powodzie, a także pojawiające się znikąd trąby powietrzne. Wiosną, zimą i jesienią nie jest lepiej. Zmagamy się z deszczami, gradobiciami i burzami śnieżnymi. Na to wszystko nie jesteśmy w stanie wpłynąć ani temu zapobiec. Trochę, ale też niewiele więcej mamy do powiedzenia w sprawie zabezpieczenia samochodu przed kradzieżą. Możemy parkować auto w monitoro-

WARIANT UBEZPIECZENIA					
Wartość pojazdu	Żywioty	Kradzież	Kradzież Żywioty	Szkoda całkowita Żywioty	Szkoda całkowita Kradzież Żywioty
do 15 000 zł	49 zł	109 zł	129 zł	159 zł	199 zł
15 000 – 25 000	59 zł	159 zł	179 zł	209 zł	314 zł
25 000 – 40 000	69 zł	209 zł	229 zł	264 zł	414 zł

wanym i strzeżonym miejscu, możemy wyposażać je w nowoczesne zabezpieczenia, ale to wszystko razem wzięte nie da na pewno, że złodziej nie połąsi na się na naszą własność. – We wszystkich wymienionych wyżej przypadkach odpowiedzialność za szkodę poniesie LINK4 i z myślą o nich został wymyślony produkt Smart Casco – wyjaśnia Maciej Krzysztozek z LINK4. A to nie wszystko, bo w myśl ogólnych warunków ubezpieczenia żywioty to nie tylko pogoda, lecz także pożar.

SPRYTNE ROZWIĄZANIE ZA NIEDUŻE PIENIĄDZE

Żywioty, kradzież i szkoda całkowita. To trzy pakiety, na które podzielone jest Smart Casco. Można kupić wszystkie, ale też wybrać dwa lub jeden. – Wszystko jest elastyczne i nie trzeba kupować produktu, który jest zbędny. Szczegóły dotyczące łączenia elementów Smart Casco dostępne są na naszej stronie internetowej – dodaje Maciej Krzysztozek. Tak samo jak cena polisy Smart Casco. Ostateczny koszt zależy po pierwsze od wartości ubezpieczanego samochodu. LINK4 podzieliło je na trzy grupy: do 15 tys., pomiędzy 15 a 25 tys. i powyżej 25 tys. zł. Reszta zależy od tego, na które elementy Smart Casco się zdecydujemy. – W najtańszym wariantcie taka polisa będzie nas kosztować 49 zł, a w naj-

droższym – 414 zł za cały rok ochrony. Należy podkreślić, że jest cała gama opcji pośrednich – mówi Krzysztozek.

Smart Casco jest bohaterem najnowszej – ruszającej w właśnie – kampanii LINK4. W roli głównej występuje, znana z poprzednich reklam LINK4, wokalistka Kasia Moś. W rytm znanego włoskiego hitu Toto Cutugno „Lasciatemi cantare”. Nowa reklama ma dwie wersje, obydwie są spektakularne i zaskakujące. – Za śpiewającą i tańczącą Kasią dzieje się wszystko, czego boją się wszyscy właściciele samochodów. Są wybijający szyby grad, silny wiatr, który porywa konary drzew, a te spadają prosto na samochody. W dwóch krótkich filmach zebraliśmy wszystkie koszmary kierowców, od których oczywiście ubezpieczamy. Na wypadek wgniotu – mówi Joanna Talaśka z LINK4, cytując fragment śpiewanej przez Kasię Moś piosenki.

Pakiet Smart Casco, a także wszystkie inne ubezpieczenia LINK4 – OC, AC, mieszkaniowe, turystyczne, a także ubezpieczenie dla dzieci i rodziców LINK4 Mama – można kupić przez stronę: www.link4.pl, u agentów lub przez telefon pod numerem 22 444 44 44. Konsultanci udzielą też wyczerpujących informacji o OWU oraz rabatach. Zniżka przysługuje np. rodzinom posiadającym Kartę dużej rodziny.

To już kolejna reklama LINK4 z udziałem Kasi Moś. Niezmienny jest też numer telefonu do ubezpieczyciela

LINK4

444 44 44

www.link4.pl

u Agenta

„DO RZECZY”: Od 30 lat mieszka pani w Stanach Zjednoczonych, ale regularnie przyjeżdża do kraju i wydaje kolejne tytuły, ostatnio: „Wokół Wańkowicza” i „Pisarskie delikcje”. Mniej wiemy o pani książkach wydawanych w Ameryce.

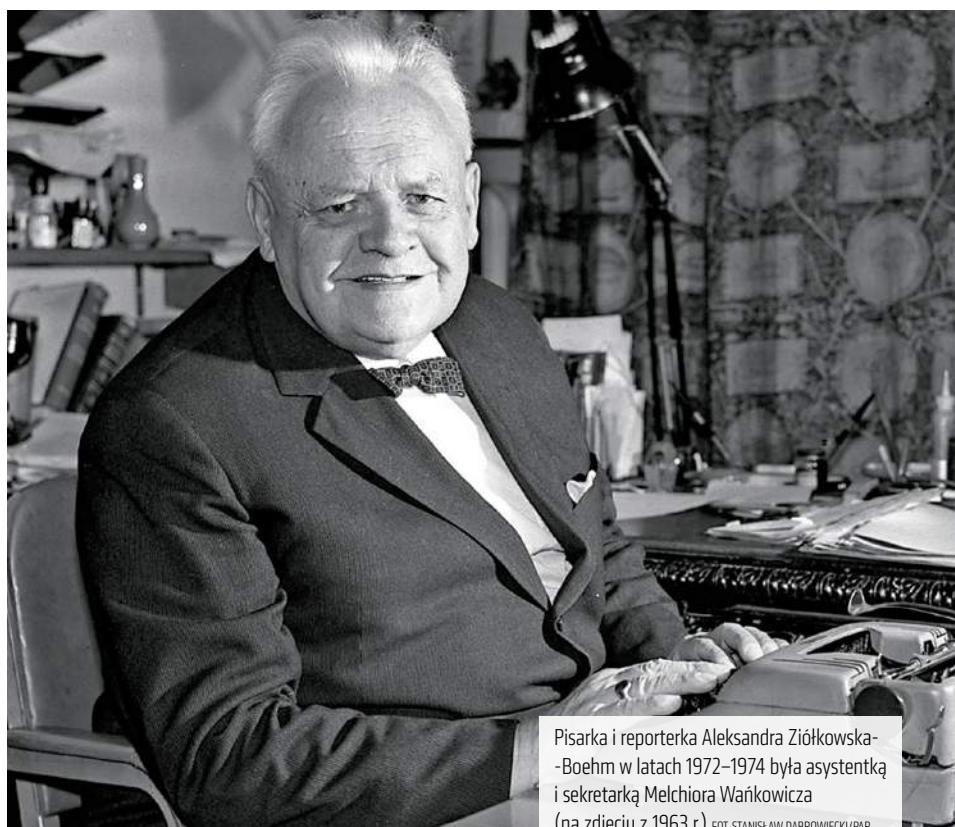
ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM: To już 12 tytułów, w większości tłumaczonych z polskiego, ale dwa z nich najpierw ujrzały światło w USA, a to z racji tematyki. Były to: „Open Wounds – A Native American Heritage”, książka o Indianach znana w Polsce jako „Otwarta rana Ameryki”, oraz „Ingrid Bergman and her American Relatives”, opowiadająca o związkach rodzinnych mojego zmarłego trzy lata temu męża Normana z jego ciotką, sławną aktorką. A najbardziej poczytną książką są z pewnością „Podróże z moją kotką”, czyli „On the Road with Suzy. From Cat to Companion”, systematycznie wznawiane przez Purdue University Press.

W kraju pani nazwisko kojarzone jest raczej z innymi książkami, między innymi o Melchiorze Wańkowiczu, którego była pani asystentką przez dwa ostatnie lata jego życia, jak również o bohaterach lat wojny: hubalczykach czy Kai od Radosława. Ta ostatnia książka nagrodzona została przez londyński Związek Pisarzy na Obczyźnie. Też wydano ją po angielsku przez Lexington Books. Relacje autorów z bohaterami książek mówią o swoich następstwach. Niekiedy zaskakujące. Tytułowa bohaterka „Kai od Radosława” zagwarantowała pani dobry końcowy adres w Warszawie...

Miejsce w jej grobie na Powązkach! To wyjątkowy gest świadczący o szczególnej sympatii, którą darzyła mnie Cezaria Iljin-Szymańska, osoba z piękną kartą wojenną. Jej mieszkanie w Warszawie było punktem kontaktowym hubalczyków (jednego z nich, Marka Szymańskiego ps. Sęp, po wojnie poślubiła), następnie wstąpiła do Armii Krajowej. Podczas powstania warszawskiego wraz ze zgrupowaniem „Radosław” przeszła przez trzy dna piekła: Starówkę, Powiśle i Czerniaków, skąd razem z rannymi przeprawiła się na praski brzeg Wisły. Dotarła do domu babci w Białymstoku, tego samego dnia została aresztowana przez enkawudzystów i wywieziona do obozu NKWD nr 41 w Ostaszkowie.

Na początku 1946 r. powróciła do Polski, w Warszawie pracowała w Biurze Odbudowy Stolicy, kolejno w kilku biurach architektonicznych.

1 sierpnia 1944 r. zastała ją na Woli. Brała udział w walkach nieopodal ulic Młynarskiej, Okopowej i Żytniej. W tym samym rejonie poległa Krystyna Wańkowiczówna, której ojciec poświęcił „Ziele na kraterze”. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywa.



Pisarka i reporterka Aleksandra Ziółkowska-Boehm w latach 1972–1974 była asystentką i sekretarką Melchiora Wańkowicza (na zdjęciu z 1963 r.) FOT. STANISŁAW DĄBROWIECKI/PAP

Wańkowiczowskie rekomendacje



Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm, pisarką rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Snop światła na końcowe dni Krystyny rzucił Janusz Brochwicz-Lewiński ps. Gryf, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 r. Stwierdził, że przed Godziną „W” „Anna” (taki przybrała pseudonim) obcięła warkocze i wdziała wojskowy uniform. Śmiertelnie raniona 6 sierpnia podczas ostrzału cmentarza kałwińskiego została pochowana w prowizorycznej mogile. W dobie identyfikacji przez DNA być może i ta zagadka doczeka się rozwiązania.

A czy pojawiły się jakieś sygnały rozwikłujące nić losów innej bohaterki pani książki: „Tereski”, łączniczki mjr. Henryka Dobrzańskiego?

Niestety, nie. Marianna Celówna, bo tak się nazywała, chciała przekazać do zakładu medalierskiego, celem naprawy, Order Virtuti Militari „Hubala”. Nigdy już nie powrócił do właściciela, przechowywała go „Kaja”, traktując niczym relikwie; u schyłku życia przekazała go do jednostki wojskowej w Tomaszowie Mazowieckim. „Tereska”, jedyna kobieta w oddziale „Hubala”, za odwagę awansowana do stopnia starszego ułana, wyjechała z zadaniem zleconym przez dowódcę przed rozbiciem jednostki pod Anielinem. Po śmierci majora poszukiwali jej Niemcy. Przez pewien czas jeździła, jako łączniczka ZWZ, na trasie Warszawa–Lwów, później wszelki ślad po niej zaginął.



**ALEKSANDRA
ZIÓŁKOWSKA-
BOEHM
„PISARSKIE
DELICJE”
BELLONA 2019**

Słowem – kolejna wojenna tajemnica, jakich wiele w naszych dziejach najnowszych. Z kolei opisany przez panią dwór w Kunicach, w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon”, okazał się azylem dla pewnej żydowskiej dziewczynki o imieniu Hanka.

To bardzo wzruszająca historia. Jedną z mieszanek dworu w Kunicach (okolice Opoczna, niedaleko dworu w Kraśnicy), Zofia z Ossowskich Boczkowska, widziała, jak żandarm prowadził grupę żydowskich dzieci – na końcu szła, szlochając, dziewczynka. Pani Zofia poruszona podeszła do Niemca, wręczając mu zdjętą naprędce z siebie biżuterię. Przyjął dar, po czym pozwolił zabrać płaczące dziecko. I tak Hanka trafiła do Kunic, gdzie szczęśliwie doczekała zakończenia wojny. Potem wyjechała do Izraela.

Jego drugim mężem został Paweł Monat, w latach 50. szef ataszatów wojskowych PRL, po ucieczce na Zachód skazany zaocznie na karę śmierci. Czytała pani jego wspomnienia opublikowane w USA?

Z niesmakiem. Są beznamiętne i mocno zakłamane.

Echa okupacji rezonują także z biografią Tomasza Łychowskiego, opisanego w „Pisarskich delicjach”.

Tomasz Łychowski – mieszkający w Rio de Janeiro poeta i malarz, członek londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (nagrodzony w 2016 r.), działacz polonijny – miał 10 lat, gdy wraz z rodzicami, zadenuncjowanymi przez renegata Ludwika Kalksteina, znalazł się na Pawiaku. Jego ojciec był Polakiem, matka – Niemką, która podczas pobytu w celi zapisała się we wdzięcznej pamięci towarzyszek niedoli, między innymi pomagając im w porozumieniu się z niemieckim personelem więziennym. Po wojnie Koło Byłych Żołnierzy AK w Londynie przyznało Gertrudzie Łychowskiej odznaczenie.

Tomasz urodził się w Angoli, wtedy kolonii portugalskiej, w Polsce spędził ledwie sześć lat (1938–1944), mówi pięknie po polsku. Po wojnie kilka lat tułał się z rodzicami po Europie, aż zacumowali w Brazylii. Ukończył tam studia, pracował pedagogicznie, aktywnie kultywuje życie Polonii. Ma ponad 80 lat i jest prawdopodobnie najmłodszym żyjącym więźniem Pawiaka.

Wokół Wańkowicza orbitował także Jan Erdman, złołowy polski dziennikarz sportowy.

To zięć autora „Na tropach Smętka”. Należał do dziennikarskiej elity II RP, pisywał głównie o sporcie (sprawozdawca „Przeglądu Sportowego” z igrzysk olimpijskich w Garmisch-Partenkirchen oraz Berlinie w roku 1936), ale relacjonował też dojście do władzy Adolfa Hitlera, wojnę domową w Hiszpanii, konferencję monachijską czy rozbiór Czechosłowacji. We wrześniu 1939 r. bronił Warszawy. Po ucieczce z niewoli niemieckiej umknął szlakiem tatrzańskim do Francji. Następnie zasilili Brygadę Karpacką, walcząc pod Tobrukiem, co zaowocowało Krzyżem Walecznych. Później piastował stanowisko attaché prasowego ambasady RP w Moskwie (tymczasowo ewakuowanej do Kujbyszewa). W 1944 r. zakotwiczył w USA, utrzymując się z... hodowli kur oraz tkania dywanów. Dopiero w 1950 r. powrócił do dziennikarstwa – dwie dekady przepracował w Głosie Ameryki. Po przedwczesnej śmierci Marty ożenił się ponownie, po kilku latach chorowania na nowotwór popełnił samobójstwo.

Dodamy tylko, że zasłynął biografią majora dyplomowanego Macieja Kalenkiewicza „Kotwiczka” („Droga do Ostrej Bramy”) – skłonił swego szwagra, hubalczyka i cichociemnego, poległego w starciu z Sowietami pod Surkontami na Wileńszczyźnie latem roku 1944. Jednak skoro wróciliśmy do Wańkowicza, to może warto byłoby odnotować książkę pani pióra prezentującą Amerykanom sylwetkę twórcy „Ziela na kraterze”.

W tej książce, wydanej w 2013 r. przez Lexington Books pt. „Melchior Wańkowicz. Poland’s Master of the Written Word”, nazwałam go polskim Hemingwayem. Myślałam, że w jakiś sposób przywróciłam tego pisarza Ameryce, skąd w 1958 r. wyjeżdżał rozczarowany, a przez Polonię oskarżany o „powrót do komunistów”. Po ponad pół wieku wrócił za wielką wodę – książką o sobie.

Naszym zdaniem nic nie przysłużyłoby się lepiej popularyzacji jego pisarstwa jak przetłumaczenie na angielski i wydanie w Stanach Zjednoczonych książki legendy: „Bitwa o Monte Cassino”. Znałe są działania, które od dawna podejmuje pani w tym kierunku. Czy są szanse na ich pomyślny finał?

Nie chcę zapeszać, ale mam pozytywne sygnały z Instytutu Książki, który chce wesprzeć tłumaczenie, podobnie jak Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ame-

ryce. A wydawcą jest – wspominany przeze mnie Lexington Books, znakomita oficyna, gdyż książki wydane przez nią natychmiast trafiają do 800 (!) bibliotek naukowych na całym świecie. Są w zbiorach takich uniwersytetów, jak Princeton, Harvard, Yale, Columbia, Pensylwania, Stanford.

Kiedy szukałam wydawcy dla „Kai”, zainteresowanie wykazała znana nowojorska oficyna, ale przed podpisaniem umowy zapytano mnie, czy aby na pewno w książce chodzi o powstanie w getcie warszawskim. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że chodzi o zupełnie inne powstanie – 1944 r. – A, to nas nie interesuje – dowiedziałam się.

W końcu wydawcę znalazłam sama, chodząc po księgarniach i spisując adresy ze stopek wydawniczych. Wysyłałam wszędzie grzeczne e-maile, i w końcu trafiłam, i to znakomicie.

Wykorzystała pani archiwum Wańkowicza, by m.in. wydać niepublikowane wcześniej jego teksty o problematyce żydowskiej i o zbrodni na Wołyniu, a także korespondencję pisarza, m.in. z żoną, a także z redaktorem paryskiej „Kultury”, Jerzym Giedroyciem. O kształt tej ostatniej toczyła pani spory...

Piszę o tym szczegółowo w „Pisarskich delicjach”. Wymieniałam z Jerzym Giedroyciem wiele listów, bardzo miłych, jeśli dotyczyły Indian (Redaktor był miłośnikiem westernów) czy zwierząt domowych, ja miałam swoją kotkę, on psa. Jednak w tym, co najważniejsze, nie było między nami zgody, a właściwie wyglądało to tak, że Redaktor w listach pisał mi, jak wysoko ceni Wańkowicza, natomiast z przedmowy, którą przygotował do wyboru korespondencji, wynikało coś zupełnie innego. Nie ukrywam, że jestem dumna, bo udało mi się go przekonać, by napisał nową przedmowę, stawiając sprawę niemal na ostrzu noża, gdyż – gdyby tak się nie stało – chciałam wycofać swoje nazwisko z planowanej publikacji. Próbował jakby zbagatelizować problem, utrzymując, że podchodzę do sprawy nazbyt emocjonalnie, moim zdaniem jednak, o czym mu napisałam, nie była to kwestia emocji, lecz lojalności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

– reporterka, pisarka, doktor nauk humanistycznych. W latach 1972–1974 asystentka i sekretarka Melchiora Wańkowicza, który dedykował jej drugi tom „Karafki La Fontaine’a” i zapisał w testamencie swoje archiwum. Od 1990 r. mieszka w USA.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Koszmar w skansenie



★★★★★
REŻ. ARI ASTER
„MIDSOMMAR.
W BIAŁY DZIEŃ”
(„MIDSOMMAR”)
USA 2019

wyst. Florence
Pugh, Jack Reynor,
Vilhelm Blomgren

Młodzi Amerykanie na wakacjach w Europie – to pachnie komedią romantyczną lub niskobudżetowym horrorem. Ari Aster stawia dopiero pierwsze kroki w filmowej branży, lecz już zdecydował, że woli straszyć bliźnich, niż wprawiać ich w błogostan. Krytyka wyraźnie mu sprzyja, przemykając oczy na błędy i niedoróbki. Widzowie podzieli się na dwa obozy. Fani kina autorskiego wróżą 31-latkowi karierę na miarę Davida Lyncha, inni jednak źle znoszą łamanie konwencji. Zdarzało się, że podczas seansów „Dziedzictwa” zbławoszona publika zamiast wyć ze zgrozy, rżała z uciechy.

Reżyser wyciągnął wnioski i tym razem bohaterów przeznaczonych na zgon wysłał do Szwecji, by wzięli udział w tradycyjnych obrzędach letniego przesilenia.

Święto Kupały w skandynawskim wydaniu od wieków sprowadza się do przebieranek (śnieżnobiałe wdzianka, na głowach wianki) tudzież euforycznych płasów wokół słupa. Jankesi dadzą się jednak zwabić na daleką północ, gdzie noc jest tak krótka, że nie ma jej wcale, zaś tubylcy hołdują zgoła pogańskim obyczajom. Popijają herbatkę z grzybów, aby „poczuć energię płynącą z Ziemi”, wspólnie wychowują potomstwo i żyją dokładnie 72 lata.

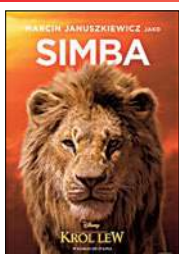
Wiara, że Stary Kontynent ma w sobie coś z Nowej Gwinei, a w jego najbardziej zmodernizowanej części przetrwały osady będące połączeniem skansenu i kibucu, wzrusza. Zainteresowani etnografią i antropologią nie będą żałować pieniędzy wydanych na bilet. Martwi jednak brak ikry. Narracja bez pośpiechu toczy się

w przewidywalnym kierunku. Łatwo zgadnąć, który z przybyszów ściągnie na siebie szczególną niechęć gospodarzy, a któremu przyjdzie zmagać się z pokusą dołączenia do wielkiej (choć patologicznej) rodziny.

Aster, skupiony na celebrowaniu nastroju, postaci narysował wyjątkowo grubą kreską. Ich los jest nam doskonale obojętny. Dani studiuje psychologię, więc z góry wiadomo, że odpornością na stres nie grzeszy. W dodatku zaliczyła rodzinną tragedię. Jej chłopak, Christian, jest chwiejny i ulega wpływom. O pozostałych nie ma nawet co wspominać – są głusi i ślepi na złowieszcze sygnały. No cóż, kiedy Pan Bóg chce kogoś zgubić, to najpierw mu rozum odbiera.

Z wyjątkiem Florence Pugh aktorki nie mają tu wielkiego pola do popisu. A i ona była bardziej przekonująca jako lady Makbet niż jako kobieta bluszcz.

Obronną ręką wyszedł autor zdjęć, Paweł Pogorzelski, stały współpracownik Astera. Byłoby wspaniale, gdyby reżyser zaprzężył się jeszcze z asertywnym montażystą, który – nie zważając na jego protesty – wyciąłby z „Midsommar” pół godziny zbędnego materiału. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KRÓL LEW”

Ciąg dalszy wielkiego przerabiania animowanych hitów Disneya na wersje live action. Mieliliśmy już w tym roku nowego „Aladyna” i „Dumbo”, teraz przyszła kolej na „Króla Lwa”, którego nową wersję dostajemy 25 lat po premierze animacji nagrodzonej dwoma Oscarami. Reżyserem jest Jon Favreau, któremu udało się już w ciekawy (i opłaca-

ny) sposób trzy lata temu uwspółcześnić „Księgę džungli”. ©©

Piotr Gociek

• reż. Jon Favreau „Król Lew” („The Lion King”), USA 2019, wyst. Keegan-Michael Key, Seth Rogen, Donald Glover

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- reż. Philippe de Chauveron „I znowu zgrzeszyliśmy, dobry Boże!” („Qu'est-ce qu'on a encore fait au bon Dieu?”), Francja 2019
- reż. Asif Kapadia „Diego” („Diego Maradona”), Wielka Brytania 2019
- reż. Nikolaus Leytner „Trafikant” („Der Trafikant”), Austria/Niemcy 2018

Przez sztukę do prawdy

Petra, początkująca malarka, chce poznać swojego ojca. Podobnie jak w „Ukrytych pragnieniach” trop prowadzi do pracowni uznanego artysty. Na tym jednak analogie się kończą. U Bertolucciego słodczy tokańskiego pejzażu łagodniła napięcia i unieważniała dramaty. Nawet widmo śmierci nie mogło położyć kresu bachanaliom.

Krajobraz Hiszpanii jest inny, mniej przyjazny człowiekowi. Prywatne śledztwo Petry uruchamia zaś lawinę, która przyniesie wszystkich zainteresowanych. Domniemany tatuś okaże się bowiem socjopatą, czerpiącym satysfakcję z poniżania bliźnich. Młodzi, którzy próbują dążyć przez sztukę do prawdy i wierzają, że bez prawdy nie

ma piękna, są jego zdaniem godni pogardy. Artysta jest wielki tylko wtedy, gdy zarabia wielkie pieniądze. Z tego punktu widzenia prace dziewczyny, pozbawione komercyjnego potencjału i „przesadne intymne”, są po prostu słabe.

Ludzie obcujący z tym potworem nie są teflonowi, więc tragedia wisi w powietrzu. Smętne zawrodoenia chóru, które słycać, zanim jeszcze ktoś pojawi się na ekranie, informują, że obcujemy z dziełem w stylu Eurypidesa. Mamy jednak XXI w., więc Rosales pomieszał chronologię i nafaszerował fabułę spoilerami. Chcieliście dowodu, że sztuka nowoczesna sprzyja patologiom – no to go macie. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★

REŻ. JAIME ROSALES
„PETRA”
HISPANIA 2018

wyst. Barbara Lennie, Joan Botey, Alex Brendemühl



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

VIDOCQ I PAN FOUCHE

„Vidocq” z roku 2001 w reżyserii Pitoufa skręcał ku fantazji. Nowa wersja opowieści o życiu słynnego bandyty, który przemienił się w surowego policjanta, idzie w stronę przypowieści z politycznym morałem. Film Richeta (którego najlepszym dokonaniem był dwuczęściowy „Wróg publiczny numer jeden”) skupia się na transformacji Vidocq. Złoczyńca (świetny Vincent Cassel) po ucieczce z galii postanawia zerwać z dawnym życiem. Coż z tego, skoro dawni współnicy ciągną go do złego, a społeczeństwo nie ma zamiaru wybaczyć? Szukający odkupienia (a najpierw ulaskawienia) Vidocq formuje grupę podobnych sobie strażników i zaczyna własne łowy na przestępców. To, co się dzieje na ulicach Paryża, ma przełożenie na rozgrywkę w salonach władzy, wśród ludzi, którzy mają dostęp do ucha Napoleona lub przynajmniej ministra policji Josepha Fouché. Zgrabny kryminal historyczny z łopatologiczną końcówką, choć pozostaje poczucie niedosytu. ©©



wyst. Vincent Cassel, Freya Mavor, Olga Kurylenko

★★★★★

REŻ. JEAN-FRANÇOIS RICHEL
„WŁADCA PARYŻA”
 („L'EMPEREUR DE PARIS”)

FRANCJA 2018,
DYSTR. GALAPAGOS

CZTEREJ PANCERNI I DZIEWCZYNA

Komiksowa fantazja udająca film o II wojnie światowej. Debiutujący w roli dowódcy czołgu w bitwie pod Moskwą młodszy lejtnant Iwuszkina jedną maszyną rozbija w pył cały pancerny oddział wroga. Trzy lata później jako więzień obozu koncentracyjnego zostaje wybrany, by z towarzyszy niedoli skompletować załogę i uczyć Niemców, jak walczyć z sowieckimi czołgami. To, co się dzieje dalej, przypomina „Zakład o śmierć”, jeden z odcinków serialu „Czterej pancerni i pies”. Dla komfortu rosyjskiego widza chowanego na nowym imperialnym kinie epoki Putina w filmie pojawiają się kwestie w stylu „jak nauczyć się bić Roskich, to Anglosasi będą dla was niczym”. A że fundamentem Putinowskiej propagandy jest sojusz z Cerkwią, to mamy na ekranie wspólnie modlących się czołgistów i zbawienny święty obrazek (co z tego, że niemiecki?). Co do prawdy historycznej, to niech za komentarz służą słowa wypowiedziane przez Iwuszkina: „Grabić? To nie po naszymu!”. ©©



wyst. Alexander Petrov, Irina Starshenbaum, Viktor Dobronravov

★★★★★

REŻ. ALEKSEJ SIDOROV
„T-34”
ROSJA 2018,
DYSTR. FILMOSTRADA

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: WHAT REMAINS OF EDITH FINCH

Nie jest to gra nowa, ale ze względu na opóźnioną premierę na konsoli Nintendo Switch postanowiliśmy skorzystać z okazji i o niej przypomnieć. Mało jest na rynku podobnych perełek, które nic nie tracą z upływem czasu. „What Remains of Edith Finch” stanowi opowieść na pograniczu

przygodówki, thrillera i dramatu, oblanego sosem wielkiej tajemnicy. Jako Edith wracamy do rodzinnego domu, aby odkryć przyczynę klątwy, która prześladowa Finchów od dekad. Poznając losy kolejnych przodków, wcielamy się w nich w fabularyzowanych minihistoriach, które przypomi-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nają literackie eseje i zabawę formą. Warto. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Przygodowa
- **Platforma:** Switch/PS4/XONE/PC
- **Producent, dystrybutor:** Giant Sparrow/Annapurna Interactive
- **PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wczesne wiersze Iłły

Jej debiutancki tomik wierszy „Ikarowe loty” (1912) przyjęty został entuzjastycznie. Zachwycali się recenzenci i krytycy, ale i Adam Grzymała-Siedlecki, i – na pewno wtedy najważniejszy – Stefan Żeromski. Chociaż nie wiedzieli, kto naprawdę był autorem „Buntu młodości” i innych utworów zawartych w tej książce. Ponoć Karol Szymanowski wyjawiał Żeromskiemu, że poznana przez niego niedawno młodzieńca Kazia jest poetką, na co twórca „Ludzi bezdomnych” spochmurniał i westchnął: „Mój Boże, więc K. Iłkowicz jest kobietą”. Bo tak też, po męsku, podpisane były „Ikarowe loty”.

Za debiut poetki w czasopiśmie uchodzi wiersz „Jabłonie”, wydrukowany w „Tygodniku Ilustrowanym” z 4 czerwca 1905 r., a podpisany również: K. Iłkowicz. Trzy lata później zadebiutowała całym blokiem utworów opublikowanych w wydanej w Karlsruhe jednodniówce „Pod obcym niebem”. Na druk ten natrafił całkiem niedawno prof. Jan Zieliński, w szkicu „Zapoznany debiut Kazimierzy Iłkowiczówny” opowiadający historię zarówno samego odkrycia w bibliotece we Fryburgu, jak i okoliczności, w jakich doszło do tej edycji firmowanej przez Polską Czytelnię Akademicką w Karlsruhe.

Esej prof. Zielińskiego wieńczy wydany teraz nakładem Volumenu zbiór Iłkowiczówny pod znanym już nam tytułem „Pod obcym niebem” z – w sumie – 33 wczesnymi utworami Iłły, i tymi z jednodniówek, takich jak „Ikarowe loty” oraz dedykowane Józefowi Piłsudskiemu „Trzy struny”.

Ciekawe, że po latach, na początku 1950 r., autorka otrzymała strony ze swymi najdawniejszymi wierszami od Juliana Tuwima, który w serdecznym liście pytał, czy zawartość tych szpagatów to może debiut poetki.



FOT. MAC

„Najdroższy Tuwimie – odpowiedziała Iłła. – Strasznie dziękuję za tak miłą uwagę! Co najzabawniejsze to to, że ta »księga zbiorowa«, z której wydarto kartki, była niewątpliwie moją własnością kiedyś, gdyż notatka »16 lat« jest napisana moją ręką. Ta poetycka proza pisana bodaj, że w 1904–5 ma zabawną historię. Ja byłam wtedy zupełnie niewierząca, mimo to kiedy posłałam ową prozę do »Krytyki« Feldmanowi, odesłano mi ją, motywując, że »rzeczy religijnych nie zamieszczamy«. Czy wyobraża pan sobie moje zdumienie bez granic?! NB., w 1948 w jesieni coś zupełnie analogicznego zrobił Jastrun, zwracając mi z »Kuźnicy« wiersze jako »religijne«. Ale wracam do »Zmierzchu«. Przepisał go dla mnie odręcznie z mojego brulionu sam Janusz Jędrzejewicz, który wówczas był studentem matematyki i bardzo obiecującym poetą, przeuroczym i arcydobrym człowiekiem. Pamiętam jeszcze pierwszą strofę jego wiersza »Zielony pies« [...]”.

Rzeczywiście, ów przepisowywał był z zawodu matematykiem, a później został, jak wiadomo, premierem Rzeczypospolitej (1933–1934). Sama zaś Kazimiera Iłkowiczówna pracowała

w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale przede wszystkim zatrudniona była jako sekretarz Józefa Piłsudskiego. Wspominany przez nią „Zmierzch”, pochodzący z odnalezionej jednodniówki, czyta się dziś z trudnością, nadto jest jeszcze modernistyczny. Jednak już pojedyncze wiersze robią lepsze wrażenie, jak nieznana dotąd „Siejba”:

*Anioły jasno-skrzydlate
nad czystą krąją duszą,
i w palcach przezroczo-śnieżnych
złociste kłosa kruszą.*

*Anioły jasno-skrzydlate
cicho się w mroku śmieją,
i w duszę dziecka Bożego
złociste ziarna sieją.*

*Zły, przyczajony w parowie
dąsa się, drży i zgrzyta...
Nad świeżo zoraną rolę
Poranna zorza świta.*

Dopisek o „16 latach”, odnoszący się z pewnością do wieku autorki, jest jeszcze jednym potwierdzeniem prawdziwości przyjętej ostatnio tezy o urodzinach poetki w roku 1889. A rzecz była skomplikowana, gdyż sama poetka podawała datę o trzy lata późniejszą – rok 1892, na zachowanym akcie chrztu odczytać można jedynie rok wystawienia dokumentu – 1893, a na płycie nagrobnej poetki na Powązkach wyryto rok 1898!

Przyszła autorka „Słownika litewskiego” urodziła się 6 sierpnia 1889 r. w Wilnie. Była nieślubną córką Barbary Iłkowiczówny i Klemensa Zana, syna Tomasza Zana – przyjaciela Mickiewicza, założyciela Towarzystwa Filomatów i prezesa Zgromadzenia Filaretów, zesłańca na Syberię, bohatera narodowego. Także poety.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
**KAZIMIERA
IŁKOWICZÓWNA**
**„POD OBCYM
NIEBEM.”**
**33 WCZESNE
UTWORY”**
OFICyna
WYDAWNICZA
VOLUMEN,
WARSZAWA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pozdrowienia z Melbourne

Skupieni na drapieżnikach w ludzkiej skórze tropionych przez bohaterów współczesnych kryminałów zapominamy czasem, że detektyw także jest outsiderem. Zawsze nim był. Zwykle to, co czyni go outsiderem, jest także powiązane ze źródłem jego sukcesów. Genialny umysł Holmesa oddziela go od zwykłych ludzi. Pedantyczność Poirota czyni go osobnikiem nie do wytrzymania. Nero Wolfe albo Lincoln Rhyme przykuci do inwalidzkich wózków prowadzą śledztwa i szlifują sztukę dedukcji, nie opuszczając ścian własnych apartamentów.

Emma Viskic, australijska debiutantka, pisząc swój pierwszy kryminał, wymyśliła własnego outsidera, a pomysł miała prosty i bardzo efektywny, jeśli chodzi o przypisanie narracji dodatkowym dreszczykiem. Caleb Zelic nie słyszy (wspomaga się aparatem słuchowym), mówi z kłopotami, lepiej idzie mu posługiwanie się językiem migowym. Zwykły detektyw składa z okrucich dowodów obraz wydarzeń, Caleb musi wysilić się jeszcze bardziej, składając także rozsypane dźwięki, wpół zrozumiane słowa.

„Zatoka milczenia” otrzymała w Australii wszelkie możliwe nagrody kryminalnej branży oraz czytelników,

ale jej lektura pozostawia poczucie niedosytu. Mamy tu skorumpowanych gliniarzy, morderstwa i łup wart 2 mln dol., lecz nad opowieścią kryminalną przeważają wątki obyczajowe. Główny bohater rozdarty jest między byłą żoną (wciąż ją kocha) a nową partnerką, wszystkich łączą kłopoty rodzinne, a roboty czysto detektywistycznej jest niewiele. Dla polskiego czytelnika rzecz jest o tyle ciekawa, że kryminały australijskie zwykle do nas nie trafiają. Tutaj akcja rozgrywa się w Melbourne oraz w nadmorskim miasteczku Resurrection Bay. Podobnie jak w południowoafrykańskich kryminałach Deona Meyera ważny jest element napięcia rasowego – nie wszyscy w Australii nauczyli się traktować potomków Aborygenów jako pełnoprawnych członków społeczeństwa.

Debiutantka nieźle pisze, a jej książki dobrze robi postawienie bardziej na dialogi niż opisy (odwrotnie niż w wielu zbyt statycznych polskich kryminałach). Ma jednak kłopot z budowaniem

scen kulminacyjnych, które okazują się umiarkowanie satysfakcjonujące. W efekcie mocny początek jest najbardziej emocjonującą częścią książki. Byłby z tego przyzwoity film telewizyjny (może zresztą będzie), na razie jest przyzwoity kryminał na wakacje. Czyta się szybko i szybko zapomina. ©©



★★★★★
EMMA VISKIC
„ZATOKA
MILCZENIA”
MUZA 2019

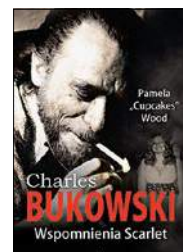
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Wznowienie głośnych esejów francuskiego pisarza „o formach wyobraźni” od baśni do SF, od Potockiego do Lautréamonta. O powieści kryminalnej, o sztuce poetyckiej – edycja uaktualniona, z nowym posłowiem (Tomasza Swobody).



ROGER CALLOIS
„ODPOWIEDZIAL-
NOŚĆ I STYL”
PIW

Opowieść o amerykańskim pisarzu i skandalistce napisana przez kobietę, która spędziła z nim dwa lata. W zanurzeniu się w atmosferę artystycznego świata połowy lat 70. pomagają zdjęcia z prywatnej kolekcji Pam.



PAMELA WOOD
„CHARLES
BUKOWSKI.
WSPOMNIENIA
SCARLET”
REPLIKA

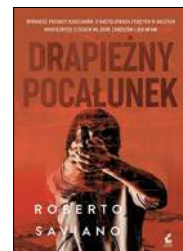
Oczami skazanej na dożywocie Romy (ofiara był klient klubu ze striptizem, który przemienił się w stalkera) oglądamy więzienie. Piekło na zewnątrz, piekło w środku. Ameryka bardziej ponura niż w „Orange Is the New Black”.



RACHEL KUSHNER
„MARS ROOM”
W.A.B.

Autor książek non-fiction „Gomorra” i „Zero zero zero” ma w dorobku także powieść „Chłopcy z parazytów” o amoralnych dzieciakach z Forcellii, ponurej dzielnicy Neapolu. „Drapieżny pocałunek” to jej kontynuacja. ©©

recenzuje Piotr Gociek



ROBERTO SAVIANO
„DRAPIEŻNY
POCAŁUNEK”
SONIA DRAGA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbø „Nóż”** (Wydawnictwo Dolnośląskie) – 12. powieść o Harrym Hole’u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.
2. **Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni”** (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej. Wkrótce niestety także film.
3. **Jojo Moyes „Kolory pawich piór”** (Między Słowami) – jedna z wcześniejszych powieści autorki bestsellerowych „Zanim się pojawiłeś” i „Kiedy odszedłeś”.
4. **Blanka Lipińska „365 dni”** (Edipresse) – sukces sequela (patrz: miejsce drugie zestawienia) przywrócił na listy bestsellerów powieść sprzed roku.
5. **Cassandra Clare „Królowa Mroku i Powietrza”** (MAG) – trzeci tom cyklu fantasy „Mroczne intrzygi” (poprzednie tomy to „Pani Noc” i „Władca Cieni”).

(Najchętniej kupowane tytuły tygodnia na Swiatksiazki.pl)



Przygrywając wiedźminom

Trzecia część gry „Wiedźmin” studia CD Project Red przyniosła globalny rozgłos nie tylko światu i postaciom zrodzonym w głowie Andrzeja Sapkowskiego, autora książek o Wiedźminie, lecz także pewnemu projektowi muzycznemu. Persival (nazwa nieprzypadkowa, o tym za chwilę), to projekt inspirowany kulturą Słowian, który współtworzył ścieżkę dźwiękową do gry o Gericie.

Muzyka ta zyskała rozgłos za sprawą dzieła programistów CD Project Red, ale została też doceniona jako osobny byt i zaczęła żyć własnym życiem. A Persival na bazie tej popularności stworzył spektakl muzyczny „Wild Hunt Live”, z którym objechał już całą Polskę oraz sporą część świata i z którym występuje do dziś.

Persival to oczywiście nie tylko „Wiedźmin”. W ubie-

głym roku na sklepowe półki trafiła ostatnia płyta z ich słowiańskiego tryptyku. Rozpoczął go wydany w 2012 r. album „Slava! Pieśni Słowian Południowych”, dwa lata później ukazała się płyta „Slava II – Pieśni Słowian Wschodnich”, a cykl zamyka „Slava III – Pieśni Słowian Zachodnich”.

Sam projekt Persival biorący na warsztat muzykę słowiańską to część większej ca-

łości – zrodzonego w 1999 r. zespołu Percival Schuttenbach. Tutaj folk dociążony jest metalem. „Według nas nie ma rozdziewku między korzeniami i tradycją a buntem i nowatorstwem” – piszą artyści. I dodają: „Opowieść nasza może ci się nie spodobać, możesz jej nie zrozumieć, ale pewne jest jedno – nigdy się o tym nie przekonasz, jeśli nas nie posłuchasz!”. Pełna zgoda.

I słówko o nazwie zespołu. Percival Schuttenbach to postać z sagi Andrzeja Sapkowskiego – gnom, lekoduch lubiący karty i śpiew, ze skłonnościami do oszukiwania wszystkich dookoła. Jego nazwisko nawiązuje do Wolframa von Eschenbacha, twórcy średniowiecznego eposu o poszukiwaniach Grala. W prozie Sapkowskiego Percival znajduje kielich, ale nie zauważa w nim niczego nadzwyczajnego. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Panowie nie odpuszczają

Chick Corea terminował u mistrzów latynoskiego jazzu. W 1972 r. skomponował ikoniczny utwór „Spain”, a cztery lata później nagrał album „Moje hiszpańskie serce”. Teraz 78-letni pianista przedstawia współczesną wizję jazzowego flamenco i salsy.

The Spanish Heart Band tworzą: ośmiu muzyków, troje wokalistów oraz tancerz Nino de los Reyes (w nagraniu słychać jego dłonie). Na płycie znalazły się stare i nowe kompozycje Chicka, covery oraz utwór klasyczny. Mając tak duży skład muzyków, pianista przepięknie zaaranżował całość. Sekcja dęta wsparta wspólnymi perkusjonistami z lekkością prowadzi wokalistów. Utwór tytułowy i „My Spanish Heart” śpiewa panamski salsero Rubén

Blades, Brazylijka Maria Bianca z gracją wykonuje „Desafinado” Toma Jobima, a żona lidera, Gayle Moran, porywająco wyśpiewuje prelude do „Hiszpańskiego serca”. W utworach instrumentalnych błyszczą gitarzysta flamenco Niño Josele, a pięknego kolorytu nadaje muzyce flet Jorge Pardo. Na wyróżnienie zasługuje 12-minutowy „Zyrab”, w którym przepięknie rozmawia flet z fortepianem i kontrabasem. Doskonale w całość wpasowała się „Pas De Deux” Igora Strawińskiego w fortepianowej interpretacji lidera.

Dziewięćdziesiątego dziewiętego albumu (!) Chicka Corei słucha się z prawdziwą przyjemnością i niewątpliwie należy on do najciekawszych pozycji w dyskografii jazzmana. ©©



★★★★★
CHICK COREA
& THE SPANISH
HEART BAND
„ANTIDOTE”
DECCA



★★★★★
WILLIE NELSON
„RIDE ME BACK
HOME”
SONY

86-letni mistrz country nagrał kolejny album, w którym dzieli się żywymi doświadczeniami. Nie jest tak mroczny jak ostatnie dwa, a momentami wręcz zachęca do tańca. Ta nieco zakurzona muzyka idealnie pasuje do parych, letnich wieczorów.



★★★★★
THE ROLLING
STONES
„ROCK AND ROLL
CIRCUS”
ABKCO

Koncert na arenie cyrkowej z udziałem m.in. Lennona, Claptona i The Who z grudnia 1968 r. nie porywał. Na premierę czekał 28 lat, a po kolejnych 23 otrzymujemy na 2 CD wszystko, co wówczas zarejestrowano. Tę ekstrawagancję można też zobaczyć na DVD. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Instagramizacja futbolu

Męski świat jest w defensywie. Nawet takie bastiony męskości jak piłka nożna zostały zawłaszczane przez ugrzecznienie, polityczną poprawność i hm... trudno o dobre słowo na określenie tego zjawiska. Sformułowanie „niewieścieństwo” jest niesprawiedliwe dla kobiet. W Internecie można znaleźć mnóstwo filmików pokazujących facetów wywracających i turlających się z bólu od chuchnięcia, skonfrontowanych z babkami koszącymi się równo z trawą bez jęku.

Ja bym określił to mianem „instagramizacji” futbolu. Jeszcze niedawno piłka nożna była ostoją surowego, czasem nazbyt surowego stylu, w którym dobrze odnalazłby się na przykład Chuck Norris. Eleganciki w rodzaju Davida Beckhama były wyjątkami potwierdzającymi regułę. Ale potem nastąpiła epoka mediów społecznościowych i piłkarze zaczęli się stroić na potęgę, mizdrzyć, śpiewać i planować coraz bardziej rozbudowane choreograficznie cieszynki (czyli gesty wyrażające radość po strzelonej bramce).

Taki na przykład Paul Pogba, który uchodzi za wielkiego gracza, tylko zupełnie tego nie okazuje, pobił ostatnio rekord świata. Otóż w ciągu 24 godzin opublikował na Instagramie 88 (!!!) instastories dokumentujących jego pobyt w Nowym Jorku. Napastnik Antoine Griezmann nakręcił cały film pokazujący swoje rozterki dotyczące tego, czy przenosić się z Atlético Madryt do Barcelony. Zaś niejaki Neymar... No cóż, jego po

prostu trzeba sobie obejrzeć. Jest wysmarowany tatuażami i obwieszony modnymi ciuchami oraz biżuterią mniej więcej tak jak choinka udekorowana przez czterolatka.

Gorzej, że ten instagramowy tandetyzm wypełza z mediów społecznościowych do realnego świata. Podczas ostatniego Pucharu Narodów Afryki jeden z piłkarzy pobił kapitana swojej drużyny za to, że uprzedził go w korzystaniu z usług zamówionego fryzjera. Wspomniany już Neymar, który dwa lata temu za niewyobrażalne pieniądze (a dzieci w Sudanie głodują) przeniósł się do Paryża, chciałby teraz z tego Paryża się wynieść. I w związku z tym na znak protestu nie przychodzi na treningi. Chociaż klub płaci mu 37 mln euro rocznie.

Treningi bojkotuje też ów Griezmann, którego przejście do Barcelony nieco się opóźnia. Formalnie jest więc pracownikiem klubu Atlético, który oczekuje, że będzie wykonywał swoje obowiązki. Griezmann jednak nie chce, dowodząc, że pożegnał się z kibicami i kolegami z drużyny, więc udział w treningu narazi go na niepotrzebny stres.

Wobliczu tego wszystkiego zupełnie nie dziwi mnie powstanie ruchu Against Modern Football, którego członkowie mają dosyć oglądania nowych kolczyków i tatuaży piłkarzy oraz tego, że na stadionach nie wolno już kibicom biegać, a toalety na stadionie Manchesteru United są płciowo nieokreślone. I ja ich, tych wrogów postępu, doskonale rozumiem. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Różnica temperatur

Jedno, co rzuca się w oczy podczas trwającego od roku maratonu o wszystko, to zaskakująca różnica temperatur między głównymi antagonistami. I nie chodzi tu o emocje, które wywołuje pojawianie się prominentnych działaczy na rynekach polskich miast i miasteczek ani nawet o poziom inwektyw w wypowiedziach na ich tematy. Co tu ukrywać – kwestie podnoszone przez totalną opozycję są dosyć letnie, temat wolnych sądów, obrony konstytucji czy walki z globalnym ociepleniem (które większość uważa za jakiś szwindel albo przekręt) może emocjonować aktywistów, ale milionów (o których tak marzy Wałęsa) nie porwie. Na tym tle przekaz dobrej zmiany – stop dla islamskich imigrantów, ochrona dzieci przed tęczęwą zarazą czy Kościoła przed totalnym atakiem na tę instytucję – z łatwością panuje nad emocjami większości. Niektórzy z totalsów to rozumieją, szukają nowych pomysłów, niestety próby zrobienia z Kaczyńskiego sojusznika Putina, a z Macierewicza ruskiego agenta budzą co najwyżej śmiech politowania.

Ludzie myślą portfelami – widzą, że w nich stale przybywa, a jakkolwiek zmiana grozi tym, że zaczną ubywać. Elektorat wie, kto mówił, że pieniędzy na nic nie ma, że trzeba podnosić wiek emerytalny i podatki, podczas gdy równocześnie grube miliardy lądowały w kieszeniach dobrze ustawionych. I co mówić o wiarygodności? W dodatku w sztuce drażnienia ludzi

szanowni oponenti wykazują nieprawdopodobny brak taktu, nie wspominając o rozumie. Po co był Trzaskowskiemu flirt z LGBT? Ilu wyborców przyciągnął, a ilu odstraszył? Jaki diabeł nakazuje pani Dulciewicz występować po stronie pancernika „Schleswig-Holstein” w szturmie na Westerplatte? Ilu mieszkańców Szczecina przyciągnie burmistrza miasta nad Odram zamieniającego ul. Jana Pawła II na plac im. Adamowicza? Zaiste lepiej przywiązałyby sobie do szyi kamień i skoczyły na łeb z Wałów Chrobrego!

Te i podobne prezenty mogą jedynie cieszyć obóz władzy. Bez nich mozolna praca u podstaw, choć ciężka i ofiarna, często pozostawałaby niezauważona. Nawet przekop Mierzei Wiślanej i tunel w Świnoujściu mogłyby pozostać jedynie lokalną informacją. Ślepy atak na „cokolwiek PiS robi” podnosi jedynie wagę tych problemów.

Jest jeszcze jedno, co wie każdy z kibiców boksu – motywacja zawodników. Totali wychodzą wprawdzie w brokatowych płaszczach z nowym kompletem zębów i gronem pięknych fanek. Brak w nich jednak wiary, woli walki i głodu zwycięstwa. Istniała obawa, że obrońcy tytułu stracili świeżość, uwierzyli w siebie, są przekonani, że nie ma z kim przegrać, i potraktują turniej jak sparing. Może tak być. Jednak trener nawet z postury przypominającej „Papę” Stamma na to im nie pozwoli! ©©



Z Witoldem Gadowskim, publicystą
rozmawia Maciej Pieczyński



Gdyby Putin nie zajął Krymu, być może już by nie żył

MACIEJ PIECZYŃSKI: Piotr Zychowicz stwierdził na łamach „Do Rzeczy”, że Polsce nie zagraża obecnie rosyjska inwazja, wobec czego nie ma potrzeby stawiać na „egzotyczny sojusz” z USA. Ma rację?

WITOLD GADOWSKI: Potencjalne zagrożenie militarne ze strony Moskwy zawsze istnieje. Obecnie jednak o wiele bardziej realnym problemem jest aktywna i skuteczna działalność rosyjskiej agentury w Polsce.

Na czym ona polega? Ma pan na myśli agenturę wpływu czy działalność szpiegowską w ścisłym znaczeniu?

Rosjanie posiadają w Polsce bardzo wielu uśpionych i aktywnych

agentów. Agentura wpływu również funkcjonuje.

Jednak skuteczna raczej nie jest. Ze świecą szukać na polskiej scenie politycznej sił otwarcie i programowo prorosyjskich, bo też i nie ma elektoratu o podobnych sympatiach. „Zielone ludziki” u nas nie przejdą.

Rosjanie w Polsce działają inaczej – realizują swoje interesy, posiadając wpływy w kręgach osób publicznych i polityków. Często grają tam, gdzie byśmy się ich nie spodziewali. Karykaturalnie antyrosyjskie poglądy to też ich robota. W efekcie bowiem odstręczają od idei utrzymywania Rosji z dala od budo-

wanej właśnie polskiej niepodległości. W tej chwili scenariusz ukraiński byłby nierealny. Za to aktywnie działa agentura służąca załatwianiu rosyjskich interesów gospodarczych w Polsce...

... której celem jest np. uniemożliwienie przekopu Mierzei Wiślanej albo zepsucie relacji ekonomicznych ze Stanami Zjednoczonymi?

To są te sprawy najbardziej oczywiste i najczęściej nagłaśniane w mediach. Poza tym jednak rosyjska agentura mocno wpływa na decyzje dotyczące funkcjonowania sektora energetycznego. Z jednej strony polski rząd oficjalnie ogłasza, że uniezależniamy się od



FOT. STEFAN WAGENS/REPORTER

siłowników [ros. siłownik – pracownik resortów siłowych, organów bezpieczeństwa – przyp. red.]. To oni tak naprawdę rządzą Rosją. Putin jest w porównaniu z nimi liberałem, zapadnikiem, który, gdyby nie presja ze strony radykałów, najchętniej przeorientowałby Moskwę bardziej na Zachód.

Rzeczywiście, Aleksander Dugin czy Igor „Strielkow” Girkin krytykowali prezydenta Rosji za to, że zatrzymał się na Krymie i w Donbasie, zamiast podbić co najmniej cały „jugo-Wostok” (południowy wschód kraju) albo całą Ukrainę...

Właśnie. Reżim Putina to nie jest samodzierżawie. Na jego decyzje wpływają różne środowiska. Putin nie jest największym radykałem na Kremlu. Jest pragmatykiem postępującym zgodnie z zasadami zimnego realizmu. Zdaje sobie sprawę z tego, że jego władza opiera się na siłownikach.

Jednak być może właśnie dlatego, że jest pragmatykiem, warto zatem stawiać na sojusz z Waszyngtonem. Wystarczy kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy nad Wisłą, by ostrożny dyktator nie chciał z nami zadrzeć.

Putin jest w potrzasku. Z jednej strony rośnie presja militarna USA u bram Rosji. Z drugiej strony rośnie presja gospodarcza Chin. Pekin ma już ogromne wpływy na Białorusi, teoretycznie w pełni zależnej od Moskwy. Putin musi przeżyć muskuły niczym car, bo inaczej zostanie usunięty. Jednak otwartego konfliktu z Zachodem nie zaryzykuje.

Za to przyparty do muru może pomachać szabelką, by zasłużyć na poparcie społeczeństwa i siłowników. Pytanie: w którym kierunku?

Z pewnością nie w stronę NATO. Gdyby w 2014 r. Putin nie zajął Krymu i części Donbasu, to prawdopodobnie dziś już nie byłby prezydentem Rosji. A być może nawet już by nie żył. Jego miejsce zająłby ktoś twardszy, ktoś, kto zdaniem siłowników obroniłby interesy Moskwy w regionie.

Tak czy inaczej, całej Ukrainy nie podbił.

Putin dobrze wie, że zajmując całą Ukrainę, udławiłby się nią. Rosja ma wystarczająco dużo swoich problemów gospodarczych, demograficznych, społecznych. Co innego podbić kraj, a co innego ten kraj okupować. Ukraina jest zlepkim wielu żywiołów, działających w różnych kierunkach, niedających się łatwo opanować.

Obserwując polską politykę zagraniczną, można odnieść wrażenie, że przepaliliśmy ostatnie miesiące fundamentalnych zmian w Kijowie. Cieszący się rekordowym poparciem Wołodymyr Zełenski, jako polityk rosyjskojęzyczny, nie musi oglądać się na ukraińskich nacjonalistów, zapewne więc można byłoby się z nim porozumieć w kwestiach polityki historycznej. A jednocześnie jest politykiem prozachodnim, obca jest mu postsowieticka i promoskiewska mentalność Janukowycza. Szuka sojuszników na Zachodzie. Niestety, znalazł Macrona. Andrzej Duda nie pojechał na jego inaugurację. Czy to był błąd?

Oczywiście. Zamiast snuć naiwne mrzonki w duchu dawno już nieaktualnej doktryny Giedroycia, zamiast głosić hasło walki „za naszą wolność i waszą” i tego typu mało realne złudzenia, Warszawa powinna robić z Kijowem racjonalne i opłacalne interesy.

Zełenski chyba dawałby nadzieje na nowe otwarcie i pragmatyzm we wzajemnych relacjach?

Powinniśmy złożyć Zełenskiemu intratną, konkurencyjną ofertę gospodarczą. Taką, która sprawiłaby, że Ukraina, zamiast z Niemcami, będzie robić interesy z Polską.

Zełenski odwiedził Paryż jeszcze w czasie kampanii wyborczej. Dlaczego nie przyjechał do Warszawy?

To pokazuje, że polska polityka zagraniczna po prostu nie istnieje. Zamiast zarabiać pieniądze, bawimy się w budowanie kordonu „przyjaznych” państw, które będą nas odgradzać od Rosji...

Jednak to „kordon sanitarny”. Nie chodzi o przyjaźń, ale o wspólny interes, jakim jest bezpieczeństwo. Im silniejsza jest Ukraina, tym skuteczniej zatrzyma ewentualny marsz Rosji na zachód.

Po pierwsze, Ukraina nigdy nie będzie tak silna, by stawić czoła Rosji. Jeśli Moskwa zechce, to i tak pójdzie na zachód. Po drugie, nie ma sensu nadmiernie opierać swojego bezpieczeństwa na Kijowie, bo nigdy nie wiadomo, kto jest kim na Ukrainie, kto w jakie wewnętrzne szachy gra, komu sprzyja itd.

Jurij Banachewycz, ukraiński dziennikarz, stwierdził niedawno, że w sprawie miejsca Rosji w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy Polska zachowała się „po Wałęsowsku”. Czyli była „za, a nawet przeciw”.

To prawda. Najpierw Jacek Czaputowicz faktycznie poparł Rosję, a potem europosłowie PiS zagłosowali

importu gazu z Rosji, z drugiej zaś strony, w tym samym czasie, importujemy coraz większe ilości rosyjskiego węgla. Na tym Moskwie bardzo zależy. Ponadto kremlowska agentura próbuje wpływać na przedstawicieli Warszawy w instytucjach międzynarodowych.

Piotr Semka, polemizując z Zychowiczem, przekonuje, że Putin jest politykiem nieprzewidywalnym, a co za tym idzie – musimy brać pod uwagę rosyjską agresję. Podziela pan te obawy?

Obawy podzielam. Ogólnie jednak mam jeszcze inny pogląd niż Semka i Zychowicz. Otóż Putin jest przewidywalny, ponieważ jest zakładnikiem grupy

■ przeciwko. Szef MSZ bardzo niezręcznie tłumaczy się z całej tej sytuacji. To kolejny dowód na słabość naszej polityki zagranicznej.

A może polski rząd, hamletyzując w sprawie miejsca Rosji w ZPRE, tak naprawdę zachował się pragmatycznie? Bo przecież nasze MSZ od samego początku przyznawało, że głównym celem wznowienia rozmów z rosyjską dyplomacją jest odzyskanie wraku tupolewa. Może te drobne ustępstwa wobec Moskwy pomogą Warszawie załatwić tę sprawę?

Jeżeli celem polskiej polityki zagranicznej ma być odzyskanie wraku samolotu, to bardzo źle świadczy o polskiej dyplomacji. MSZ powinno dążyć do tego, byśmy mogli robić dobre interesy z Rosją, przy jednoczesnym utrzymaniu sojuszu z USA.

A co z obroną bezpieczeństwa przed agresywnym reżimem Putina?

Na sąsiedztwie z Rosją trzeba zarażać, a nie tracić. Siłą rzeczy, napięta retoryka musi się utrzymywać. Jednak to nie może przeszkadzać w interesach.

Przecież jest pan zwolennikiem pragmatycznego podejścia do polityki zagranicznej. Nie uważa pan, że w naszym dobrze pojętym interesie jest stawiać na ostrzu noża kwestię obrony prawa międzynarodowego?

Nie, to jest podejście oderwane od rzeczywistości. Trzeba brać przykład z Niemiec, które robią z Rosją znakomite interesy, utrzymując przy tym oficjalnie antyputinowską narrację. My tymczasem tylko się odgrzamy Moskwy, nie dostając nic w zamian. Nie ma sensu demonizować Putina i jego rzekomo imperialnych zakusów...

Jednak przecież jego celem jest odtworzenie ZSRŚ. Polska nie była co prawda republiką sowiecką, ale za to sowieckim satelitą...

Rosja odbudowuje swoją imperialną potęgę, ale nie za pomocą militarnej agresji na dużą skalę, lecz poprzez działalność służb specjalnych. To kolos na glinianych nogach. Rosja nie jest w stanie prowadzić ani militarnych, ani gospodarczych podbojów. Nie ma argumentów. Jest zbyt słaba.

Polska jest jeszcze słabsza. O wiele słabsza. Czy wobec tego nie powinniśmy bezkompromisowo stawiać po stronie prawa międzynarodowego? Jego naruszanie jest na rękę potężnym graczom. Jeśli będziemy godzić się na zmianę granic na

Ukrainie, to za jakiś czas nasze granice również ktoś przesunie...

Oczywiście powinniśmy mówić głośno o nienaruszalności. Oczywiście musimy zdawać sobie sprawę z tego, że reżim Putina jest niedemokratyczny, że posługuje się w polityce zagranicznej argumentem siły. Jednak to nie może wykluczać otwarcia gospodarczego na ogromny rosyjski rynek.

Wracając do wraku tupolewa... Co Warszawa musiałaby zrobić, żeby wrócił do Polski?

Działania polskie nie mają tu żadnego znaczenia. Szczątki prezydenckiego samolotu będą przetrzymywane w Rosji tak długo, jak długo będą odgrywać pożądaną przez Kreml rolę. Wrak tupolewa pełni zadanie kija, którym okłada się kłatkę z wygłodniałym psem. Rosjanie w ten sposób podgrzewają emocje na polskiej scenie politycznej. Od czasu do czasu kremlowska agentura wrzuca na nowo temat wraku, by podnieść się krzyk wzajemnych oskarżeń.

A jeśli nawet Rosjanie zwrócą tupolewa, to opozycja zacznie mówić, że PiS współpracuje z Moskwą...

Nie brałbym na poważnie tego, co mówi opozycja. Przecież jej przedstawiciele sami wcześniej wynosili Putina pod niebiosa. Tusk spacerował z nim po sopockim moło rok po agresji na Gruzję, kilka miesięcy przed katastrofą smoleńską. Natomiast Rosja jest obecnie w potężnych tarapatach. Traci swoje wpływy na rzecz Chin. Putin jest w defensywie.

Może pan jednak pochwali polskie MSZ? Jacek Czaputowicz, tłumacząc się z zamieszania wokół ZPRE, zauważył, że Polska zagłosowała tak jak większość europejskich państw. Czyli znaleźliśmy się w głównym nurcie europejskiej polityki. To chyba dobrze?

Polska polityka zagraniczna jest zbyt niekonsekwentna. Nie możemy się zachowywać jak „swawolny Dyzio”, który raz robi dobrą minkę, a innym razem kąsa. To niepoważne podejście.

Wołodimir Zełenski zaproponował rozmowy pokojowe. Do stołu zaprosił Rosję, Francję, Niemcy, USA, Wielką Brytanię. Polski już nie.

Wciąż polska dyplomacja znaczy niewiele. To kontynuacja niezwykle szkolnej „szkoły Gremka”. Mizdrzymy się do silniejszych i wygrażamy słabszym.

Jednak w całej historii III RP było przecież dwóch polityków, którzy z tej pasywności się

wyrwali i potrafili prowadzić niezwykle aktywną, odważną i skuteczną politykę zagraniczną: Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński.

Zgadza się. Jednak i tak finalnie niewiele mogli wprowadzić systemowych zmian w polskiej polityce zagranicznej z uwagi na ograniczone kompetencje prezydenta w Polsce.

Zdaniem Jerzego Marka Nowakowskiego szykuje się nam „Jałta 2.0”. Doświadczony dyplomata twierdzi, że Moskwa i Waszyngton ustalają nowy porządek w Europie Środkowo-Wschodniej, wspólnie popierając polityków formalnie prozachodnich, w praktyce – uległych Putinowi. Dotyczy to ma przede wszystkim Mołdawii i Armenii, prawdopodobnie również Gruzji i Ukrainy. Zgodnie z tą koncepcją Polska znalazła się po zachodniej „stronie mocy”, jednocześnie tracąc możliwości prowadzenia własnej polityki wschodniej.

Nie wydaje mi się, by tak było. Moglibyśmy mówić o Jałcie 2.0, gdyby nie istniały rosnące w siłę Chiny. To Pekin jest dla Trumpa prawdziwym rywalem. Rosja jest obecnie „panną na wydaniu” w konflikcie pomiędzy Chinami a Stanami Zjednoczonymi. Nie jest już samodzielnym biegunem światowej polityki. Jest za to bardzo istotnym graczem, który może przechylić szalę na jedną ze stron sporu. Trump potrzebuje Rosji jako sojusznika przeciw Chinom.

A jakie w tej układance jest miejsce Polski?

„Nasza chata z kraja”. To potencjalnie ma dobre strony. Gdybyśmy bowiem potrafili, moglibyśmy na tym zarobić. Zachowujemy się tymczasem jak pijany były bokser, który już niewiele potrafi, za to cały czas wydaje mu się, że może jeszcze komuś przywalić. Zasada: najpierw realna siła, a potem prężenie muskułów, musi wreszcie obowiązywać także naszą politykę zagraniczną. Oczywiście Rosja ma pewien kompleks Polski. Putin potrafi jednak liczyć i wie, na co nas stać, a na co już nie. Prężenie muskułów i udawanie kogoś, kim się nie jest, przed kimś, kto już widział nas nago, nie jest rozsądne. Polska powinna wreszcie wykorzystać swoje położenie geopolityczne i realnie zyskiwać na tym, że jest niewielkim, ale koniecznym elementem – w tej części świata – układanki dwóch ścierających się bloków. Sojusz z USA jest jedynym dziś sensownym rozwiązaniem, ale Rosji nie wysadzimy w kosmos, trzeba znaleźć formułę realnego sąsiedztwa, na którym się nie traci.

Jednym z najważniejszych współczesnych progresistów jest kard. Walter Kasper

FOT. GRZEGORZ GAŁĄŻKA/SIPA/EAST NEWS

Herezja na szczytach Kościoła



Paweł Chmielewski

Trudno mówić o jedności nauczania w Kościele dziś, gdy po jednej stronie Odry do komunii świętej przystępować mogą rozwodnicy i protestanci, a po drugiej – zgodnie z Tradycją – absolutnie nie. W awangardzie zmian są biskupi i teologowie z krajów niemieckojęzycznych. Ujawnili swój program dopiero za pontyfikatu Franciszka, jednak olbrzymie wpływy udało im się osiągnąć już wcześniej. Jak do tego doszło?

Nie ulega wątpliwości, że znaczącą odpowiedzialność za godny ubolewania stan rzeczy ponosi obecny papież; to po 13 marca 2013 r. ze szczególną mocą rozbrzmiały niemieckie głosy wzywające do zerwania z katolicką wykładnią wiary. Forsując projekt decentralizacji Kościoła katolickiego, Ojciec Święty uruchomił prawdziwą lawinę. Przecież to jednak nie on wprowadził na szczyty kościelnej hierarchii koryfeuszny neomodernizm. Kasper, Marx, Schönborn, Ackermann, Overbeck, Bode, Schockenhoff – wszyscy czołowi progresiści zawdzięczają swoje wpływy polityce personalnej poprzedników papieża z Argentyny, Jana Pawła II i Benedykta XVI. Obaj papieże, mimo głoszenia w pełni ortodoksyjnej nauki, nie potrafili zapobiec obejmowaniu kluczowych stanowisk przez jawnych lub skrytych rewolucjonistów.

NIESKRYWANY MODERNIZM WALTERA KASPERA

Bywało, że karierę udawało się zrobić modernistom występującym z otwartą przyłbicą. To przypadek jednego z najważniejszych współczesnych progresistów, kard. Waltera Kaspera. Jest on właściwym autorem „ducha” adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia”, na gruncie której w wielu krajach świata dopuszczono do komunii świętej rozwodników w nowych związkach, a w Niemczech także niektórych protestantów. Kasper zyskał realny wpływ na Urząd Nauczycielski dopiero za pontyfikatu Franciszka, ale wysoką pozycję w Kościele pozwolili wypracować mu dwaj poprzedni papieże. I to mimo tego, że swojego modernizmu nigdy nie krył.

Już w doktoracie dał dowody myślenia reformistycznego i przesiąkniętego protestantyzmem. W obronionej w 1961 r. pracy rozważał krytycznie stosunek między Pismem a Tradycją, usiłując wykazać rzekomą konieczność oczyszczania Magisterium z rzeczy, które postrzegał jako historyczne tylko naleciałości.

Pierwsze kroki w roli wykładowcy uniwersyteckiego stawiał u boku późniejszego heretyka Hansa Künga; w 1964 r. został samodzielnym pracownikiem naukowym, otrzymując profesurę w Münster. Po sześciu latach zaczął wyklądać dogmatykę w Tybindze. Sukcesy na polu teologii akademickiej otworzyły mu drogę do kariery w Wa-

tykanie. W roku 1985 został specjalnym sekretarzem Synodu Biskupów oraz członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej. W 1989 r. otrzymał sakrę biskupią i został ordynariuszem diecezji Rottenburg-Stuttgart. Poczł się wówczas na tyle mocny, że odważył się na otwarty bunt. W 1993 r. wspólnie z biskupami Oskarem Saierem i Karlem Lehmannem ogłosił list, w którym zachęcił niemieckich duszpasterzy do udzielania komunii świętej rozwodnikom w nowych związkach. Rzecz potępiła wprawdzie wkrótce Kongregacja Nauki Wiary, ale... w 1995 r. ukazał się w Niemczech Katechizm dla dorosłych pod redakcją m.in. samego Kaspera; w rozdziale dotyczącym rozwodników przytoczono sformułowania ze wspomnianego listu

były ewidentne. Chociaż doktoryzował się z teologii fundamentalnej, to zajął się wkrótce bezpiecznym tematem: nauką społeczną Kościoła. Szedł szybko naprzód. W 1990 r. został Wielkim Oficerem Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie (Wielkim Przewodnikiem bożogrobców został w 2006 r.). W roku 1993 otrzymał tytuł Kapelana Jego Świątobliwości. Po trzech latach jako profesor nadzwyczajny objął katedrę chrześcijańskiej nauki społecznej na Wydziale Teologicznym w Paderborn. W tymże roku otrzymał sakrę biskupią i został paderborneńskim biskupem pomocniczym; w roku 1991 został biskupem Trewiru.

W międzyczasie zyskiwał wpływy w niemieckim episkopacie, prowadząc

Obaj papieże, mimo głoszenia w pełni ortodoksyjnej nauki, nie potrafili zapobiec obejmowaniu kluczowych stanowisk przez jawnych lub skrytych rewolucjonistów

i ostro skrytykowano kościelną praktykę odnośnie do osób rozwiedzionych.

Ten skandal nie przeszkodził tybińskiemu dogmatykowi w dalszej karierze. Kasper został w 1999 r. powołany na sekretarza Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan, a w roku 2001 – na jej przewodniczącego. Jan Paweł II kreował go kardynałem diakonem. Benedykt XVI z kolei dwukrotnie nie przyjmował rezygnacji Kaspera z kierowania radą i podwyższył jeszcze w 2011 r. jego kardynalską rangę.

REINHARD MARX – „SZEŃ” REWOLUCJONISTÓW

Znakomitą karierę zrobił też za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI kard. Reinhard Marx, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec i dziś jeden z głównych motorów rewolucyjnych zmian doktrynalno-duszpasterskich. Monachijski arcybiskup firmuje swoim nazwiskiem wszystkie przeprowadzane w Niemczech zmiany; sugeruje możliwość dopuszczenia błogostwieństw związków jednopłciowych; opowiada się za totalnym przewartościowaniem w moralności seksualnej. Z progresywizmem wszakże długo się nie afiszował, ale jego związki z liberalnymi kręgami katolicyzmu niemieckiego

kolejnym komisjom. W 2007 r. papież Benedykt XVI uczynił go arcybiskupem niezwykle bogatej archidiecezji Monachium i Fryzycji. Po trzech latach ten sam papież kreował go kardynałem. I nie była to bynajmniej kreacja zwyczajowa, bo Marx został najmłodszym członkiem kolegium purpuratów!

Doszedłszy tak wysoko, zaczął niemal natychmiast bardzo jawnie prezentować progresywne poglądy; w wywiadzie prasowym z 2011 r. wypowiedział się w tonie jasno wskazującym na chęć zmiany podejścia Kościoła do homoseksualizmu i rozwodników w nowych związkach. Mimo tego w roku 2012 został wybrany na przewodniczącego Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej. Jego kariera swój dotychczasowy szczyt osiągnęła w roku 2013. Franciszek umieścił go w elitarnej Radzie Kardynałów i dziś to w dużej mierze Marx odpowiada za program decentralizacji Kościoła.

CHRISTOPH SCHÖNBORN

Progresywizm w skrytości ducha pielęgnował też przez lata arcybiskup Wiednia, kard. Christoph Schönborn. Uchodził długo za ortodoksyjnego ucznia Josepha Ratzingera. Stąd jego spektakularna kariera nie mogła zaska-

kiwać: w wieku zaledwie 30 lat został profesorem dogmatyki na Uniwersytecie Fryburskim w Szwajcarii; w 1980 r. trafił do międzynarodowej komisji teologicznej Stolicy Apostolskiej, a w roku 1987 otrzymał kluczową funkcję sekretarza redakcji przygotowującej nowy Katechizm. Jan Paweł II w 1991 r. uczynił go biskupem pomocniczym Wiednia; w 1994 r. został metropolitą austriackiej stolicy.

W 1998 r. przyjęto go do grona kardynałów; w tym samym roku został przewodniczącym Konferencji Episkopatu Austrii. W 2005 r. ogłosił za zgodą Benedykta XVI w „New York Timesie” bardzo głośny artykuł o ewolucji, którą uznał za celową i kierowaną przez Boga. Schönborn występował też jako zdecydowany przeciwnik homoseksualnych „małżeństw”, antykoncepcji, aborcji i eutanazji. Jednak już pod koniec pontyfikatu Benedykta XVI zaczął wypowiadać się coraz cieplej o związkach homoseksualnych, a dziś brata się z Conchitą Wurst i Gerrym Kesslerem z homoseksualnej organizacji Life Ball; proponuje liberalizację celibatu i uważa za możliwe dopuszczenie kobiet do wszystkich święceń, z episkopatem włącznie. Jego pozycja jest mocna. Franciszek darzy go dużym szacunkiem; to właśnie jemu powierzył w 2016 r. prezentację adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia”.

WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ

Za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI kariery robiło też wielu mniej znanych poza przestrzenią niemieckojęzyczną neomodernistów. To na przykład obecny biskup Trewiru, Stephan Ackermann. Ordynariuszem diecezji został w roku 2009. Szybko wybuchł wokół niego skandal, bo pozwolił działać w Afryce ks. Stefanowi Hipplerowi, który promował używanie prezerwatyw jako ochronę przed AIDS. Biskup Ackermann ściągnął na siebie zarzuty o oponowanie Ojcu Świętemu, ale konsekwencji nie było. Wprost przeciwnie, papież w 2012 r. powołał go do Papieskiej Rady ds. Sprawiedliwości i Pokoju. Już w 2014 r. Ackermann objawił się jako prawdziwy rewolucjonista: zaproponował na łamach prasy całkowite odrzucenie katolickiej moralności seksualnej. Za czasów Franciszka skrajny modernizm ujawniło znacznie więcej wcześniej promowanych biskupów, choćby

Czy Kościół katolicki w krajach niemieckojęzycznych da się zatem uzdrowić? Jeżeli nie można liczyć na papieską interwencję – a nic nie wskazuje na to, by można było – to rzecz może skończyć się tak jak w Holandii

Niemcy Franz-Josef Bode z Osnabrück i Franz-Josef Overbeck z Essen, Austriacy Benno Elbs z Feldkirch czy Wilhelm Krautwaschl z Graz-Seckau, Szwajcar Felix Gmür z Bazylei. W tej ostatniej diecezji zresztą przez całe lata tajemnicą poliszynela było funkcjonowanie księży udzielających błogosławieństwa związkom jedнопłciowym; nie reagovali ani Gmür, ani jego poprzednik, kard. Kurt Koch...

Przed Franciszkiem swobodę działania mieli też akademiccy moderniści. Znamienny jest przypadek ks. Eberharda Schockenhoffa, dziś jednego z najważniejszych niemieckich teologów moralnych. Kapłan ten w roku 1986 obronił doktorat u prof. Alfonsa Auera – teologa moralnego, który na początku lat 70. dokonał fundamentalnego dzieła przeszczepiania kantowskiej autonomii moralnej na grunt chrześcijański. Przeszczep ów został potępiony przez św. Jana Pawła II w encyklice „Veritatis splendor”, co niejako powinno wykluczyć rozwijającego autonomię moralną Schockenhoffa z mainstreamowej teologii. Tak się jednak nie stało. Już po publikacji encykliki ksiądz ten został profesorem teologii moralnej we Fryburgu. Wcześniej pełnił tę samą funkcję w Ratybonie.

NIEMOC DŁUGOTRWAŁA

Dlaczego ortodoksyjni papieże umożliwili rozwój tylu progresistom? Czy za wszystko odpowiada głęboko zepsuty świat niemieckojęzycznej teologii?

Nie tylko. Krótki rzut oka w nieco dalszą przeszłość. Rok 1910. Święty Pius X wprowadza obowiązek składania przysięgi antymodernistycznej. W Niemczech wybucha prawdziwy bunt. Kadra wydziałów teologicznych na uczelniach państwowych w większości praktycznie wypowiedziała Ojcu Świętemu posłuszeństwo. Rozgorzał spór – przegrany przez Watykan. Niemiecki episkopat wspierany przez nuncjusza bp. Andreasa Franza Frühwirtha OP uzyskał dyspensę od przysięgi dla tych

teologów, którzy ograniczali swoją działalność do uniwersytetów.

Druga data. Rok 1968. Święty Paweł VI wydaje „Humanae vitae” i podtrzymuje zakaz stosowania antykoncepcji. W odpowiedzi niemieccy biskupi wydają Deklarację z Königstein, w której wprost odrzucają nauczanie papieża. Odwołania zgody na antykoncepcję nie udało się przeforsować ani Pawłowi VI, ani Janowi Pawłowi II, ani Benedykto- wi XVI. Widać tu pewną strukturalną niemoc Stolicy Apostolskiej. Kościół katolicki w Niemczech okazał się zbyt wpływowy i zbyt bogaty, by papież był gotowy zaryzykować otwarte starcie.

Czy Kościół katolicki w krajach niemieckojęzycznych da się zatem uzdrowić? Jeżeli nie można liczyć na papieską interwencję – a nic nie wskazuje na to, by można było – to rzecz może skończyć się tak jak w Holandii. Proces upadku i odrodzenia Kościoła w tym kraju opisał w jednym z niedawnych wywiadów prasowych holenderski prymas, arcybiskup Utrechtu kard. Willem Eijk. Jak powiedział, gdy w latach 60. i 70. do Rzymu przybywał Holender, mówiono automatycznie: patrzcie, oto progresista. Dzisiaj jednak, mówił Eijk, biskupi holenderscy nie są już liberalni; stopniowo powraca zdrowa katolicka wiara. Sam Eijk, gorliwy obrońca Tradycji, jest tego zresztą najlepszym przykładem. Problem zatem rozwiązał się niejako samoczynnie, wówczas, gdy Kościół praktycznie zanikł. Jeszcze w 1970 r. 40 proc. Holendrów było katolikami. Dzisiaj na niedzielną mszę świętą w Kraju Tulipanów chodzi zaledwie 1 proc. ludności kraju, czyli 172 tys. osób! Dopiero ten całkowity upadek otrzeźwił hierarchów.

Niewykluczone, że w Niemczech, Austrii i Szwajcarii będzie podobnie. W obliczu utrzymującej się od dawna bierności Stolicy Apostolskiej może nastąpić podobny proces: potrzebnego oczyszczania i odsiewania autentycznych katolików od chrześcijan wierzących raczej w ducha tego świata niż w Ewangelię.



Piotr Zychowicz

Reakcja AK na ludobójstwo na Wołyniu była spóźniona. Rozkaz o stworzeniu oddziałów partyzanckich został wydany po apogeum mordów

11 lipca 1943 r. banderowcy przystąpili do generalnej rozprawy z Polakami na Wołyniu. Ten dzień przeszedł do historii jako krwawa niedziela. Jednocześnie zaatakowanych zostało 99 polskich miejscowości. W straszliwych męczarniach zginęły tysiące cywilów. Kobiety, mężczyźni i dzieci. Było to apogeum ludobójstwa.

Polacy byli rozstrzeliwani, dżgani nożami, rąbani siekierami, nabijani na widły, rżnięci piłami, topieni w studniach, paleni żywcem. Obcinano im głowy, wyłupiano oczy. Skala tej kampanii eksterminacyjnej i okrucieństwo oprawców były szokujące. 11 lipca był jednym z najtragiczniejszych dni w historii narodu polskiego.

Niestety, oddziały UPA i towarzyszące im watahy „siekierników” – czyli przedstawicieli chłopskiego pospolitego ruszenia – nie napotkały oporu ze strony Armii Krajowej. Krwawa łaźnia Polaków odbyła się przy niemal całkowitej bierności Polskiego Państwa Podziemnego. Nasi rodacy konali w osamotnieniu.

Stało się to przyczyną wielkiego żalu i rozgoryczenia mieszkańców Wołynia. A także sąsiedniej Galicji Wschodniej, na której teren przelała się fala mordów. Dla Polaków z tych terytoriów był to zawód. Czuli się opuszczeni, zdradzeni. Widać to wyraźnie w podziemnych raportach i meldunkach z ziem wschodnich.

„Kampanię wołyńską przegraliśmy dlatego tak smutnie, że nie zdążyliśmy w czas zorganizować obrony – czytamy w raporcie z 22 lutego 1944 r. – Zdawało się wszystkim, że istnieje tysiąc przyczyn i drugi tysiąc powodów, i bezlik innych trudności, dla których grupy bojowe polskie nie mogą być wysłane do akcji na Wołyniu”.

A oto wstrząsający apel z marca 1944 r.: „Polacy wołają błagalnie: broni, broni i jeszcze raz broni, skoro chcemy tu kiedyś w przyszłości wrócić. Słyszysz się często takie głosy ze strony Polaków: gdzie nasz rząd, gdzie nasze władze? Co

Wołyń bez ochrony

na to mówi Warszawa? Czemu nie przyjdą z jakąkolwiek pomocą?”.

Żal ten pozostał w sercach ocalałych do dziś. Przykładem mogą być gorzkie słowa Henryka Słowińskiego, który po kilkudziesięciu latach ocenił: „Mimo że rzezie się nasilały, administracja Polskiego Państwa Podziemnego na Wołyniu była bezradna i nie tworzyła oddziałów partyzanckich, które stanęłyby w obronie mordowanych polskich wsi. Za to, że tylu Polaków zginęło, ponosi ona bezwątpienia część odpowiedzialności. UPA z dnia na dzień rosła w siłę, a naszych oddziałów nie było. W efekcie latem 1943 r. UPA nie atakowała polskich skupisk w nocy, tylko czyniła to w biały dzień, działając w sposób masowy i bezkarny”.

Podobnego zdania był Andrzej Żupański, zmarły niedawno przewodniczący środowiska weteranów 27. Wołyńskiej Dywizji AK. „Komenda Główna Armii Krajowej – pisał – nie udzieliła żadnej pomocy zbrojnej ginącej ludności polskiej Wołynia i Małopolski Wschodniej. Ta decyzja powinna być poddana badaniom naukowym”.

Moja nowa książka „Wołyń zdradzo-ny” jest próbą odpowiedzi na ten apel nieżyjącego bohatera.

TRZY BŁĘDY

Dlaczego zatem AK nie przysłała na czas z pomocą? Przyczyn było kilka. Pierwszą z nich było zlekceważenie zagrożenia, które dla rodaków na Wołyniu stanowili banderowcy. Polskie Państwo



Rodzina Rudnickich z Chobultowa
zamordowana podczas rzezi
wołyńskiej FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

szykowanie się do przyszłego powstania powszechnego. W powstańczych planach peryferyjny Wołyń miał zaś odgrywać drugorzędną rolę. Powstanie miało toczyć się na terenie polski centralnej.

Te trzy przyczyny – lekceważenie banderowców, naiwna wiara w możliwość „dogadania się” z UPA i skupienie się na przygotowaniach do powstania – spowodowały, że AK przybyła na Wołyń zbyt późno. Poważne prace organizacyjne Okręgu Wołyń rozpoczęły się dopiero na początku 1943 r. A więc za pięć dwunasta.

Alarmujące raporty napływające z Wołynia były przez kierownictwo AK lekceważone. Dowódcy podziemnej armii uważali je za objaw paniki i defetyzmu. Przykłady? Proszę bardzo. Na przełomie lat 1942 i 1943 ppor. Lechowi Ładzie udało się przeniknąć do szeregów formującej się UPA.

Łada poznał zbrodnicze plany tej formacji i w złożonym na ręce przełożonych meldunku zacytował słowa jednego z dowódców banderowskiej partyzantki: „Z dniem 1 marca 1943 r. – mówił upowiec – przystępujemy do powstania zbrojnego. Jest to działanie wojskowe i jako takie skierowane jest przeciw okupantowi. Jeśli chodzi o sprawę polską, to nie jest to zagadnienie wojskowe, tylko mniejszościowe. Rozwiążemy je tak jak Hitler sprawę żydowską. Chyba że usuną się sami”.

O narastającym zagrożeniu informowało również Biuro Wschodnie Delegatury Rządu na Kraj. I wzywało do podjęcia działań. „Bezbronna ludność polska jest w fatalnym położeniu, grożącym jej zupełną zagładą – czytamy w jednym z raportów. – Niewątpliwie wypadki te nie byłyby tak groźne, gdyby istniały w terenie polskie oddziały zbrojne, na co bezskutecznie niemal od pół roku przy każdej sposobności i w każdym sprawozdaniu zwracamy uwagę”.

Cóż należało robić? W dokumentach z epoki pojawiają się trzy postulaty:

1. Stworzenie na Wołyniu oddziałów partyzanckich, które mogłyby bronić Polaków.
2. Przerzucenie na Wołyń posiłków z Generalnego Gubernatorstwa.
3. Przesłanie na Wołyń broni i amunicji.

Niestety, postulaty te nie zostały przez AK spełnione. A cytowane wyżej raporty trafiały do kosza.

Jednym z czołowych przeciwników podjęcia akcji zbrojnej na Wołyniu

Podziemne spodziewało się, że kłopoty z ukraińskimi nacjonalistami będzie miało nie na Wołyniu, ale we Lwowie.

„Sprawy polskie na Wołyniu stoją nieźle” – podawał podziemny „Biuletyn Informacyjny” 29 października 1942 r. A w raporcie Biura Informacji i Propagandy AK z 2 marca 1943 r. czytamy: „Stosunek Ukraińców do Polaków. Nie ulega wątpliwości, że ulega on również różnym korzystnym przemianom, zwłaszcza w masach społecznych”.

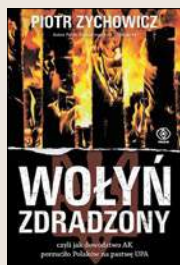
Ten ostatni raport został sporządzony w momencie, gdy banderowcy przystąpili do swojego krwawego dzieła... Ach, ten niepoprawny polski optymizm.

Drugą przyczyną bierności AK było przekonanie, że z banderowcami uda się

osiągnąć kompromis na drodze negocjacji. Takie rozmowy były prowadzone, ale nie przyniosły one oczywiście żadnych pozytywnych skutków. Banderowcy o żadnym kompromisie nie chcieli bowiem słyszeć. Negocjacje traktowali jako grę na czas i zwodzenie Polaków.

Symbolem tego może być nieszczęsna misja pokojowa Zygmunta Rumla, który w przededniu krwawej niedzieli, 10 lipca 1943 r., został wysłany na rozmowy z OUN. Polski emisariusz został zgładzony. Jak głosi jedna z wersji, poprzez rozerwanie końmi... Ach, ta niepoprawna polska naiwność.

I wreszcie najważniejsza, trzecia przyczyna. Otóż nadrzędnym celem AK była walka z Niemcami, a konkretnie –



PIOTR ZYCHOWICZ
„WOŁYŃ
ZDRADZONY”
REBIS

■ był płk Jan Rzepecki, szara eminencja Komendy Głównej AK. „Udostępnienie potrzebnej Kresom broni – tłumaczył po latach – rozniciłoby ogień walki do niewyobrażalnych rozmiarów, a opinia publiczna świata uzyskaby argument, że walka Polaków o granice z września 1939 roku była błędem politycznym”.

Teraz już państwo rozumieją, dlaczego Komenda Główna AK nie pomogła Wołyńowi. Z obawy przed tym, co sobie pomyśli „opinia publiczna świata”...

Komenda Główna AK nie zmieniła swojej linii postępowania nawet wtedy, gdy rozpoczęły się masowe mordy. 9 lutego 1943 r. banderowcy wyróżnili mieszkańców Parośli, 26 marca mieszkańców Lipników, a 23 kwietnia mieszkańców Janowej Doliny. Kampania eksterminacyjna niczym lawa rozlewała się na kolejne powiaty Wołynia.

AK miała więc pięć miesięcy – tyle upłynęło między zbrodnią w Parośli a krwawą niedzielą – aby przystąpić do zdecydowanych działań. Niestety, jej działania były niemrawe i rachityczne. Wołyńskie struktury podziemne dodatkowo paraliżował ostry konflikt między miejscowym dowódcą AK płk. Kazimierzem Bąbińskim a wołyńskim delegatem rządu na kraj Kazimierzem Banachem. Obaj panowie kłócili się o to, kto ma kierować akcją ratowania Polaków... A tymczasem akcja ta stała w miejscu.

Aż wreszcie nadszedł straszliwy dzień 11 lipca.

ZA PÓŹNO!

Dopiero wówczas płk Bąbiński podjął tak długo wyczekiwaną decyzję. 20 lipca 1943 r. – a więc dziewięć dni po apogeum mordów – oficer ten wydał wyczekiwany przez Wołyniaków rozkaz. Rozkaz o stworzeniu oddziałów partyzanckich. Zanim te oddziały mogły wkroczyć do akcji i skutecznie bronić Polaków, minęły oczywiście kolejne tygodnie.

Była to więc decyzja słuszna, ale dramatycznie spóźniona. Gdy pierwsze wołyńskie oddziały partyzanckie wyruszyły bowiem w pole, olbrzymia część ofiar wołyńskiego ludobójstwa już zginęła, nie doczekawszy się odsieczy.

Do tej pory Polaków broniły samoobrony. Ich członkowie walczyli jak lwy przeciwko przytłaczającym siłom UPA. Takie wołyńskie twierdze jak Przebraże, Pańska

Dolina, Zasmyki, Huta Stara czy Bielin przeszły do legendy. Bazy samoobrony zostały jednak utworzone w sposób samorządny i spontaniczny. Była to inicjatywa oddolna. AK wsparła je dopiero po kilku miesiącach.

Wróćmy jednak do oddziałów partyzanckich. Mimo że ich dowódcy – na czele z legendarnymi zagończykami Władysławem Czerwińskim

„Jastrzębiem” i Władysławem Kochańskim „Bombą” – wzbili się na szczyty bohaterstwa, była to kropla w morzu potrzeb. W szeregach oddziałów znalazło się bowiem zaledwie 1,3 tys. ludzi. A więc zbyt mało, by móc opanować sytuację na tak kolosalnym terenie.

Ktoś może powiedzieć, że więcej żołnierzy zmobilizować się nie dało. To nieprawda. W styczniu 1944 r. płk Bąbiński ogłosił wreszcie mobilizację całych podległych sobie sił. I nagle Armia Krajowa wyszła z podziemi! W dwóch miejscach koncentracji stało się blisko 6,5 tys. żołnierzy. Znalazła się również broń.

**Od ludobójstwa na Wołyniu
minęło 76 lat. I należy
wreszcie zacząć o tym mówić.
Jesteśmy to winni ofiarom
i ich zawiedzionym nadziejom**

Dlaczego pełna mobilizacja Okręgu AK Wołyń została ogłoszona dopiero w styczniu 1944 r.? Dlatego że na Wołyń wkroczyła wówczas Armia Czerwona. A co za tym idzie – AK przystąpiła do realizacji akcji „Burza”. Tak, wymowa tych faktów jest porażająca. Do walki z Niemcami i współdziałania z bolszewikami AK była w stanie wystawić na Wołyniu 6 tys. ludzi. Pół roku wcześniej do oddziałów partyzanckich broniących Polaków przed UPA skierowała niewiele ponad tysiąc żołnierzy.

Pytanie, które wręcz ciśnie się na usta, brzmi: Dlaczego wołyńska AK całych swoich sił nie zmobilizowała w połowie 1943 r.? Gdyby w lipcu tego roku na terenie Wołynia znalazły się tak liczne polskie oddziały, banderowcy nie byłoby w stanie bezkarnie wyrzynać polskich wiosek. Tragiczny bilans ludobójstwa na Wołyniu bez wątpienia byłby znacznie mniejszy.

Niestety, Polskie Państwo Podziemne w swoich kalkulacjach i planach zupełnie nie brało pod uwagę specyficznych realiów, które występowały na Wołyniu. Realii, które znacznie różniły się od sytuacji panującej w Warszawie. Tutaj wrogiem numer jeden nie był Niemiec, tylko banderowiec, który o świetle wdzierał się z nożem w zębach do polskiego domu. I to z banderowcami należało na Wołyniu walczyć.

KLĘSKA

Polskie Państwo Podziemne poniosło na Wołyniu i w Galicji Wschodniej klęskę. Terenów tych nie udało się oczywiście uratować dla Polski. Koncepcja akcji „Burza” od samego początku była mrzonką. 27. Wołyńska Dywizja AK najpierw skrwawiła się w beznadziejnych, nierównych walkach z Niemcami, a jej resztki – co było z góry do przewidzenia – zostały rozbrojone przez bolszewików.

Realizując swoją oderwaną od realiów koncepcję, AK zlekceważyła zaś sprawę najważniejszą – bezpieczeństwo rodaków. Próbuąc osiągnąć cel nierealny, zaprzepaściła cel realny. O ile w starciach z Wehrmachtem oddziały AK na ogół były bez szans, o tyle w walce z sotniami UPA radziły sobie znakomicie. Szkoda, że starć tych było tak niewiele...

„Ludność czuje się opuszczona przez polskie czynniki rządowe – czytamy w meldunku lwowskiego podziemia. – Pominiecie sprawy wołyńskiej lub zbywanie jej krótkimi wzmiankami przez oficjalną prasę podziemną sprawia wrażenie, że polskie władze tylko wtedy interesują się mordowaniem Polaków, jeśli mordercami są Niemcy. Gdy chodzi o Ukraińców, uważa się wiadomości o mordach najpierw za niesprawdzone, a wreszcie zrzuca się winę na wszystkich z wyjątkiem oczywiście głównych sprawców: nacjonalistów ukraińskich z OUN na czele. Tak patrzy na to tutejsze społeczeństwo”.

Z kolei szef galicyjskiego RGO Leopold Teszner w liście z 12 kwietnia 1944 r. pisał: „Ludność polska nabiera tej gorzkiej świadomości, że jest pozostawiona bez żadnej pomocy”.

Tak, to są sprawy przykre. Rozdzierające serce każdego polskiego patrioty. Od ludobójstwa na Wołyniu minęło już jednak 76 lat. I należy wreszcie zacząć o nich głośno mówić. Jesteśmy to winni ofiarom. I ich zawiedzionym nadziejom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Pakt z diabłem

Józef Beck w trakcie decydującej rozgrywki poprzedzającej wybuch II wojny światowej popełnił wiele fatalnych błędów. Najpoważniejszym z nich było zlekceważenie zagrożenia sowieckiego. A konkretnie – możliwości zawarcia antypolskiego porozumienia między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Ostatni szef dyplomacji II RP w taki scenariusz po prostu nie wierzył. Uważał, że różnice ideologiczne między narodowymi socjalistami a bolszewikami są zbyt głębokie, aby mogli się dogadać.

Ktoś może powiedzieć, że nie można z tego powodu Józefowi Beckowi robić zarzutu. Że pakt Hitler-Stalin był czymś tak zaskakującym, iż nikt nie mógł go przewidzieć. Niestety, to nieprawda. Pakt ten przewidziało wiele osób. A Beck kilka miesięcy przed jego zawarciem otrzymał całkowicie pewną informację, że sojusz taki może zostać podpisany. Źródłem tej informacji był polski attaché wojskowy płk Antoni Szymański. Oficer ten tak opisał tę sprawę w swoich, wznowionych właśnie, wspomnieniach:

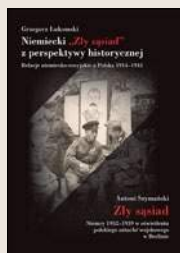
„W końcu maja 1939 r. nieoczekiwanie zaproszony zostałem na reprezentacyjne przyjęcie urodzinyowe szefa cywilnego

gabinetu Hitlera, ministra Lammersa. Posadzono mnie obok najbliższego współpracownika Göringa, gen. Bodenschatza. Wystawny obiad miał się już ku końcowi, gdy Bodenschatz półgłosem zwrócił się do mnie z propozycją rozmowy w cztery oczy. Przystałem z całą gotowością.

»Zwracam się do pana o szczególnie uważne wysłuchanie mej wiadomości – powiedział niemiecki generał. – Proszę pana, jeżeli Hitler dojdzie do przekonania, że Niemcy mogą być od wschodu okrążone przez Polskę, to nie zawaha się on połączyć z samym... diabłem! A nie ma chyba między nami wątpliwości, kim jest der Teufel!«.

Pożegnałem się, z kim należało, by możliwie jak najprędzej wrócić do ambasady. Było już po północy, gdy zabierałem się do szyfru. Szyfr zrobił swoje. Otrzymałem natychmiastowe wezwanie do Warszawy. Marszałek Śmigły-Rydz oraz szef Sztabu Głównego gen. Stachiewicz byli zupełnie zaskoczeni zapowiedzianą woltą hitlerowską.

Dlaczego Józef Beck zlekceważył ostrzeżenie gen. Bodenschatza? To pozostanie jego tajemnicą, którą zabrał ze sobą do grobu. ©©



★★★★★

ANTONI SZYMAŃSKI
„ZŁY SĄSIAD”
(Z PRZEDMOWĄ
GRZEGORZA ŁUKOMSKIEGO)
LTW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wstyd Jana Długosza

Zwycięstwo polsko-litewskie pod Grunwaldem (15 lipca 1410 r.) słusznie uchodzi za jedną z największych wiktorii w naszych dziejach, dlatego też trudno sobie wyobrazić, że Jan Długosz wstydził się nieco tego triumfu. Nasz kronikarz był jednak typowym przedstawicielem swojej epoki i uważał, że Jagiełło pod

rowanej ucieczki, wiążąc ze sobą znaczne siły krzyżackie. Spowodowało to rozerwanie szyku zakonnego i umożliwiło zwycięstwo w bitwie. Jagiełło bez skrupułów wykorzystał błędy zakonników, zresztą wiedział, że martwi nie mają racji, a liczy się tylko zwycięstwo. W przypadku klęski zapewne straciłby tron i rozpadłaby się unia polsko-litewska. Długosz jednak wstydził się zwycięstwa odniesionego w taki sposób, wołałby bowiem, by wszystko odbyło się po rycersku, a król walczył w pierwszym szeregu. Przy okazji jednak zapominał, że Krzyżacy też mieli co nieco na sumieniu, przed bitwą wykopali bowiem głębokie doły i zamaskowali je, mając nadzieję, że wpadnie do nich polska ciężka jazda.

Kronikarz wyżej od Grunwaldu cenił niewielką bitwę pod Koronowem rozegraną w październiku tego samego roku. Odbyła się ona według średniowiecznych reguł, przed starciem doszło do wielu rycerskich pojedynków, a samą bitwę dwa razy przerywano, by walczący mogli pokrzepić się winem. Przesyłali zresztą sobie wzajemnie puchary z trunkiem w uznaniu męstwa. Długosz opisywał to z nieukrywaniem zachwytem, twierdząc, że chociaż „wygrana pod Koronowem była mniejsza niż pod Grunwaldem, ale wszelako ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapal walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką”. Cóż, jakie czasy, takie poglądy. ©©

Jagiełło bez skrupułów wykorzystał błędy zakonników

Grunwaldem nie zachowywał się zgodnie z zasadami kodeksu rycerskiego. Król bowiem osobiście nie walczył, uznając, że jest to zajęcie dla podwładnych, a nie dla naczelnego wodza. Podobnie jak dowódcy tatarscy stał w otoczeniu straży na jednym ze wzgórz i stamtąd zarządzał. Odwrotnie postąpił jego rywal, wielki mistrz Ulrich von Jungingen, który w pewnym momencie na czele oddziałów rzucił się w wir bitwy i zapłacił za to życiem. Bitwa była bowiem starciem dwóch filozofii prowadzenia wojny – z jednej strony przekonanie, że naczelną wódz musi walczyć osobiście, a z drugiej uznanie faktu, że przypadkowy pocisk czy cios może zmienić bieg historii.

Jagiełło i Witold konsekwentnie realizowali ustalony wcześniej plan. W pewnej chwili oddziały litewskie rzuciły się do pozo-



Zdjęcia opozycjonistów pijących wódkę w towarzystwie ludzi PZPR nie pochodzą z negocjacji w Magdalence. Dowód jest prosty – w Magdalence nie było Adama Michnika FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Wódka na Okrągłym Stole



Sławomir Siwek

Dlaczego Kiszczak zarządził wniesienie alkoholu na negocjacje z Solidarnością? I kto naprawdę pił tam wódkę?

Sprawa picia alkoholu w czasie negocjacji w willi MSW w Magdalence, przygotowujących obrady Okrągłego Stołu w 1989 r., urosła niemal do problemu polskiej racji stanu. W rozprawianiu na ten temat lubują się politycy zarówno rządowi, jak i opozycyjni oraz szczególnie dziennikarze. Tak jakby żaden z dyskutantów nigdy na oczy nie widział wódki, także w czasie politycznych rozmów z przeciwnikiem! A przecież „biez wódki nie rozbieriesz” – jak mawiają sąsiedzi...

Ostatnio sprawa wróciła w czasie obchodów rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. przez ostrą wymianę zdań między Donaldem Tuskiem, Jarosławem Kaczyńskim a „Gazetą Wyborczą”.

Donald Tusk na wiecu w Gdańsku rzucił: „Oglądamy dzisiaj zdjęcia: generałowie Kiszczak i Jaruzelski, Lech Wałęsa, Kaczyński [Lech], jak piją wódkę w Magdalence”.

Jarosław Kaczyński w Radiu Wnet: „Od razu wyjaśnię, że trzech ludzi, którzy się tam wtedy nie fraternizowało w tych wydarzeniach w Magdalence, to był właśnie mój śp. brat, przyznaję to – Tadeusz Mazowiecki i też przyznaję – Władysław Frasyniuk [...]”.

Na pomoc Tuskowi ruszyła „Gazeta Wyborcza”, publikując zdjęcie z YouTube jako ilustrację do słów Kaczyńskiego. Na fotografii przy stole widać, na dalekim planie, Lecha Kaczyńskiego z kieliszkiem wódkę w ręku. Na pierwszym planie jest Adam Michnik. Komentarz „GW”: „Lecha

Kaczyńskiego, który pije alkohol podczas spotkania w Magdalence, widać na nagraniu, które zostało zarejestrowane podczas tego wydarzenia”.

BŁĄD I DOWÓD

Po pierwsze, filmy i zdjęcia z posiłków w czasie negocjacji robili wbrew zgodzie i woli uczestników, z zaskoczenia, ludzie Czesława Kiszczaka. Alkohol był podawany wbrew uzgodnieniom.

Po drugie, filmy i z nich pochodzące zdjęcia są wykorzystywane nie tylko przez „GW”, lecz także inne gazety oraz telewizję. Wszyscy popełniają błąd. Dowodu, że to był błąd, dostarcza... Adam Michnik!

Otóż w negocjacjach przygotowawczych do Okrągłego Stołu w Magdalence Adam Michnik nie brał udziału! Sprawą historyków, nie polityków, jest wyjaśnić, przy jakiej okazji Michnik z Kaczyńskim siedzieli za stołem z ludźmi z PZPR. Wedle mojej wiedzy są to zdjęcia z posiłku w czasie obrad Okrągłego Stołu

w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie, kiedy to rzeczywiście Michnik się upił, a Wałęsa plótł głupoty... O udział Adama Michnika i Jacka Kuronia w obradach Okrągłego Stołu w Magdalence toczył się bój. 7 października 1988 r. Stanisław Ciosek mówił do ks. Alojzego Orszulika, że gdy gen. Jaruzelski zobaczył listę uczestników obrad Okrągłego Stołu z tymi nazwiskami, wywołała ona „szok”.

Dopiero 27 stycznia 1989 r. w Magdalence ostra wymiana zdań gen. Kiszczaka z Tadeuszem Mazowieckim przecina spór – każda ze stron ustala skład swojej delegacji przy Okrągłym Stole. Podobnie, wbrew słowom Tuska, Lech Kaczyński nie mógł pić wódki z gen. Jaruzelskim i gen. Kiszczakiem, bo ani w Magdalence, ani przy Okrągłym Stole Wojciecha Jaruzelskiego nie było. Dlaczego Donald Tusk – jak słusznie powiada Jarosław Kaczyński – kłamał? Ponieważ tak wyobraża sobie politykę. Innego wytłumaczenia nie widzę.

Czy Lech Kaczyński pił wódkę, skoro trzymał kieliszek? Odpowiem pytaniem. Czy którykolwiek z moich rodaków może powiedzieć, że nie zna sytuacji, gdy nie chcąc pić, trzymamy kieliszek, wnosimy toasty, moczymy usta w alkoholu po to, by nie było dyskusji i sensacji ani głupich pytań i namawiań? I czy jest piciem wódki i fraternizacją kieliszek wypity na początku posiłku?

Problem alkoholu w czasie negocjacji w Magdalence i obrad Okrągłego Stołu został udokumentowany. Podam treści notatek sporządzonych przez stronę kościelną, pisanych przez Jacka Ambroziaka i ks. Alojzego Orszulika. Notatki sporządzone w trzech egzemplarzach wędrowały do prymasa Polski i Watykanu.

MAGDALENKA, 15 WRZEŚNIA 1988 R., GODZ. 15–21

„Dobiegła końca czwarta godzina obrad. Uprzednio ok. 16.30 zrobiono tylko 15-minutową przerwę. Wszyscy byli zmęczeni. Atmosfera robiła się nerwowa. Zbliżał się też czas przygotowanego posiłku. Poprosił o głos ks. Orszulik. Zaproponował, aby formułę pierwszą, prof. Stelmachowskiego, włożyć w usta obecnych tu działaczy związkowych, co nie wiązałoby jeszcze władz politycznych [mowa o treści komunikatu z obrad – przyp. red.]. Zdanie zaczynałoby się od słów: »W toku dyskusji działacze związkowi OPZZ i działacze «Solidarności» uznali... itd.«. Aby nie dopuszczać do dyskusji, postawił wniosek przerwania obrad, aby udać się

na spożycie darów nieba, jakie zostały przygotowane w sąsiedniej sali. Wniosek został przyjęty, nastąpiło odprężenie [dopisek osobisty ks. A. Orszulika – przyp. red.]: /W kularach sekretarz Ciosek powiedział mi, że gdyby przyjął moją propozycję, którą zgłosiłem na obradach plenarnych, to wtedy zostaje »spalony« Miodowicz. Dlatego strona rządowa nie mogła przyjąć tej propozycji/.

Posiłek był z wielu dań mięsnych i rybnych. Stół był bogato zastawiony. Obsługiwali szybko i sprawnie kelnerzy. Przed każdym nakryciem stały dwa kieliszki, jeden na wódkę, drugi na wino. Robotnicy z »Solidarności« wódki nie pili [wyróżnienie – red.]. Przy stole nastąpiło znaczne odprężenie. Zapomniano jakby o trudnych problemach. W grupkach przy stole dyskutowano o możliwości osiągnięcia kompromisowego komunikatu. Przedstawiciele

Kiszczak nie tylko zaordynował podawanie alkoholu, lecz także zarządził nagłe wejście kamerzysty i filmowanie obrad

strony rządowej wychodzili do telefonu. Konferowali też w osobnym pomieszczeniu: gen. Kiszczak, L. Wałęsa i T. Mazowiecki. Posiłek trwał przeszło godzinę.

Po posiłku L. Wałęsa poprosił jeszcze o przerwę i możliwość narady ze swoimi kolegami w oddzielnym pomieszczeniu. Wniosek został przyjęty. Wałęsa wraz z kolegami udali się do sąsiedniego pokoju”.

Tutaj wyjaśnienie – „Robotnicy z Solidarności” to była grupa związkowców: Z. Bujak, W. Frasyniuk, M. Gil, L. Kaczyński, wspomagani przez B. Geremka, T. Mazowieckiego, A. Stelmachowskiego, W. Trzeciakowskiego.

W związku z tym, że Kiszczak zaskoczył wszystkich i alkohol podano wbrew ustaleniom, strona społeczna zareagowała: „Notatka ze spotkania S. Cio-ska, T. Mazowieckiego, ks. A. Orszulika i K. Kłody w Warszawie przy ul. Bacciare-llego, 24 stycznia 1989 r. g. 18.30–22.30. Dotyczyło omówienia porządku obrad spotkania w Magdalence 27 sierpnia 1989. Zapis: – Nadto Mazowiecki prosił, aby przy posiłkach nie podawano alkoholu, by nie wyglądało to na fraternizację”.

Tyle Magdalenska. Teraz obrady Okrągłego Stołu.

Notatka z przebiegu inauguracyjnego posiedzenia Okrągłego Stołu 6 lutego 1989 r.:

„Gen. Kiszczak zaprosił uczestników na posiłek, który był jeszcze jedną okazją do spotkania się ludzi z różnych ugrupowań i orientacji. Przy jednym stole zasiedli: gen. Kiszczak, Lech Wałęsa, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Tadeusz Mazowiecki. Generał Kiszczak wyraźnie szukał ich towarzystwa. Ks. Orszulik i ks. Dembowski siedzieli przy jednym stole z prof. Kozakiewiczem, Januszem Onyszkiewiczem, Andrzejem Gdulą – sekretarzem wykonawczym KC PZPR i dyr. Kazimierzem Kłodą. Wszyscy byli zadowoleni, że do tych rozmów doszło. Wyrażano przekonanie, że to mały, ale rzeczywisty krok w dobrą stronę na drodze do potrzebnych przemian...”.

ZAKOŃCZENIE POSIEDZEŃ OKRĄGŁEGO STOŁU, 5 KWIETNIA 1989 R.

„Uczestnicy przeszli do sąsiedniej sali na poczęstunek, w czasie którego panowała dobra atmosfera odprężenia. Wydaje się, że istotnie rozpoczęło się coś nowego w życiu polityczno-społecznym Polski”.

Reasumując: gen. Kiszczak, zaskakując innych, zaordynował podawanie alkoholu. Również – jeszcze bardziej zaskakując – zarządził nagłe wejście kamerzysty i filmowanie. Był do końca policjantem, zbierającym materiały, „które mogą się przydać”. Czy był świadom, że dostarcza przy okazji części strony solidarnościowej i obserwatorom kościelnym dowodów na to, iż przeciwnikowi nie należy ufać do końca, a dodatkowo trzeba pilnować portfela?

Przy tych posiłkach bystry obserwator zobaczył, że części strony solidarnościowej „dobra atmosfera odprężenia” odpowiada. Widać było, że coś się stało – nie w czasie negocjacji w Magdalence, nie przy oficjalnym Okrągłym Stole. Kiedy i gdzie? To temat na inny artykuł, a nawet wiele tekstów.

Trzydzieści lat po Magdalence i Okrągłym Stole miałem nadzieję, że pora zarzucić propagandę i przejść do dokładnej analizy tego, co się wówczas wydarzyło. Donald Tusk i nieistotny problem wódczany niestety sprowadził ważną rocznicę do knajpy...



1977



1984



NOW

Walt Heyer na przestrzeni lat. Na pierwszym zdjęciu przed operacją, w środku jako kobieta, trzecie zdjęcie pokazuje stan obecny. FOT. SEXCHANGEREGET.COM



Z Waltem Heyerem, byłym transseksualistą, który pomaga ludziom z zaburzeniami tożsamości płciowej rozmawia Piotr Włoczyk

Ideologia „zmiany płci” to zbrodnia

PIOTR WŁOCZYK: Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zdjęła niedawno transpłciowość z listy zaburzeń psychicznych. Jakże to może mieć konsekwencje?

WALT HEYER: To decyzja podyktowana polityką, która nie ma nic wspólnego z badaniami naukowymi. Utwierdzanie wszystkich dookoła w przekonaniu, że chęć „zmiany płci” nie jest zaburzeniem psychicznym, tylko czymś zupełnie normalnym, co po prostu dotyka pewnej części społeczeństwa, to w rzeczywistości przyzwolenie na krzywdzenie

ludzi. Ludzi, którym zamiast podawania hormonów, a następnie usuwania genitaliów, powinno się naprawdę pomóc przezwyciężyć zaburzenia, które sprawiają, że czują się źle we własnej skórze. Sam przez to przeszedłem, więc wiem, o czym mówię.

Przez osiem lat żył pan jako Laura Jensen. Jaki to był dla pana czas?

W wieku 42 lat przeszedłem operację „zmiany płci” i bezpowrotnie okaleczyłem swoje ciało. Jednak mimo tego wciąż

nie czułem się komfortowo sam ze sobą. Problemy się nasilały. W 1990 r. zdecydowałem się „powrócić” do swojej własnej płci. Oczywiście nie było to możliwe w 100 proc.

Moje problemy z identyfikacją płciową zniknęły, kiedy dzięki świetnym specjalistom przezwyciężyłem u siebie wiele zaburzeń psychicznych. To jest kluczowe – trzeba zrozumieć, że problem tkwi w ludzkiej psychice, a nie w biologii. Jeżeli teraz będziemy przekonywać zagubionych ludzi, że to wszystko zupełnie normalne, że wystarczy tylko trochę hormonów, skalpel i wszystko będzie dobrze, to wyrządzamy im wszystkim potworną krzywdę. Niestety, WHO ugięła się pod presją środowiska LGBT.

Sugerowanie, że chęć „zmiany płci” ma związek z zaburzeniami psychicznymi, zazwyczaj zamyka dyskusję z przedstawicielami środowiska LGBT. Według nich to stygmatyzowanie ludzi, których natura zamknęła w nie tych ciałach, co trzeba. W związku z tym powinno im się umożliwić modyfikowanie własnego ciała.

To wszystko dobrze brzmi, tylko że ja zbyt często spotykałem załamanych ludzi, którzy nagle odkrywają, iż tak naprawdę nigdy nie byli uwięzieni w „złym ciele”, nie potrzebowali okaleczającej operacji, tylko cierpieli np. na schizofrenię,

zaburzenia afektywne dwubiegunowe czy depresję, co akurat w ich przypadku powodowało też problem z postrzeganiem własnej tożsamości płciowej. Takie zaburzenia mogą sprawić, że człowiek traci orientację, zaczyna mieć wątpliwości, a kiedy pojawiają się działacze LGBT ze swoimi hasłami, to często zaczyna wierzyć, że „zmiana płci” to właśnie to, czego mu potrzeba najbardziej.

Ludzie ze środowiska medycznego, którzy propagują ideologię LGBT, nie chcą leczyć prawdziwych przyczyn problemów z tożsamością płciową, tylko od razu wydają diagnozę, że to musi być dysforia płciowa, więc zalecają hormony i namawiają do operacji „zmiany płci”.

Nie ma możliwości, żeby taka operacja trwale uszczęśliwiła człowieka i sprawiła, by wreszcie zaczął się czuć dobrze sam ze sobą? Nie brak przecież historii transseksualistów, którzy podkreślają, że operacja była świetnym wyborem.

Przez pierwszych kilka lat po operacji ludzie zazwyczaj są w euforii i wydaje im się, że jest cudownie. Tak było w moim przypadku. Nowe ciało, „nowa ja” – można ulec złudzeniu, że problemy odeszły w niepamięć. Jednak mężczyzna zawsze będzie mężczyzną, a kobieta kobietą. Nie da się przejść z jednej płci do drugiej. To po prostu niemożliwe, a każdy, kto twierdzi inaczej, żyje w niebezpiecznej iluzji.

Po jakimś czasie niewyleczone problemy psychiczne dają o sobie znać. W 2004 r., kiedy jeszcze można było to podawać w wątpliwość, brytyjski dziennik „Guardian” opublikował raport, z którego jasno wynikało, że operacje „zmiany płci” nie polepszają stanu osób transpłciowych. Badanie przeprowadzili naukowcy z University of Birmingham. Chirurgia i hormony nigdy nie wyleczą takich ludzi np. ze schizofrenii. Ignorowanie tych zaburzeń i wmawianie, że „zmiana płci” była prawdziwym lekarstwem, powoduje, iż są oni osamotnieni i w końcu część z nich chce ze sobą skończyć. Badania ze Szwecji pokazują, że osoby transseksualne próbują się zabić aż 19 razy częściej niż generalnie ma to miejsce w społeczeństwie.

Doskonale pan jednak wie, że dane mówiące o tak wysokim odsetku prób samobójczych wśród osób po operacjach są bardzo ostro krytykowane przez środowisko LGBT. Po pierwsze dlatego, że są ponoć zawyżone, a po drugie – ludzie po takich operacjach mają być szczególnie narażeni na presję ze strony społeczeństwa.

Gdzie nie daje się im żyć? W Szwecji? W krajach zachodnich nie ma obecnie bardziej uprzywilejowanej grupy społecznej niż osoby LGBT. Ci ludzie naprawdę są traktowani niemal po królewsku. Osiem lat żyłem jako osoba transseksualna, więc wiem, co mówię.

Na końcu tej drogi jest jeszcze więcej samobójstw. Ludzie z zaburzeniami psychicznymi, którzy uważają, że są zamknięci w złej płci, nie mają się gdzie zgłosić po prawdziwą pomoc, bo wmawia się im, że to przecież nie wynika z zaburzeń psychicznych, że „zmiana płci” to normalna procedura medyczna. Pomagam takim ludziom, oczywiście zupełnie za darmo. Często piszą do mnie ofiary operacji „zmiany płci”, które myślały o samobójstwie. Ideolodzy LGBT to grupa świetnych manipulatorów, a WHO ugina się przed tymi ludźmi. Mamy tu jeszcze oczywiście wielkie pieniądze George’a Sorosa, który finansuje całą tę lewacką rewolucję społeczną i napędza modę na traktowanie tego wszystkiego jako rzeczy zupełnie naturalnej.

Tak jak pan.

Tak. Część takich osób chce potem wyjść ze swojej płci. Chce się pozbyć własnych genitaliów, które – w ich odczuciu – były winne temu, że doszło do tych strasznych rzeczy. Z kolei niektóre kobiety, które były molestowane w dzieciństwie, podświadomie chcą mieć męskie narządy zamiast żeńskich, aby zabezpieczyć się przed gwałtami. Przekonywanie takich osób, że „zmiana płci” to tylko wezwanie ze strony natury, jest powtórny okaleczaniem ich. To po prostu zbrodnia.

Coraz częściej słychać o nastoletnich dzieciach, które tak bardzo chcą „zmienić płeć”, że wbrew rodzicom idą z tym do sądu, a ten zgadza się na kurację hormonalną, podawanie środków zatrzymujących okres dojrzewania i wreszcie umożliwia okaleczenie dziecka...

To szaleństwo narasta, bo niestety zaczyna to być modą. W najbardziej „postępowych” kręgach naszego społeczeństwa jeżeli rodzic mówi swoim znajomym, że jego dziecko jest najprawdo-

Chcę dać ludziom nadzieję na odzyskanie życia. Wspieram ich psychicznie, pokazuję, że nie są z tym wszystkim sami, że nie tylko oni dali się uwieść zgubnej ideologii LGBT

Co pan chce osiągnąć swoją działalnością?

Chcę dać ludziom nadzieję na odzyskanie życia. Wspieram ich psychicznie, pokazuję, że nie są z tym wszystkim sami, że nie tylko oni dali się uwieść zgubnej ideologii LGBT. Zachęcam ich, żeby zwrócili się o pomoc do dobrych specjalistów, którzy pomogą im odzyskać zdrowie psychiczne. A wtedy wszystkie problemy z identyfikacją płciową nagle znikają... Oczywiście najlepiej, jeżeli do wyleczenia dojdzie przed okaleczającą operacją, a nie po niej. W mojej ostatniej książce „Trans Life Survivors” opisałem historie ludzi, którzy przez to wszystko przeszli i przezwyciężyli swoje problemy. Z tego naprawdę da się wyjść, tylko trzeba przestać słuchać aktywistów LGBT.

Powinniśmy tu jeszcze wspomnieć o pewnej przyczynie transpłciowości, o której działacze LGBT nie lubią rozmawiać. Chodzi o ludzi, którzy byli wykorzystywani seksualnie jako dzieci.

podobnie transpłciowe, to jest to – choć ciężko w to uwierzyć – uznawane za objaw mądrości. „To ci mądrzy, otwarci rodzice, którzy zauważyli, że ich syn to tak naprawdę dziewczynka, i pozwalają dziecku podążać w kierunku wolności”. Jeżeli dasz dziecku klapsa, to przyjedzie do twojego domu policja i może się to skończyć aresztem. Jednak jeżeli pozwolisz okaleczyć swoje własne dziecko, to jesteś uznawany – na szczęście nie wszędzie – za wspaniałego i tolerancyjnego rodzica.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Walt Heyer – jest byłym transseksualistą (przeszedł operację „zmiany płci” z mężczyzny na kobietę, a następnie powrócił do swojej męskiej postaci), który pomaga ludziom z zaburzeniami tożsamości płciowej. Walt Heyer jest autorem książki „Trans Life Survivors”, opowiadającej historie ludzi, którzy za sprawą ideologii LGBT niepotrzebnie okaleczyli swoje ciała. Prowadzi stronę: www.sexchangeregret.com.



Tęczowe ambasady



Jakub Wozinski

Ambasady krajów zachodnich stanowią jedno z najlepiej zorganizowanych środowisk oficjalnie wspierających ruch LGBT

Z okazji niedawnej Parady Równości w Warszawie ambasadorowie aż 46 państw wystosowali specjalny list otwarty, wyrażający poparcie dla „starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów, które dotyczą środowiska LGBT”. Następnie pracownicy placówek dyplomatycznych wspólnie z przedstawicielami innych instytucji międzynarodowych przeszli ulicami stolicy praktycznie na samym czele marszu, zamieszczając bogate relacje z wydarzenia w mediach społecznościowych.

Taki obrazek przestał już dawno kogokolwiek dziwić, gdyż co najmniej od kilku lat pracownicy placówek dyplomatycznych stali się jednymi z najbardziej aktywnych promotorów rewolucji LGBT na całym świecie. Choć tak wyraźne opowiadanie

się po stronie środowisk dążących do radykalnych zmian społecznych ewidentnie narusza podstawowe standardy dyplomacji, to władze państw są najczęściej zupełnie bezradne wobec wspólnej akcji tak wielu ambasad. Ich bezkarność wynika przede wszystkim z tego, że jako pierwsze agresywny lobbying na rzecz rewolucji LGBT rozpoczęły placówki amerykańskie.

CLINTON DAJE SYGNAŁ

Za przełomowy moment w zakresie uczynienia z ambasad ośrodków promocji obyczajowej rewolucji uchodzi dziś przemówienie, które ówczesna sekretarz stanu USA Hillary Clinton wygłosiła w 2011 r. w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie. Stwierdziła wówczas, że „prawa gejów są prawami człowieka, a prawa człowieka są prawami gejów”, dając wyraźny sygnał do globalnej kampanii na rzecz wspierania środowisk LGBT (w podobny sposób w 1995 r. jako pierwsza dama ogłosiła na konferencji ONZ w Pekinie program walki o prawa kobiet). Administracja Baracka Obamy uczyniła z tej kwestii jeden z istotnych punktów swojej polityki międzynarodowej, obierając sobie za cel szczególnie kraje rozwijające się. Prowadzona przez

pierwszego czarnoskórego prezydenta USA polityka kadrowa również odzwierciedlała wsparcie dla obyczajowej rewolucji, o czym świadczyły chociażby nominacje ambasadorskie dla sześciu zadeklarowanych homoseksualistów.

Kluczowym narzędziem nowej polityki ogłoszonej przez Clinton uczyniono Globalny Fundusz Równości (GEF), w którym do uczestnictwa zaproszono państwa i organizacje międzynarodowe z całego świata. Obsługiwana przez amerykański Departament Stanu inicjatywa zajmuje się nie tylko wspieraniem działań na rzecz poszerzania praw społeczności LGBT, lecz także oferuje granty pieniężne. Początkowo amerykańskie państwo przeznaczyło na GEF skromne 12 mln dol., lecz od tego czasu lista darczyńców znacznie się powiększyła. Obecnie fundusz wspierają także wielkie korporacje, takie jak Deloitte czy Hilton International.

Najważniejszym skutkiem podjęcia przez administrację Obamy sztandaru walki o uprzywilejowanie LGBT było jednak przekształcenie ambasad na całym świecie w placówki promocyjne kulturowej rewolty. Od kiedy amerykańskie placówki zaczęły wywieszać tęczowe flagi, w ich ślad poszły przedstawicielstwa kolejnych



Tęczowe flagi na budynkach ambasady USA w Warszawie w Międzynarodowym Dniu przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

państw. Pozycja Stanów Zjednoczonych jest na tyle silna, że mało który kraj szuka z nimi konfliktu, a coś dopiero powiedzieć o kilkudziesięciu państwach, które ramię w ramię promują kontrowersyjny ruch od Warszawy aż do Nairobi.

Poparcie dla ruchu LGBT jest w dzisiejszej dyplomacji na tyle powszechne, że na oficjalnych stronach poszczególnych ambasad i ministerstw spraw zagranicznych znaleźć dziś można mnóstwo dokumentów oficjalnie uznających walkę o prawa mniejszości seksualnych za jeden z ważnych punktów prowadzonej działalności. Na uwagę zasługuje to, że do najbardziej aktywnych państw w zakresie uprawianej propagandy należą nie tylko państwa zachodnie, lecz także Czechy czy Łotwa.

PSEUDOREWOLUCJA TRUMPA

Teoretycznie mogłoby się wydawać, że wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA powinien być położyć kres praktykom wprowadzanym przez poprzednią administrację. Polityk ten doszedł wszak do władzy głównie dzięki wyraźnej konserwatywnemu programowi, który zapewnił mu szerokie poparcie tzw. religijnej prawicy poirytowanej wyal-

nowanymi liberalnymi elitami z wielkich miast. W praktyce okazało się jednak, że poparcie dla LGBT w świecie dyplomacji zapoczątkowane w epoce Obamy i Clinton umocniło się na tyle, że wykorzenie go okazuje się wręcz niemożliwe. Gdy na początku czerwca przedstawiciele ambasady zgłosili się do prezydenta z prośbą o umożliwienie zawieszenia gejowskich flag tuż obok amerykańskiej z okazji tzw. miesiąca dumy, spotkali się z odmową. W praktyce decyzja została jednak w większości przypadków zlekceważona. Na dodatek okazało się, że z racji tak dużej liczby przypadków niedostosowania się do decyzji prezydenta nie zastosowano nawet żadnych kar.

Stosunek Donalda Trumpa do ruchu LGBT jest zresztą wysoce dwuznaczny. Chociaż wcześniej zachowywał wobec niego sceptycyzm, pragnąc przypodobać się konserwatywnym wyborcom, w ostatnim czasie coraz częściej wyraźnie zmienia kurs. Świadczą o tym chociażby oficjalne uczestnictwo w obchodach „miesiąca dumy” oraz liczne wypowiedzi mówiące o poparciu dla idei walki o prawa mniejszości seksualnych. Amerykański prezydent, tak jak jego poprzednicy, bardzo chętnie obsadza ambasadę homoseksualistami, jak choćby w Niemczech, gdzie szefem placówki mianował Richarda Grenella. Warto także pamiętać, że sprzeciw Trumpa dotyczył wyłącznie masztów – poza nimi amerykańskie ambasad są obwieszone tęczowymi flagami w bardzo odważny sposób.

Znamienne pozostaje także to, że obecny prezydent USA nie wstrzymał uruchomionych w czasie rządów Obamy programów wspierania ruchu LGBT, a jedynie wstrzymał się z aktywną ich promocją. W gruncie rzeczy obecna administracja nie podjęła się więc dzieła kontrrewolucji i daje ciche przyzwolenie na kontynuowanie objętego wcześniej kursu. Brak zgody na zawieszenie gejowskich flag tuż przy amerykańskich można rozumieć jako próbę przypodobania się konserwatywnym wyborcom bez woli realnego przeciwstawienia się tęczowej propagandzie.

POWŚCIĄGLIWOŚĆ U MUZUŁMANÓW

Mimo to są jednak miejsca na świecie, gdzie amerykańscy dyplomaci zachowują wyjątkową ostrożność w zakresie promowania ruchu LGBT. Do takich miejsc należą m.in. Arabia Saudyjska, Afganistan

czy też Zjednoczone Emiraty Arabskie, w których za homoseksualizm grozi nawet kara śmierci. Państwa te są jednak zbyt ważnymi i cennymi sojusznikami dla Waszyngtonu, aby którykolwiek pracownik ambasady ośmielił się wywiesić w nich symbol ruchu LGBT. Równie powściągliwi w zakresie promocji tęczowej propagandy są pracownicy ambasad w Rosji, w której władze zdecydowanie zwalczają tęczową kulturę. Jak dotąd w Moskwie i innych dużych miastach całego kraju nie wydano zgody na żadną Paradę Równości, a przyjęte w 2013 r. „prawo antygejowskie” wyraźnie zakazuje propagowania wzorców sprzecznych z tradycyjnymi zachowaniami seksualnymi. Jednakże w obliczu potęgi rosyjskiego państwa aktywiści z ambasad wyraźnie tracą rezon i starają się nie prowokować miejscowych władz.

O wiele większą śmiałość amerykańscy dyplomaci wykazują za to w krajach mniejszych i słabszych, takich jak Węgry, w których w zeszłym roku zakazano naboru na gender studies na uczelniach. Między innymi z tego powodu międzynarodowe organizacje LGBT poddają kraj rządzony przez Viktora Orbána surowej krytyce, ganiąc za wspieranie tzw. homofobicznych postaw. Jedną z najbardziej aktywnych grup nacisku piętnujących politykę węgierskich władz są właśnie ambasad, traktujące coroczne Parady Równości jako okazję do wyrażania ostrego sprzeciwu wobec konserwatywnego kursu obranego przez Węgry.

Jak więc widać wyraźnie, tęczowa dyplomacja najlepiej czuje się tam, gdzie pozycja danego państwa jest zbyt słaba, aby wyrazić sprzeciw wobec ingerowania w miejscowe sprawy lub w krajach przywiązanych wciąż do tradycyjnych wartości. Dyplomatyczne kadry rewolucji LGBT są więc najbardziej aktywne w Europie Środkowo-Wschodniej, a także w takich krajach jak Grecja, Meksyk, Indie czy Turcja. Jest kwestią oczywistą, że wspieranie tęczowej propagandy ma przede wszystkim podtekst polityczny i służy do osłabienia pozycji sił starających się prowadzić w poszczególnych krajach niezależną politykę. Jak dotąd polski rząd nie zdobył się na żadną reakcję wobec nowej praktyki zagranicznych ambasad, dając tym samym przyzwolenie na jej kontynuowanie. Bierność polskich władz wręcz zachęca do jeszcze bardziej intensywnego działania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zycie zaczyna się po siedemdziesiątce. No może nie dla wszystkich. Dla Muammara Kaddafiego skończyło się dość gwałtownie tuż przed 70. urodzinami. Dla statystycznego Libijczyka kończy się zaś w wieku 72 lat. Haftar jednak z całą pewnością statystyczny nie jest. Kompan obalonego dyktatora z lat młodości, później zaś przez ćwierćwiecze jego mało znaczący wróg, zaszyty gdzieś tam w amerykańskiej Wirginii. Mimo nieustannego knucia wraz z CIA w celu obalenia libijskiego dyktatora nie stanowił dla niego większego zagrożenia.

Gdy Kaddafi został zabity, rok młodszy od niego Haftar był już z powrotem w ojczyźnie, ale zawiedziony tym, że nie został mianowany szefem nowej armii, wrócił do USA, czekając na lepszy moment. Zdarzył się on w 2014 r., gdy Haftar miał już 71 lat.

W NIEŁASCE

Początki kariery Haftara i Kaddafiego są podobne. W młodym wieku wstąpili do wojska, obaj byli świeckimi nacjonalistami zapatrzonymi w egipskiego lidera Gamala Abdel Nadera, a w 1969 r. Haftar był jednym z głównych spiskowców przygotowujących udany przewrót, który obalił libijską monarchię i wyniósł do władzy Muammar Kaddafiego. Haftar wszedł wówczas do 12-osobowej Rady Rewolucyjnego Dowództwa Libii, a później został szefem sztabu libijskiej armii, stając na czele jej oddziałów wspierających Nadera w ataku na Synaj przeciwko Izraelowi. Przez 18 lat był jednym z najbliższych ludzi Kaddafiego. Aż do feralnego roku 1987.

Libia od 1965 r. była zaangażowana we wspieranie muzułmańskiej opozycji w wojnie domowej w sąsiednim Czadzie. W 1975 r. ostatni chrześcijański prezydent Czadu został odsunięty od władzy, ale wojna dalej trwała i w 1982 r. rządy przejął prozachodni Hissène Habré. To spowodowało nową interwencję Libii, która zajęła część północnego terytorium Czadu. W 1986 r., na początku ostatniej fazy wojny, Haftar został mianowany głównodowodzącym kolejnej ofensywy, która zakończyła się totalną klęską w tzw. wojnie toyot. Atak ten był konsekwencją zbliżenia między czadyjską opozycją a prezydentem Habré. Libia nie chciała tracić swoich wpływów więc zdecydowała się na taki krok, mimo że stanowiło to pogwałcenie zawartego dwa lata wcześniej porozumienia ze wspierającą Habré Francją. W marcu 1987 r. Haftar został rozgromiony przez Czadyjczyków w bitwie o Wadi Dum, gdzie



FOT. ABDULLAH IDOMA/ARREST NEWS

Kręta droga libijskiego marszałka



Witold Repetowicz

Chalifa Haftar prędzej czy później wkroczy do stołecznego Trypolisu i lepiej, żeby Europa była na to gotowa

mieściła się najważniejsza libijska baza w północnym Czadzie. Libijczycy stracili ok. 2 tys. żołnierzy przy znacznie mniejszych stratach Czadyjczyków. Haftar wraz z ok. 700 swoimi żołnierzami trafił zaś do niewoli. Wtedy Kaddafi się od niego odciął.

Kariera 44-letniego wówczas pułkownika legła w gruzach. Istnieją przy tym dwie teorie, dlaczego Kaddafi wyparł się Haftara. Z jednej strony powodem mogła być chęć zrzucenia na schwytanego pułkownika odpowiedzialności za złamanie porozumień libijsko-francuskich poprzez zasugerowanie, że była to jego samowolka. Z drugiej strony Haftar zaczął zyskiwać zbyt dużą popularność w Libii i Kaddafi mógł się obawiać, że zagrozi jego władzy. Tak czy siak Haftar szybko dogadał się z CIA i został przerzucony z Czadu

najpierw do Zairu (obecnie Demokratyczna Republika Konga), później do Kenii i w końcu, jako uchodźca, do USA.

Jeszcze będąc w Zairze, Haftar związał się ze wspieraną przez CIA libijską opozycją przeciw Kaddafiemu i ogłosił powołanie jej skrzydła wojskowego. W 1996 r. znów pojawił się w Libii w związku z rebelią przeciwko dyktatorowi, ale nic z niej nie wyszło, więc wrócił do USA. W latach 90. otrzymał również amerykańskie obywatelstwo.

TRIUMFALNY POWRÓT

Lata 1988–2011, czyli okres między 45. a 68. rokiem życia Haftara, to dla niego czas wegetacji, gdy jego rola w libijskiej polityce była zerowa. Mógł jednak odczuwać satysfakcję z powodu upadku dwóch swoich wrogów, którzy spowodo-

wali przedwczesny koniec jego kariery (czy raczej długą przerwę w niej). Chodzi oczywiście o Kaddafiego i Habré. Ten drugi został obalony w 1990 r. i zmuszony do ucieczki do Senegalu. W 2008 r. czadyjski sąd skazał go zaocznie na karę śmierci, a w 2013 r. Habré, będący rówieśnikiem Kaddafiego i Haftara, został aresztowany w Senegalu i trzy lata później skazany na dożywocie. Haftar w tym czasie zaczynał nowy rozdział w swoim życiu.

14 lutego 2014 r. siły wierne Haftarowi opanowały telewizję w Trypolisie, która chwilę później nadała jego orędzie. Ogłosił on w nim, że zawiesił działalność parlamentu, rządu i obowiązywanie tymczasowej konstytucji. Haftar, już w randze generała i występując jako szef sił lądowych libijskiej armii, podkreślił przy tym, że nie jest to przewrót, lecz „korekta rewolucji”. W tym czasie w Libii panował chaos. Po obaleniu Kaddafiego kontrolę nad krajem przejęły setki różnych milicji, w tym o dżihadystycznej proveniencji, a wśród ich liderów nie brakowało osób uznawanych za terrorystów i powiązanych z Al-Kaidą. Wybory w 2012 r. wygrali islamisci związani z Bractwem Muzułmańskim, a 11 września 2012 r., gdy w ataku na konsulat USA w Bengazi zginął amerykański ambasador, Amerykanie przekonali się na własnej skórze, do jakiego bałaganu doprowadziła nieprzemyślana interwencja rok wcześniej.

Lutowe orędzie Haftara nie przyniosło jednak żadnych zmian. Podobny los spotkał kolejną nieudaną próbę przewrotu, do której doszło w maju 2014 r. Miesiąc później sytuacja wewnętrzna Libii jeszcze bardziej się skomplikowała, gdy doszło do wyborów parlamentarnych, w których głosowało zaledwie 18 proc. Libijczyków. Dla islamistów, którzy je przegrali, niska frekwencja stała się pretekstem do ich nieuznania. W rezultacie powstały dwa konkurencyjne rządy: jeden rezydujący w Trypolisie, zdominowany przez islamistów i opierający się na różnych dżihadystycznych milicjach, drugi zaś, cieszący się międzynarodowym uznaniem, mający swą siedzibę w Tobruku. W dodatku południowa Libia znalazła się pod kontrolą zwalczających się plemiennych oddziałów Tubu i Tuaregów, niezależnie od obu rządów działała też Straż Instalacji Naftowych, a w Adżdabii, Darnie i Bengazi ukonstytuowały się powiązane z Al-Kaidą rady szariackie. Wreszcie w listopadzie 2014 r. w Libii pojawiło się też Państwo Islamskie, two-

rząc tam najsilniejszy swój ośrodek poza Irakiem i Syrią.

Haftar tymczasem, przy pomocy byłych oficerów armii libijskiej, stworzył załazek regularnych sił zbrojnych i w maju 2014 r., nie oglądając się na oba rządy, rozpoczął operację „Godność”. Jej celem miało być wyparcie islamistów z kontrolowanych przez nich miast. Szczególne znaczenie miało przejęcie kontroli nad drugim co do wielkości miastem Libii, dawną stolicą Cyrenajki, Bengazi, które w 2014 r. znalazło się pod całkowitą kontrolą dżihadystów z Ansar al-Szaria. Natarcie dowodzonej przez Haftara Libijskiej Armii Narodowej (LNA) zaczęło się w październiku 2014 r. i skończyło całkowitym sukcesem. Tyle że bitwa trwała ponad trzy lata, do końca 2017 r.

W międzyczasie Haftar porozumiał się z rządem tobruckim i w marcu 2015 r. został przez niego mianowany marszałkiem i głównodowodzącym libijskich

Haftar często jest demonizowany, mylnie odczytywane są również jego relacje z Rosją

sił zbrojnych. Jednocześnie toczyły się wspierane przez ONZ negocjacje między obydwojma rządami, które zaowocowały konferencją w marokańskim Skhirat, na której ogłoszono zawarcie porozumienia w sprawie utworzenia Rządu Zgody Narodowej (GNA). Okazało się jednak, że żadnej zgody tak naprawdę nie osiągnięto i parlament w Tobruku odmówił uznania porozumienia. Jedną z głównych kwestii spornych była sprawa uznania dowództwa Haftara nad armią, przeciwko czemu bardzo oponowali islamisci z Trypolisu.

Rząd tobrucki stracił międzynarodowe uznanie na rzecz GNA kierowanego przez Fajiza as-Sarradza. Tyle że GNA od samego początku był zakładnikiem islamistycznych milicji, na których się opierał, a jego formalna władza ograniczona była do części północno-zachodnich obszarów Libii. Tymczasem Haftar, zarówno działaniami militarnymi, jak i układami, zdołał rozszerzyć swoją kontrolę nad niemal 90 proc. libijskiego terytorium.

Swoje sukcesy Haftar zawdzięcza również sojusznikom, tj. przede wszystkim Zjednoczonym Emiratom Arabskim, Arabii Saudyjskiej oraz sąsiedniemu Egiptowi.

Główną motywacją tych krajów był przy tym wspólny wróg: Bractwo Muzułmańskie, odgrywające kluczową rolę w Trypolisie od 2011 r. Z tego samego powodu GNA mógł liczyć na Turcję oraz Katar, które po rozpoczęciu przez Haftara ofensywy na Trypolis zaczęły przerzucać do Libii dżihadystów z Syrii. Według rządu tobruckiego oraz ONZ chodzi o terrorystów związanych z Al-Kaidą i Państwem Islamskim, co może mieć dla Europy ogromne znaczenie ze względu na kanał migracyjny z Afryki do Europy, prowadzący właśnie przez Libię.

Problem migracji i zagrożenia dżihadystycznego to również jeden z powodów zaangażowania Francji oraz Włoch w sprawę libijskie. Niejeden oczywiście, gdyż oba kraje zawsze interesowały się również libijskimi zasobami naturalnymi. Problem jednak w tym, że oba kraje opowiedziały się po przeciwnych stronach libijskiej wojny domowej. Francja od co najmniej 2016 r. nieoficjalnie wspiera Haftara, obawiając się, że dżihadysty zagrożą francuskiemu interesom w Sahele. Włochy zaś zawarły porozumienie z libijską strażą przybrzeżną w sprawie zawracania afrykańskich migrantów. Jest to teraz kamyczek do ogródka i tak napiętych relacji francusko-włoskich.

NAUKA NA BŁĘDACH

Haftar często jest demonizowany, mylnie odczytywane są również jego relacje z Rosją. Faktem jest, że Haftar mówi biegle po rosyjsku i w latach 1977–1978 oraz w roku 1983 odbywał kursy oficerskie w Rosji. Tyle że potem znacznie dłużej współpracował z CIA. Problem w tym, że po 2011 r. prezydent Obama i jego sekretarz stanu Hillary Clinton wymyślili sobie, że na fundamencie „umiarkowanych islamistów” spod znaku Bractwa Muzułmańskiego zbudują demokratyczny świat arabski. Ani Haftar, ani sprzymierzony z nim przywódca Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi nie pasowali do tego planu. Na Libię nałożono embargo sprzedaży broni. I wtedy Rosja skorzystała z okazji i wyciągnęła pomocną dłoń. W połowie kwietnia Trump zmienił jednak podejście do Haftara i odbył z nim rozmowę telefoniczną. Libijski generał wynajął natomiast w Waszyngtonie firmę lobbingową w celu zorganizowania swojej wizyty w USA. Lepiej uczyć się na błędach, niż w nich trwać. Zwłaszcza że z punktu widzenia Europy najważniejsze są problemy migracji i terroryzmu, a nie mrzonki o demokracji w Libii.



BLOKOWANIE TWITTERA NIEKONSTYTUCYJNE

Prezydent Donald Trump ma taki styl, że przeniósł działalność urzędową na Twitter. Tam np. ogłasza swoje decyzje. Czasem nie może znieść krytyki komentatorów i blokuje użytkowników. Okazało się, że zachowuje się... niekonstytucyjnie. Sąd w USA uznał, że blokując dyskutantów, Trump narusza swobodę wypowiedzi gwarantowaną Amerykanom przez pierwszą poprawkę do ich ustawy zasadniczej.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

DEPORTOWANA, BO BYŁA Z MĘŻCZYZNĄ

Kilka lat temu do Wielkiej Brytanii przyjechała 17-latką z Ugandy. Została na Wyspach. Gdy jej wiza wygasła, została aresztowana i odesłana do ośrodka detencyjnego. Tam poprosiła o azyl. Powód? Twierdziła, że jest lesbijką, a za to w jej kraju rodzina mogłaby ją zabić. W 2013 r. jej wniosek został odrzucony. Urzędnicy brytyjskiego MSW, którzy dokonali jej zatrzymania w mieszkaniu w związku z wygaśnięciem wizen, dowodzili, że zastali ją wówczas w łóżku z mężczyzną. Sama nie dostarczyła żadnych dowodów na swoją odmienną orientację seksualną. Sprawa znów jednak trafiła do sądu i ten niedawno orzekł, że Ugandyjka ma wrócić do Wielkiej Brytanii, bo wyspiarze nie dali jej szansy pokazania, iż w swoim kraju żyła w związku lesbijskim.

WYRZUCONY ZA NEGACJĘ WIELU PŁCI

Awantura w szkockiej szkole. Uczeń został wyrzucony z klasy podczas zajęć, bo upierał się przy tym, że istnieją tylko dwie płcie. Sprawa trafiła do mediów, bo wyciekło

nagranie z tego zajścia. Widać na nim, że nauczyciel każe chłopakowi opuścić salę. Słychać, że uczeń dopytuje, co było nie tak w jego wypowiedzi. – Jest więcej niż jedna płć – odpowiada nauczyciel. – To tylko twoja opinia – zauważa uczeń. – Taka jest moja opinia i taka opinia jest akceptowalna w tej szkole – kończy pedagog. Jak się okazało, sprawa nie skończyła się na wyrzuceniu z klasy. Uczeń został już zawieszony w szkole i teraz 17-latek musi sobie poszukać nowej.

ZMARŁA ŻONA NA PAPIEROSACH

Włoch pozwał koncern tytoniowy, chce 100 mln euro. 50-latką zszokowało, że bez jego wiedzy i zgody wykorzystano zdjęcie jego żony (dziś już nieżyjącej) ze szpitala. Fotografia zainjektowanej kobiety trafiła na pudełka papierosów w ramach kampanii społecznej. Włocha zdenerwowało nie tylko użycie wizerunku jego małżonki. Nie rozumie też, dlaczego ta fotografia publikowana jest na papierosach, gdy jego żona zmarła na skutek choroby, która nie była wywołana nałogowym paleniem tytoniu. Koncern twierdzi, że zdjęcie wykorzystał legalnie. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA



ŁUKASZ WARZECHA

Igrzyska głupków

Być może w chwili, gdy będą państwo czytać ten felieton, opozycja zdecyduje już, w jakiej konfiguracji zamierza wziąć udział w wyborach. A może nie. Mam coraz mocniejsze przekonanie, że nie ma to większego znaczenia, ponieważ trwające od tygodni kontredanse z udziałem Schetyny, Kosiniaka-Kamysza, Biedronia, Czarzastego i kogo tam jeszcze dawno już przebiły skecze grupy Monty Pythona, włącznie z tym o olimpijskich igrzyskach głupków. Wygląda nawet trochę tak, jakby liderzy opozycji na tym

właśnie konkretnie skecz się wzorowali.

Jest w nim moment, gdy głupki stają na linii startu biegu na 400 jardów dla zawodników bez wyczucia kierunku. Sędzia strzela z pistoletu startowego i zawodnicy rozbiegają się po całym stadionie. Tak to mniej więcej po stronie opozycji wygląda.

Niemal trzy miesiące przed wyborami głównym tematem i zajęciem rywali PiS jest umawianie się, kto kogo i z kim lub bez kogo. Kaczyński mógłby chłopców zamknąć w jednym pokoju i powiedzieć,

żeby bawili się tam ciszej, bo na zewnątrz dorośli załatwiają swoje sprawy.

Byłoby to wszystko nawet całkiem komiczne, gdyby nie to, że ten groteskowy wręcz uwiad opozycji jest problemem dla państwa. Nie jest winą Prawa i Sprawiedliwości, że opozycja przebija Johna Cleese'a i jego kumpli, ale w tych okolicznościach rządząca partia może uznać – to całkiem naturalne – że wolno jej wszystko, bo nikt jej realnie nie zagraża. A to nie jest zdrowa sytuacja. Nawet jeśli diagnoza jest stuprocentowo prawdziwa. ©©

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**NOWOŚĆ
W PRENUMERACIE**



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PAWEŁ LISICKI
„GRÓB RYBAKA”

TOMASZ TERLIKOWSKI
„PADRE JAREK OD ŚW. SZARBELA”

~~658~~ zł



241,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
417** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Z Rafałem Milczarskim, prezesem Polskich Linii Lotniczych LOT
rozmawia Marcin Makowski

Jesteśmy linią o zasięgu globalnym

MARCIN MAKOWSKI: Przed II wojną światową LOT miał zaledwie 26 samolotów, 700 pracowników i 15 obsługiwanych tras – dzisiaj samych połączeń jest już 111. Jak widzi pan przyszłość LOT-u?

RAFAŁ MILCZARSKI: Nasz cel to obsługa kilkudziesięciu milionów pasażerów rocznie z najnowocześniejszego lotniska przesiadkowego w Europie.

To oznacza, że LOT zostałby linią prawdziwie globalną, konkurującą z Qatar Airways czy Lufthansą. Czy to w ogóle możliwe?

Patrząc na naszą siatkę regularnych i czarterowych połączeń, latamy na prawie wszystkie kontynenty, więc jesteśmy linią o zasięgu globalnym. I cały czas się rozwijamy. Jeśli natomiast pyta pan, czy rzucam rękawicę Lufthansie, to odpowiadam, że nie widzę takiej potrzeby. Wystarczy, żebyśmy dobrze wykonywali naszą pracę i korzystali z potencjału wzrostu rynku w Europie

Środkowo-Wschodniej. Do tego jednak potrzebujemy dużego hubu lotniczego, który obsłuży w początkowej fazie do 50 mln pasażerów. Takim rozwiązaniem będzie Centralny Port Komunikacyjny, gdzie LOT chciałby zagospodarować ponad 50 proc. ruchu pasażerskiego.

Lotnisko Chopina w tym momencie osiąga limity wydolności, CPK nie widać. Co w sytuacji, w której ten stan będzie się przedłużał? LOT poszuka hubów gdzie indziej?

W zasadzie mamy już jeden dodatkowy hub w Budapeszcie i cały czas otwieramy połączenia na to lotnisko. Jeśli nie będzie możliwości rozwoju w Warszawie, to zwiększymy jeszcze bardziej swoją obecność na Węgrzech.

Nie widzi pan podobnego potencjału w Rzeszowie albo Krakowie?

Te lotniska nie zostały zbudowane jako lotniska przesiadkowe, więc nie mają takiego potencjału. Są jednak dla nas bardzo ważne i będziemy latać tam coraz częściej.

Wielu ekspertów i polityków opozycji twierdzi, że CPK to gigantomania, której Polska nie potrzebuje. Zamiast tego należy się natomiast skupić na lotniskach regionalnych. Może mają rację?

Chciałbym, aby społeczeństwo знаło powody budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego oraz zrozumiało, jak bardzo LOT i region potrzebują takiego lotniska. Jestem gotów na spotkanie z każdym powątpiewającym, aby pokazać, jakie korzyści przyniesie naszemu krajowi ten projekt. Merytorycznych argumentów jest tak wiele, że mogę przekonać nawet największego sceptyka.



FOT. LECH CAWIL/REPORTER

jednak na estymowany łączny wzrost przychodów budżetowych w wysokości 2,4 mld zł rocznie oraz 4,7 mld zł z tytułu zwiększenia PKB. Dodatkowo powstanie 150 tys. miejsc pracy, w tym ok. 40 tys. miejsc pracy w bezpośrednim otoczeniu węzła przesiadkowego oraz ok. 110 tys. w gałęziach gospodarki powiązanych z inwestycją, takich jak transport, logistyka, hotelarstwo, usługi, handel oraz branża deweloperska.

Dzięki CPK LOT może stać się liderem nie tylko przewozów pasażerskich, lecz także cargo. To kolejna gałąź biznesu lotniczego, którą dynamicznie rozwijamy. Rozumiem, że może ze względów historycznych i osobistych część Polaków ma podcięte skrzydła i po przykrych doświadczeniach z przeszłości nie wierzy w możliwość realizowania w naszym kraju tak dużych inwestycji. Trzeba uświadamiać, że CPK to projekt, który łączy całą Polskę i nie jest w interesie jednego regionu ani jednej opcji politycznej. To projekt, który nikogo nie wyklucza, natomiast strategicznie redefiniuje rozwój naszego kraju.

Mówi pan o wielkiej, unitarnej wizji państwa w sytuacji, w której każdy bardziej śmiały geopolitycznie projekt, od Trójmorza do przekopu Mierzei Wiślanej, napotyka twardy opór. I w Polsce, i za granicą. CPK naruszy wiele interesów.

Mówię o wizji na miarę naszego potencjału i oczywiście jest, że takie projekty zawsze mają swoich zwolenników i przeciwników.

Gdy ukończyłem studia w Wielkiej Brytanii, sugerowano mi, abym tam pozostał. A ja wróciłem do Polski, bo chcę dla niej pracować. Widzę szansę, aby Polska stała się gospodarczym liderem regionu. Jako ekonomista uważam, że jesteśmy w trakcie realizowania tej wizji, tak aby szybko stała się ona rzeczywistością.

I LOT ma być jego wizytówką?

Ma być kluczowym elementem transformacji. Sądzę, że Polacy nie doceniają znaczenia LOT-u w procesie budowania wzrostu gospodarczego. Gdyby LOT przestał istnieć, bardzo boleśnie przekonalibyśmy się, jak istotną rolę w tym procesie odgrywa posiadanie narodowej linii lotniczej. Wiedzą o tym natomiast Węgrzy, którzy po upadku linii Malev nie mieli swojego przewoźnika. Dzisiaj to my stajemy się ich linią narodową.

Był moment w historii Polski, w którym premier wypowiadał słowa o tym, że „nie będzie ratować

LOT-u za wszelką cenę”, a on sam nie może liczyć na nieustanne wsparcie państwa.

My nie dostajemy i nie chcemy dzisiaj żadnej pomocy od państwa. Jedyne, czego potrzebujemy, to stabilnej sytuacji gospodarczej i geopolitycznej oraz zapewnienia bezpieczeństwa i infrastruktury do latania. Powiem więcej – jestem przeciwnikiem pomysłu, aby LOT otrzymywał pomoc publiczną. Mamy w sobie dość energii i determinacji, żeby stanąć w trudnej wolnorynkowej walce o swoje istnienie, opierając się na przemyślanym i konsekwentnie wdrażanym modelu biznesowym, a nie dotacjach od podatników.

Dlaczego przez tak długi czas LOT, walcząc na globalnym rynku, zmagał się z groźbą upadłości? Dzisiaj natomiast – również zmagając się z problemami – idzie do przodu. Jako prezes otworzył pan więcej nowych połączeń, niż zastał w momencie obejmowania stanowiska.

Istotne znaczenie w tym kontekście ma przestrzeganie zasad ładu korporacyjnego, zaufania rady nadzorczej do zarządu oraz do realizowanej strategii spółki. To jest fundamentalna zmiana, która daje nam stabilność i możliwość podejmowania długofalowych decyzji.

Nie ma pan wążeń, że każdy prezes by tak o sobie powiedział? I każdy broniłby swojego stanowiska, używając podobnej logiki?

Ja nie mówię bezpośrednio o sobie, ale o charakterystyce biznesu i branży lotniczej. Do funkcji prezesa zarządu LOT-u zostałem powołany z sektora prywatnego. Wcześniej zarządzałem przedsiębiorstwem, które konkurowało na rynku kolejowym z przewoźnikiem państwowym, dlatego powyższe stwierdzenie opieram na swoim doświadczeniu.

Nie doświadczył pan jednak wtedy czegoś, z czym zmagał się w Locie – mam na myśli falę strajków części pilotów i personelu pokładowego. Czy ta sprawa może wrócić? Czy jakieś długofalowe wnioski dotyczące postulatów pracowników zostały wyciągnięte?

LOT zawsze rozmawiał ze wszystkimi pracownikami, a morale naszych pracowników jest na wysokim poziomie. Natomiast to, że niektóre siły polityczne – niestety skutecznie – próbowały wykorzystywać nastroje mniejszości załogi do zrobienia gigantycznej awantury... Cóż. Ubolewam nad tym, że te grupy były w stanie poświęcić dobro ogółu dla partykularnego interesu ugrupowania politycznego.

Na przykład?

Dobrze, założmy, że ma pan jednego przed sobą. Jak zamierza mnie pan przekonać, że udźwigniemy jako państwo projekt o bezprecedensowych skali i skomplikowaniu, który tylko częściowo zahacza o lotnictwo, ale w dużej mierze oparty jest na intermodalności kolejowo-autostradowej?

Jesteśmy bardzo zdolnym narodem. Polscy naukowcy za granicą radzą sobie fenomenalnie, nasi informatycy to fundament Doliny Krzemowej. Skoro potrafimy tworzyć wielkie rzeczy za granicą, to dlaczego nie mielibyśmy zbudować dużego lotniska w Polsce? Jestem spokojny o możliwości projektowe i wykonawcze w naszym kraju. Warto jednak spojrzeć na Centralny Port Komunikacyjny przez pryzmat wyzwania jako możliwości i korzyści, które daje nam takie superlotnisko. Koszt budowy CPK to według szacunków do 35 mld zł. Przełoży się to

■ To był bolesny czas, ale ludzie, którzy pracują w Locie, są dzisiaj jeszcze bardziej oddani firmie.

Coś by pan jednak z perspektywy czasu w swoim postępowaniu zmieniał? Widzi pan również błędy po swojej stronie?

Z pewnością zmieniłbym dzisiaj wiele rzeczy, ale nie jestem osobą pamiętliwą i zamiast rozmyślać o przeszłości, wolę skupić się na przyszłości. Myślę o budowie dużego przewoźnika lotniczego w Europie, to jest mój cel. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem błędy, ale nie chcę dokonywać ich publicznej wiwisekcji, gdyż musiałbym się odnosić również do całego ciągu przyczynowo-skutkowego, który doprowadził do strajku. Błędy były bowiem popełniane po obu stronach.

Porozmawiajmy zatem o konkretach. LOT, aby się rozwijać, musi mieć nową flotę. Jak wygląda obecnie strategia zakupowa? Więcej dreamlinersów i boeingów 737 MAX, gdy te z powrotem zostaną dopuszczone do użytku?

Jeżeli chcemy się nadal dynamicznie rozwijać, to musimy budować naszą siatkę zarówno na długich, jak i średnich oraz regionalnych trasach. Linie lotnicze to harmonijnie zbudowany wachlarz połączeń, który musi być stale rozwijany. Zwiększanie liczby destynacji wymaga inwestycji w maszyny. LOT postawił na najnowocześniejsze, najekonomiczniejsze i najbardziej ekologiczne w swojej klasie samoloty typu Boeing 787 i 737 MAX. Te ostatnie są chwilowo uziemione przez problemy techniczne, ale mamy pełne zaufanie do regulatorów rynku lotniczego i jestem przekonany, że gdy podejmą wspólną decyzję o przywróceniu ich do lotów, będziemy mogli zaprosić na ich pokład ponownie naszych pasażerów. Warto podkreślić, że naszym priorytetem jest zawsze bezwzględne bezpieczeństwo naszych pasażerów i nie przywrócimy do lotów boeingów 737 MAX dopóty, dopóki nie zostanie udowodniona stuprocentowa niezawodność tej maszyny.

Mówi pan o bezpieczeństwie, natomiast przyszłość lotnictwa zdaje się rysować poprzez szukanie go, ale w sytuacji eliminowania i minimalizowania czynnika ludzkiego. Projektuje się już autonomiczne samoloty albo takie obsługiwane przez jednego pilota. Czy to bariera, której klienci nie będą chcieli przekroczyć mentalnie, czy może lotnictwo, jeśli chce się rozwijać i być konkurencyjne, musi postawić na automatyzację?

Każda tego typu sytuacja, która wystąpiła w Boeingu 737 MAX 8, zmusza do refleksji na polu automatyzacji. Nie wykluczam,



*powyższe dane dotyczą lotów PLL LOT

że w dalekiej przyszłości może dojść do wprowadzenia samolotów autonomicznych, ale zdecydowanie nie na obecnym poziomie technologicznym. To zmiana, która nie nastąpi co najmniej do czasu mojej emerytury, a mam 42 lata. Dodatkowo załogi są niezbędne z punktu widzenia komfortu pasażerów. Piloci LOT-u należą do najlepszych na świecie i nasi pasażerowie to zauważają. Załogi są bardzo ważną częścią naszej firmy.

Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Lotniczych IATA prognozuje, że w skali globalnej do 2032 r. liczba pasażerów na rynku się podwoi i wyniesie ok. 8,3 mld osób. Jednakże istnieje równoległy trend, który przywędrował ze Szwecji, tzw. wstyd przed lataniem, które ma negatywny wpływ na środowisko. Co przeważa?

Z uwagą przyglądam się inicjatywom takim jak „flygskam”, czyli z języka szwedzkiego „wstyd przed lataniem”. Twierdzę, że one są z gruntu podszyte fałszem. Proszę zauważyć, że przykładowo lot do Paryża jednym 186-miejscowym samolotem jest dużo bardziej ekologiczny niż przejazd tych osób samochodami, nawet przy założeniu, że jednym samochodem podróżują cztery osoby. Można łatwo wyliczyć, ile pali się paliwa i emituje CO₂ do atmosfery. Sa-

molot na tej trasie z Warszawy spali mniej paliwa niż samochody, które przewiozłyby te osoby. Ruch lotniczy będzie się rozwijać, a „wstyd” przed używaniem samolotów to raczej kierowanie się emocjami, a nie logiką. Transport powinien być intermodalny. Budując Centralny Port Komunikacyjny, zwraca się również uwagę na aspekty środowiskowe, takie jak np. dowożenie pasażerów do samolotów koleją.

W takim razie zakończmy informacją dla tych, którzy latać chcą. 111 połączeń LOT-u w tej chwili. Jakże na horyzoncie?

Mamy konkretne plany, nie tylko dotyczące rejsów z Warszawy. Powiem tylko o tym, co się wydarzy jeszcze w 2019 r. 2 września otwieramy połączenia Budapeszt-Bruksela, Budapeszt-Bukareszt, 11 września Warszawa-Delhi, a 3 listopada Warszawa-Kolombo. Będę bardzo zaszczycony, gdy pan i czytelnicy zechcą przyjąć zaproszenie na nasze gościnne pokłady.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał Milczarski – menedżer z międzynarodowym doświadczeniem w branży transportowej. Od stycznia 2016 r. prezes PLL LOT.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Polacy – nie oszczędzajcie!

Polacy, nie oszczędzajcie! Oszczędzanie w Polsce zupełnie się nie oplaca; wszystko, co zarabiacie, natychmiast wydawajcie! Tak właśnie zdają się apelować ci, którzy dbają – a raczej powinni dbać – o jakość polskiego złotego, a więc także o poziom inflacji.

Tymczasem inflacja niepostrzeżenie przekroczyła 2,5 proc., czyli przebiła cel inflacyjny Rady Polityki Pieniężnej. W czerwcu 2019 r., według wstępnego szacunku GUS, wzrosła do 2,6 proc., licząc czerwiec 2019 do czerwca 2018 r. W maju było to 2,4 proc., a w kwietniu – 2,2 proc. RPP jednak nie kwapi się do podniesienia stóp procentowych, stąd i odsetki oferowane oszczędzającym przez banki są na zenująco niskim poziomie – w zasadzie nie dając im szans nie tylko na zarabianie na odłożonych tam pieniądzech, lecz także nawet na utrzymywanie ich realnej wartości. Jeśli zaś ma się na ulokowanych w banku pieniądzech tracić, to czy trzymanie ich tam ma sens?

A przecież Polacy i bez tego należą do najmniej oszczędnych nacji, choć także w tej materii zwykle usta mają pełne dobrych rad. Jak ta – wyrażona w badaniu przeprowadzonym na zlecenie banku BGŻ BNP Paribas – przez aż 88 proc. ankietowanych, że „odpowiedzialny człowiek powinien oszczędzać pieniądze z myślą o przyszłości”. Jeśli tak, to Polacy odpowiedzialni nie są – i wcale nas nie tłumaczy wciąż nie najwyższy poziom płac, bo wypadamy w tej konkurencji blade także na tle

narodów z Europy Środkowej, które przecież nie zarabiają od nas zdecydowanie lepiej.

Oto bowiem nasza stopa oszczędności (odsetek zaoszczędzanych dochodów), która zbliża się do 2,5 proc., a w ciągu najbliższych dwóch lat, jak się prognozuje, powinna wzrosnąć do 3,6 proc., jest wciąż sporo niższa nie tylko w porównaniu z bogatymi Szwecją (gdzie wynosi niemal 16 proc.) czy Niemcami (gdzie sięga 10 proc.), lecz także np. w zestawieniu z naszymi sąsiadami z południa – Czechami, gdzie wynosi 5,5 proc. W ogóle pod tym względem w UE lepiej wypadamy jedynie w porównaniu z Litwinami i Cypryckami.

I choć, jak dowodzą dane OECD, oszczędności Polaków per capita wzrosły w ciągu ostatnich ośmiu lat o 70 proc., to ich wartość – jak wynika z raportu Związku Banków Polskich – jest sześciokrotnie niższa od zasobów Holendrów i czterokrotnie od obywateli Wielkiej Brytanii. Więcej oszczędności od statystycznego Polaka mają też statystycy ni Czech, Węgier i Grek.

Wielka szkoda więc, że członkowie Rady Polityki Pieniężnej swoją działalnością, czy raczej bezczynnością – nie podnosząc stóp procentowych stosownie do poziomu inflacji, co sprawiłoby, że banki odpowiednio podniosłyby poziom odsetek od lokat, a to z kolei z pewnością zachęciłoby Polaków do oszczędzania – utrwalają ten fatalny i zgubny dla naszej przyszłości nawyk: nawyk nieoszczędzania. © ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pomysł na dietę

Podczas wystąpienia na konwencji programowej Zjednoczonej Prawicy na prośbę rządu dokonałem niezależnej oceny wybranych aspektów jego polityki gospodarczej. Szczególną uwagę poświęciłem demografii. Zapropnowałem nowe podejście do rozwiązania problemu wymierania polskiego narodu. Jeżeli po uruchomieniu programu „500+”, mimo świetnej sytuacji gospodarczej i rekordowo niskiego bezrobocia, jeżeli w warunkach najbardziej optymistycznych nastrojów Polaków w historii pomiarów, nie rodzi się znacząco więcej dzieci, to znaczy, że utrzymują się silne bariery dla wzrostu dzietności: ekonomiczne, kulturowe, zdrowotne czy inne, które mogą doprowadzić do wyginięcia narodu polskiego już w XXII w.

No dobrze, ale dlaczego polityków skupionych na kolejnych wyborach w czteroletnim cyklu w ogóle ma interesować perspektywa 100–150 lat? Otóż dlatego, że polityka ratowania narodu polskiego przed wyginieniem może prowadzić do zwiększenia popularności rządu w krótkim okresie, przy czym może się to odbywać bez znacznego wzrostu wydatków budżetowych. Pomysł polega na tym, żeby zdiagnozować istniejące bariery dla wzrostu dzietności i jednocześnie, w wielu miejscach rozpocząć programy pilotażowe, które będą miały na celu eliminację konkretnej bariery lub ich zestawu. Po pewnym czasie będzie można zweryfikować rezultaty tych programów

i wdrożyć w całej Polsce to, co się sprawdziło w regionie.

Jak to mogłoby wyglądać w praktyce? W tym przykładzie grupy docelowe są wydzielone geograficznie, czyli mówimy o małżeństwach, w których żona jest w wieku rozrodczym i które mieszkają w określonym powiecie lub województwie. W jednej lokalizacji geograficznej wdrażamy jeden rodzaj polityki demograficznej, a w innej drugi. Na przykład w powiecie X1 płacimy 1 tys. zł za każde nowo urodzone (lub poczęte) dziecko, co miesiąc, od narodzin (udokumentowanego poczęcia) do osiągnięcia wieku Y (Y może wynosić 12, 15 lub 18). W przypadku poczęcia wypłatę za okres ciąży można opóźnić do momentu narodzin (w całości lub w wysokości 50 proc.). W powiecie X2 prowadzimy zmasowaną akcję zmieniającą postrzeganie rodzin wielodzietnych. To nie margines na socjał, jak być może wielu Polaków teraz myśli, ale nowocześni młodzi ludzie, którzy wiedzą, że duża rodzina jest „cool and trendy”. W powiecie X3 każde nowo narodzone dziecko możemy zgłosić w rozliczeniu rocznego PIT i otrzymać ulgę podatkową. Takich pomysłów możemy sprawdzić jednocześnie kilkadziesiąt. Po roku, dwóch latach będziemy wiedzieli, co działa (demografowie uwzględnią w modelach czynniki specyficzne dla regionów/grup docelowych) i będzie można wdrożyć najskuteczniejszą politykę w całym kraju. © ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



Jacek Przybylski

Po ostatnich zakupach Polska ma już w sumie 228,6 tony złota. To dobra inwestycja, na której NBP już potencjalnie zarobił. Dobry jest też pomysł przewiezienia do kraju dużej części kruszcu. Proces repatriacji złota przeprowadzili bowiem nie tylko Węgry, lecz także Niemcy, Austria czy Holandia

Threadneedle Street. Mało kto, przechodząc obok siedziby Banku Anglii, wie, że ma u stóp niewiarygodną fortunę. Głęboko pod chodnikiem znajduje się osiem gigantycznych skarbców Banku Anglii, w których kryją się złote sztabki o szacunkowej wartości 400 mld funtów, czyli 1,9 bln zł. To tyle, ile w 2017 r. wyniosła wartość całego polskiego PKB.

Każda złota sztabka przechowywana w skarbcach Banku Anglii waży dokładnie 400 uncji, czyli 12,44 kg, i składa się ze złota o próbie 999,9. Za jedną taką sztabkę można by kupić dwa lub trzy domy albo kilka mieszkań – jej wartość przekracza bowiem 2 mln zł. To właśnie za pomocą tego typu sztab standardowo odbywa się międzynarodowy handel złotem. Sztabki nie mają zapachu, ale mają różne kształty. Niektóre przypominają bochenek chleba, inne mają specjalnie zaokrąglone krawędzie, co ułatwia ich rozładunek i załadunek.

Nowe sztabki do drugiego pod względem wielkości skarbcza świata wpływają na statkach, a także przylatują w lukach bagażowych rejsowych samolotów pasażerskich, m.in. z rafinerii złota w Szwajcarii oraz Republice Południowej Afryki. W londyńskim skarbcu wszystkie złote sztabki leżą w rzędach na ponumerowanych półkach. Ponieważ łącznie ważą kilka tysięcy ton, muszą być odpowiednio rozkładane w różnych mniejszych sejfach, aby nie doprowadzić do tego, by całe bogactwo z któregoś sejfów utopiło się głęboko w glinianych warstwach gruntu. Maksymalnie w jednym miejscu może więc leżeć od czterech do sześciu palet ze złotymi sztabkami.



Polski złoty interes

Problemu tego nie mają Amerykanie. Skarbcowi Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku ulokowanemu 25 m pod poziomem ulic Manhattanu sprzyja bowiem skalne podłoże. Dzięki niemu ciężkie złote sztabki mogą być układane od podłogi aż do dachu podziemnego skarbcza. Za 90-tonowymi, stalowymi drzwiami znajduje się zaś ponad 6,3 tys. ton złota, czyli ponad pół miliona sztabek o łącznej wartości setek miliardów dolarów. Zgromadzony tam kruszec należy nie tylko do USA, lecz także do rządów kilkudziesięciu państw świata.

Za najbezpieczniejszy skarbiec świata uważany jest zaś skarbiec w amerykańskiej bazie wojskowej Fort Knox – dostępu do budynku, w którym przechowywane jest złoto, chronią strażnicy, kamery, a także cztery wysokie ogrodze-

nia (w tym dwa pod napięciem). Ściany skarbcza wykonane są z granitu i mają grubość 120 cm. Dostępu do wejścia strzegą 22-tonowe stalowe wrota.

Również Bank Anglii, podobnie jak jego nowojorski odpowiednik, przechowuje nie tylko swoje złoto, lecz także sztabki należące do innych banków centralnych oraz instytucji komercyjnych. Pobiera za to stosowną opłatę. W zamian oferuje jednak ogromne bezpieczeństwo, chlubiąc się tym, że nigdy w swej ponad 300-letniej historii jego skarbcze nie zostały obrabowane. Nie znaczy to, że nikt nigdy się do niego nie zakradł – według oficjalnych informacji banku sztuka ta udała się w XIX w. pracownikowi wodociągów, który znalazł przejście do głównego sejfów. Uczciwy mężczyzna powiadomił jednak o tym władze Banku Anglii, zawstydzając



W podziemiach Banku Anglii znajduje się ponad 6,3 tys. ton złota. Żeby skarbce nie zapadły się pod ziemię, sztabki – z których każda waży 12 kg – muszą być odpowiednio rozłożone

FOT. EDDIE MULHOLLAND/REUTERS/FORUM

dumnych z siebie dyrektorów i inkasując nagrodę w wysokości 800 ówczesnych funtów, czyli równowartość ok. 400 tys. obecnych złotych.

Jak informuje BBC, współcześnie dostęp do złota w londyńskich skarbcach bronią najnowsze technologie (strażnik musi wypowiedzieć do mikrofonu odpowiednie hasło, a komputer porównuje jego głos z zachowaną wcześniej w systemie próbką) w połączeniu z pękiem tradycyjnych kluczy o długości trzech stóp, czyli ponad 91 cm.

NBP NA ZAKUPACH

Szacuje się, że w podziemiach w Londynie oraz w skarbcach rozlokowanych w okolicach brytyjskiej stolicy znajduje się mniej więcej jedna piąta całego złota należącego do kilkudziesięciu rządów

z całego świata. W wielkich londyńskich sejfach przechowywane są również sztabki, które należą do Polski. Nasze złoto trafiło tam m.in. po dramatycznej ewakuacji na początku II wojny światowej. W Londynie przechowywane są również praktycznie wszystkie sztabki dokupione przez Narodowy Bank Polski. Polskie złoto jest tam utrzymywane na tzw. allocated account. Każda sztaba przypisana do rachunku NBP ma więc swój unikatowy numer seryjny i znak rafinera.

W wakacje zeszłego roku NBP kupił złoto w dwóch transzach: dwie tony w lipcu i siedem w sierpniu. Był to pierwszy taki zakup Polski w XXI w. Transakcja zwróciła uwagę dziennika „Financial Times”, który zauważył wówczas, że był to też pierwszy zakup złota przez kraj członkowski Unii Europejskiej od 1998 r.

Już w październiku zeszłego roku śladem Polski poszły Węgry, które swoje zasoby złotego kruszcu zwiększyły nagle aż o 1000 proc. (!), z 3,1 tony do 31,5 tony.

W lipcu NBP ogłosił, że w sumie w latach 2018–2019 zakupy były o wiele większe. Zasoby złota Narodowego Banku Polskiego zwiększyły się w tym okresie aż o 125,7 tony: 25,7 tony nasi bankierzy nabyli w zeszłym roku, a w tym roku pozostałe 100 ton. W sumie Polska ma więc 228,6 tony złotego kruszcu.

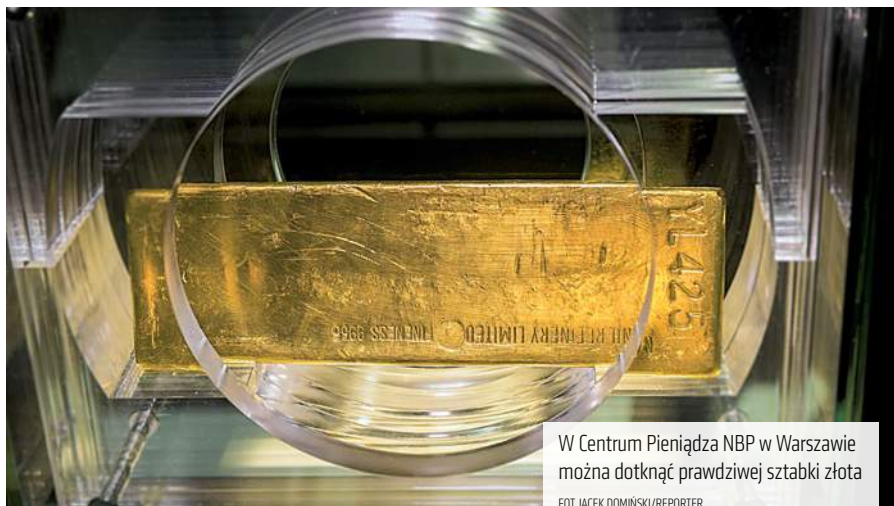
Polskie zasoby złota są zbliżone do tego, czym dysponują takie kraje jak Austria czy Hiszpania, nieco większe niż Belgii (227 ton) oraz niemal dwukrotnie większe od Szwecji czy Singapuru (126 ton).

Jak się okazuje, decyzję o zakupie eksperci NBP podjęli w znakomitym momencie. W 2018 r. cena złota pod presją silnego dolara i rosnących rentowności amerykańskich obligacji istotnie spadła. Tymczasem od początku 2019 r. ceny złota podskoczyły już o ok. 10 proc., dzięki czemu nasz bank centralny – gdyby kupował kruszec w celach spekulacyjnych – zarobiłby już na nowych sztabkach kilkaset milionów złotych.

Chociaż w rękach inwestorów oraz bankierów jest jedynie jedna trzecia światowego złota (ponad połowę kruszcu stanowią wyroby jubilerskie, a kilkanaście procent używane jest w przemyśle, m.in. w trakcie produkcji obwodów elektronicznych), to tradycyjnie cena kruszcu jest bowiem niska, gdy czasy są spokojne, i bardzo wysoka, gdy sytuacja na świecie robi się niestabilna. Złoto jest wówczas postrzegane jako tzw. bezpieczna przystań dla pieniędzy.

Coraz bardziej nerwowa sytuacja geopolityczna w połączeniu z toczoną przez administrację Donalda Trumpa wojną celną oraz obawami inwestorów co do możliwej serii obniżek stóp procentowych przez Rezerwę Federalną sprawia, że złoto pozostaje w trendzie wzrostowym, mimo iż notowania złota znalazły się na najwyższym poziomie od wielu lat.

Część analityków, jak choćby prezes londyńskiej firmy badawczej Independent Strategy David Roche, przewiduje nawet, że wraz z odpływem kapitału z giełd papierów wartościowych ceny królewskiego metalu nadal będą dynamicznie rosły. Jego zdaniem do końca 2020 r. złoto podrożeje z obecnych 1,4 tys. dol. za uncję do magicznej granicy 2 tys. dol. za uncję. Taki skok cen złota wydaje się jednak obecnie mało realny. ■



W Centrum Pieniądza NBP w Warszawie można dotknąć prawdziwej sztabki złota

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

■ Po okazałych zakupach w ciągu roku Narodowy Bank Polski przeskończył z 34. miejsca na 22. pozycję wśród wszystkich banków centralnych na świecie. W Europie skoczyliśmy z kolei z 15. miejsca na 11., wyprzedzając wszystkie państwa naszego regionu.

Systematycznie złote sztabki do swych skarbców dokupuje Rosja. Według danych Eurostatu w zeszłym roku uzupełniła swe zapasy o 274 tony, w pierwszej połowie tego roku dokupiła ich jeszcze 70, a w sumie w ciągu ostatnich pięciu lat dokupiła aż 975 ton cennego kruszcu. Wiele złotych sztab nabyły też Chiny (48 ton tylko w pierwszym półroczu obecnego roku i 846 ton w ciągu ostatnich pięciu lat), Turcja (w zeszłym roku kraj ten kupił 51 ton złota, a od stycznia do czerwca obecnego jeszcze 42 tony), a także Kazachstan (w roku 2018 kraj ten nabył 50 ton cennego surowca, a 16 ton w pierwszych sześciu miesiącach 2019 r.)

REPATRIACJA ZŁOTA

Znaczne zwiększenie zasobów złota, a także sytuacja geopolityczna skłoniły zarząd NBP do podjęcia decyzji o przeniesieniu ok. 100 ton cennego kruszcu z Londynu do skarbców położonych na terenie Polski. Bank Anglii został już o tym poinformowany. Dokładny harmonogram tej operacji ze względów bezpieczeństwa nie jest jednak ujawniany.

Pracownicy NBP w czerwcu udali się też na inspekcję do londyńskiego skarbcza, gdzie sprawdzili jakość złota należącego do Polski, a także ocenili standardy jego przechowywania.

Liczba państw, które zdecydowały o tym, że swoje złoto wolą trzymać w domu niż poza granicami, w ostatnich latach istotnie wzrosła. Na początku

2019 r. proces relokacji ponad 660 ton złotych sztabek z brytyjskich sejfów rozpoczęła Rumunia. Rządząca partia chciałaby, aby na terenie kraju znajdowało się aż 95 proc. rumuńskich rezerw w złocie.

Do 2020 r. miała trwać operacja sprowadzania złota z zagranicznych sejfów prowadzona przez Deutsche Bundesbank. Niemiecki bank centralny już w roku 2017 pochwalił się jednak, że tajną misję wykonał trzy lata przed czasem i do Niemiec z Paryża i Nowego Jorku wróciło w sumie ponad 580 ton złota. Dzięki tej operacji Bundesbank we własnych skarbcach we Frankfurcie nad Menem ma już ponad połowę złota szacowanego łącznie na ponad 3,4 tys. ton, czyli ok. 270 tys. sztabek. Niemcy na operację odzyskania zdeponowanego poza granicami złota zdecydowali się m.in. w obawie, że część kruszcu przechowywanego w USA, we Francji i w Wielkiej Brytanii od rozpoczęcia zimnej wojny, mogła w niewyjaśnionych okolicznościach zniknąć lub zostać „wypożyczona” bez zgody prawowitych właścicieli.

Po zakończeniu kosztującej ok. 8 mln euro tajnej operacji władze w Berlinie – od których więcej złota ma tylko rząd w Waszyngtonie (ponad 8,1 tys. ton.) – nie trzymają już żadnych sztabek w Paryżu, ale nadal przechowują złoto w Nowym Jorku (ponad 1,2 tys. ton) oraz w Londynie (ponad 430 ton). Brytyjska stolica jest bowiem centrum światowego handlu kruszczem, więc w razie nagłej potrzeby można w niej szybko wymienić złoto na inne potrzebne waluty. Również w Nowym Jorku nagłe spieniężenie rezerw kruszcu nie powinno stanowić problemu.

Na repatriację królewskiego metalu w ostatnich latach zdecydowały się

również Holandia, Austria oraz Węgry. Holendrzy w 2014 r. ujawnili, że podczas tajnej operacji sprowadzili z nowojorskiego skarbcza do Amsterdamu ponad 122 tony złota. Rok później zamiar repatriacji 90 ton królewskiego metalu ogłosili Austriacy. W 2018 r. Węgrzy poinformowali o sprowadzeniu z Londynu trzech ton złota, czyli całych ówczesnych zapasów tego kruszcu, należących do władz w Budapeszcie.

Bank Anglii dał ostatnio sceptykom nie lada argument do wycofywania złota, de facto uniemożliwiając repatriację przechowywanego w okolicach Tamizy wenezuelskiego złota, o którego wydanie zwróciły się socjalistyczne władze tego kraju pod kierownictwem walczącego o polityczne przetrwanie Nicolasa Maduro.

Jednym z powodów mody na „repatriację złota” są również obawy o to, że jeśli dojdzie do powtórki z globalnego kryzysu finansowego z 2008 r., a wraz z nim do załamania wartości dolara, to władze Rezerwy Federalnej zdecydują się na nacjonalizację przechowywanego złota w celu ratowania amerykańskiej waluty. Tymczasem – jak słusznie zauważa NBP – złoto jest „najbardziej rezerwowym” z aktywów rezerwowych. Część banków centralnych zwiększa więc udział królewskiego metalu, ograniczając jednocześnie ilość rezerw w dolarze, euro czy też funcie.

W przypadku Polski w czerwcu 2019 r. – gdy oficjalnie nasz kraj miał 128,6 tony złota – królewski metal stanowił jedynie 4,7 proc. wszystkich rezerw, podczas gdy średnia dla banków centralnych na całym świecie wynosi 10,5 proc., w przypadku krajów europejskich to 20,5 proc., a w gronie banków centralnych strefy euro odsetek złota do innych rezerw wynosi aż 53,6 proc. (na taki wynik wpływają ogromne zasoby złota Niemiec, Francji i Włoch).

NBP podkreślił, że złoto „dywersyfikuje ryzyko geopolityczne i stanowi swoistą kotwicę zaufania, szczególnie w czasach napięć i kryzysów”. W czasach ujemnych stóp procentowych najbezpieczniejszych obligacji i coraz częstszych apeli o ustanowienie nowego ładu monetarnego, decyzję o zakupie złota przez Polskę można więc z czystym sumieniem pochwalić. Kruszcem we własnym skarbcu podnosi bowiem wiarygodność kraju, a w przyszłości może zdecydować o sile polskiego złotego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: EKSPRES DO KAWY BREVILLE PRIMA LATTE II

Latwość użytkowania, uniwersalność i automatyczny tryb czyszczenia – to największe zalety kolbowego ekspresu do kawy Prima Latte II Srebrny VCF108X.

Minimalistyczny design sprawia, że testowany ekspres wygląda nowocześnie (choć ma wiele plastikowych elementów) i nie zajmuje w kuchni zbyt wiele miejsca (jego wymiary to 36 x 33 x 26,5 cm). Pod ciśnieniem 19 barów urządzenie może przygotować dwie filiżanki espresso jednocześnie. Łatwo można również wybrać, czy chcemy pojedyncze czy podwójne espresso, pojedyncze czy podwójne cappuccino czy też pojedyncze czy podwójne latte. Oprócz kawy mielonej do zaparzania napojów można też używać kapsułek 45 mm ESE PODS. Niestety, ten model nie ma młynka do mielenia kawy.

Wszystko jest dobrze oznaczone, banalnie proste w obsłudze i dobrze sprawdza się w przypadku espresso, cappuccino czy pojedynczego latte. Fajnie też, że można wybrać wysokość kubka i zrobić sobie napój zarówno w niewielkiej filiżance, jak i wysokiej szklance. Zaparzone kawy są smaczne. Miłośników cappuccino ucieszy też wygląd mlecznej pianki.

Niestety, wybór podwójnego latte w wysokiej szklance może się skończyć koniecznością niezapowiedzianego sprzątnięcia, ponieważ akurat ten program przewiduje tak dużą ilość napoju, że podstawione naczynie musi być nie tylko bar-

dzo wysokie, lecz także szerokie. W przeciwnym razie, jeśli wyjdziemy z kuchni i nie zareagujemy na czas, przerywając proces parzenia za pomocą dowolnego przycisku, grozi nam kawowa powódź.

I tak dochodzimy do głównej wady tego modelu. Producent promuje go, przekonując, że wystarczy nacisnąć jeden przycisk, aby zrobić swoją ulubioną kawę. I jest to prawda, jeśli komuś odpowiadają proporcje mleka i kawy w przygotowywanych za pomocą tego ekspresu napojach kawowych. Jeżeli wolimy inne proporcje, to można oczywiście przyrządzić nasz napój idealny, wybierając za pomocą dwóch dodatkowych przycisków, ile chcemy mleka, a ile kawy. Brakuje jednak właśnie tego jednego progra-

modalnego przycisku, który zapamiętałby nasz wybór i następnym razem za jednym naciśnięciem automatycznie zrobił nasze wymarzone aromatyczne cappuccino dokładnie tak, jak chcemy.

Zaletą tego modelu jest ergonomiczny zbiornik na mleko (o pojemności 600 ml), który można przechowywać w lodówce, a także tryb samoczyszczenia ekspresu i spieniacza do mleka. W kolejnej edycji tego ekspresu producent mógłby jednak sprawić, aby sam proces montowania pojemnika do ekspresu był nieco łatwiejszy. Plussem jest też spory zbiornik na wodę o pojemności 1,5 l.

Breville Prima Latte II to ciekawy model dla miłośników kawy, którzy nie chcą wydawać fortuny na ekspres. Cena: 999 zł. ©©

Jacek Przybylski



CZAR KONWERSACJI

Lato to najczęstszy czas wakacyjnych podróży i nawiązywania nowych międzynarodowych znajomości. I choć dzisiaj znajomość kilku języków obcych staje się, zwłaszcza w Europie, coraz częstsza, to jednak rynek elektronicznych tłumaczy wciąż potrafi zaskakiwać. Właśnie pojawiło się na nim urządzenie o nazwie Zero: Reinventing the Translator, reklamowane przez producenta jako „najbardziej inteligentny, przenośny i wielofunkcyjny tłumacz na świecie”. W reklamie jak to w reklamie, jest sporo przesady, ale faktycznie Zero może być urządzeniem przydatnym. Oczywiście, co już staje się standardem w urządzeniach tej kategorii, tłumaczy rozmowy w czasie rzeczywistym, dzięki współpracy ze smartfonem i z dedykowaną aplikacją zawierającą bazę



kilkudziesięciu tysięcy słów, zwrotów i idiomów. Urządzenie tłumaczy „na głos” słowa naszego rozmówcy, a jednocześnie tłumaczenie w formie pisanej pojawia się na ekranie smartfona. Zero nagrywa i rozdziela głosy do czterech głośników jednocześnie, a układ mikrofonów jest również ustawiony tak, aby obejmował wszystkie kąty pomieszczenia. Dziennik zapisu

pozwala też na ekranie śledzić, kto co mówi w danym momencie. Współpracująca z urządzeniem aplikacja rozpoznaje aż 42 języki, w tym m.in. ukraiński, serbski czy islandzki.

Cena Zero wynosi ok. 250 zł. Dostawa w sierpniu. Zamawiać można na portalu Indiegogo.

NIEŻŁY POWER BANK

Magazynów energii na rynku jest już zatrzęsienie, ale „więcej i szybciej” najczęściej znaczy też „lepiej”. W przypadku True Wireless Power Bank jest całkiem nieźle. Wodoodporny gadżet umożliwia przenośne szybkie ładowanie bez kabli przy pojemności 5000 mAh.

Uzbrojony jest w akumulator bezprzewodowy z certyfikatem Qi. Oznacza to, że jest on kompatybilny ze wszystkimi urządzeniami z funkcją Qi, w tym z odtwarzaczami AirPods. Dzięki pojemności baterii 5000 mAh może szybko ładować urządzenia iPhone i Android przy mocy odpowiednio 7,5 W i 10 W. A do tego waży tylko 122 g. Zamawiać można na Kickstarterze w cenie ok. 120 zł. Dostawa we wrześniu. ©©



Wojciech Wybranowski



Dyskretny urok etatyzmu



Stefan Sękowski

Na świecie coraz więcej znaczą kraje, w których dużą rolę w gospodarce odgrywa państwo, takie jak np. Chiny. Także inne państwa chcą brać z nich przykład. Nie zachłyjmy się jednak kapitalizmem państwowym, bo ma on sporo wad

W 2016 r. co piąta firma (20,2) spośród 500 największych na świecie (według listy Fortune Global 500) była firmą państwową (state-owned enterprise – SOE). Jak obliczyli ekonomiści z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie Grzegorz Kwiatkowski i Paweł Augustynowicz, jeszcze w 2004 r. było ich raptem 9,8 proc. Z kolei z raportu OECD „The Size and Sectoral Distribution of State-Owned Enterprises” opublikowanego w 2017 r. wynika, że tylko w 40 badanych krajach (głównie należących do OECD, ale także m.in. w Chińskiej Republice Ludowej i Indiach) jest łącznie ponad 53,7 tys. firm

państwowych, warty łącznie ponad 31 bln dol. i zatrudniających prawie 30 mln osób. Przeważająca większość firm z tej puli (ponad 51 tys.), zatrudniających ponad 20 mln osób, to firmy chińskie. A do tego w zestawieniu nie ma takich krajów jak Rosja, Malezja czy Indonezja, w których sektor państwowy odgrywa także ważną rolę.

Joshua Kurlantzik, autor książki „State Capitalism. How the Return of Statism is Transforming the World”, określa jako „kapitalizmy państwowe” takie gospodarki, w których państwo kontroluje jedną trzecią spośród 500 największych przedsiębiorstw. Jest ich 19 wśród



większy wpływ niż państwa zachodnie na firmy zachodnie – mówi „Do Rzeczy” dr Grzegorz Kwiatkowski z UMCS.

CHINY DAJĄ PRZYKŁAD

Etatyzm robi się coraz bardziej modny. Zapowiedź bardziej aktywnej polityki gospodarczej państwa znalazła się w nowej Narodowej Strategii Przemysłowej 2030, patronowanej przez ministra gospodarki i energii Petera Altmaiera. Niemieckie prawo zezwala na zakładanie państwowych spółek jedynie w szczególnych przypadkach. Altmaier wskazuje, że „państwo co do zasady nie jest lepszym przedsiębiorcą” i dlatego w przeszłości nie wszystkie interwencje zdały egzamin. Niemniej „w niektórych przypadkach suma gospodarczych decyzji jednostkowych przedsiębiorstw kraju nie wystarczy, by wyrównać lub umożliwić globalne zmiany układu sił czy dobrobytu. Przedsiębiorstwo ma na względzie swój rozwój, nie całego państwa”.

Niemieckie prawo zezwala na zakładanie państwowych spółek jedynie w szczególnych przypadkach

Dlatego państwo powinno pomóc, gdy – zdaniem ministra – rynek nie wystarczy, by zachować innowacyjność i konkurencyjność gospodarki. Choć zarys strategii proponuje miękkie rozwiązania (np. ograniczone w czasie wsparcie finansowe dla innowacyjności czy ułatwianie fuzji), to widać po niej zmianę myślenia. Dotyczy ona nie tylko Niemiec – Grzegorz Kwiatkowski wskazuje, że możemy zaobserwować również zmiany w nastawieniu niektórych społeczeństw zachodnich do kwestii własności państwowej. Według przeprowadzonego w 2017 r. sondażu w Wielkiej Brytanii tylko trzy sektory spośród wybranych 13 miały zdaniem opinii publicznej pozostać prywatne (linie lotnicze, bankowość i telekomunikacja). W gestii państwa miały pozostawać nie tylko policja czy opieka zdrowotna, lecz także np. wodociągi, kolej czy transport autobusowy. W kolejnym roku poparcie dla nacjonalizacji wzrosło.

To duża zmiana. Od upadku Związku Sowieckiego obowiązuje daleko idący sceptycyzm wobec przedsię-

biorstw państwowych i ingerencji państwa w gospodarkę. Takie podejście prezentowały także międzynarodowe organizacje, takie jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy, udzielające wsparcia, a jednocześnie wymagające realizacji zaleceń „konsensusu waszyngtońskiego”, takich jak prywatyzacja SOE czy deregulacja w zakresie wchodzenia na rynek. Jednocześnie obok niego powoli zaczął wykształcać się... „konsensus pekiński”, który niektórzy traktują jako alternatywę dla modelu zachodniego.

PRZEDSIĘBIORCZE PAŃSTWO

Chińska Republika Ludowa porzuciła w latach 80. XX w. komunizm, ale nie ingerencję państwa w gospodarkę. Władze pozwoliły na tworzenie firm prywatnych i przeprowadzały prywatyzację, ale także w ramach protekcyjnej polityki wysoki cel czy restrykcji dotyczących wywozu kapitału za granicę. Państwo miało wpływ również na firmy prywatne, wskazując im np. kierunki rozwoju. Udział SOE w chińskiej gospodarce pozostał duży, a w XXI w. rośnie. Znowu wiele z nich jest wspieranych przez państwo, przykładowo mogą liczyć na lepsze warunki kredytowe. Jak pisze Kurlantzik, w efekcie także firmy prywatne szukają wsparcia u państwowych decydentów, by móc konkurować z publicznymi firmami – i jeszcze bardziej uzależniają się od państwa.

Zwolennikom nowego etatyzmu podobają się też przykłady takich krajów jak Korea Południowa, gdzie jako źródło rozwoju gospodarki wskazuje się często protekcyjną politykę sprzed kilkudziesięciu lat, polegającą na ochronie rynku i wspieraniu wielkich koncernów (czeboli), które – tak jak LG, Samsung czy Hyundai – urosły do rangi przedsiębiorstw globalnych. Zapominają o minusach: tego typu firmy były często monopolistami na rynku wewnętrznym, co odbijało się na ich koreańskich klientach i lokalnej konkurencji. Firmy te są już bardziej niezależne niż kiedyś, a gospodarka bardziej otwarta. Niemniej jest to dla wielu przykład, że właśnie tak powinno się prowadzić politykę gospodarczą. Za wzór stawiane są także Tajwan i Singapur, który ma z jednej strony bardzo wolnorynkową gospodarkę, z drugiej zaś należy do niego duża część krajowej gospodarki.

60 największych na świecie, wśród nich Chiny, Brazylia czy Norwegia. Jednak kapitalizm państwowy to nie tylko państwowa własność. – W tym systemie państwo już nie zarządza centralnie gospodarką. Funkcjonuje w nim konkurencja i działają firmy prywatne, jednocześnie wykorzystuje się rynek do osiągania celów politycznych. Służą do tego przedsiębiorstwa państwowe, a także różne formy ingerencji w gospodarkę, takie jak np. cła czy różne formy regulacji funkcjonowania przedsiębiorstw prywatnych. Przykładowo chińskie spółki technologiczne są formalnie prywatne, jednak państwo ma na nie nieporównywalnie

FOT. PANOS PICTURES/REUTERS

Innym argumentem na rzecz państwowego interwencjonizmu jest to, że państwo ma mieć duży wpływ na innowacyjność. Taką tezę stawia włosko-amerykańska ekonomistka Mariana Mazzucato, autorka książki „Przedsiębiorcze państwo”. Jej zdaniem sukcesy wielkich firm, takich jak np. Apple, biorą się głównie ze sprzedaży rozwiązań opierających się na odkryciach, których dokonano za publiczne pieniądze, nie zaś w ramach własnych badań. Bez wsparcia państwa nie powstałyby m.in. GPS ani ekrany LCD. Z kolei na rzecz upaństwowienia banków przemawiać ma to, że dzięki temu możliwe ma być łatwiejsze prowadzenie polityki kredytowej lepiej zaspokajającej potrzeby krajowej gospodarki.

DOBRY I ZŁY ETATYZM

Chociaż obecnie nastała intelektualna moda na etatyzm (tak jak wcześniej mieliśmy modę na liberalizm), to jednak wydaje się, że dla polityków (i popierających ich wyborców) najważniejsze jest poczucie sprawczości – mniemanie, że to do nas należy podejmowanie decyzji. A tego nieprzewidywalna i samosterowna gospodarka rynkowa nie zapewnia. W przypadku interwencjonizmu czy państwowej aktywności w gospodarce wiadomo, kto trzyma cugle i kto jest odpowiedzialny za efekty.

Niemniej te efekty mogą, ale nie muszą być pozytywne. Są kraje, w których wyniki są koszarne – przykładowo

stwo lepiej niż rynek wskaże kierunki, w ramach których krajowe przedsiębiorstwa mogą być konkurencyjne. Z reguły jest to działanie reaktywne, opierające się na obserwacji innych rynków (tak jak w przypadku zachłystnięcia się w Polsce elektromobilnością). Do tego percepcję wykrzywia chęć postawienia sobie pomników (np. „odbudowa” przemysłu w Polsce – mimo że i tak jesteśmy jednym z bardziej zindustrializowanych krajów w UE) lub stosowania marketingowych zagrywek. Politycy – zwłaszcza w krajach demokratycznych – przez wyborców nie są bowiem rozliczani z efektów finansowych przedsiębiorstw państwowych, ale z tego, jakie samopoczucie w nich wywołają.

Nie znaczy to jednak, że kapitalizm państwowy będzie działał lepiej w państwie autorytarnym. Przeciwnie – pozbawione kontroli w postaci niezawisłych sądów jest ono narażone na to, że przedsiębiorstwa państwowe staną się dojmowymi krowami, a celem ustalania kierunków polityki przemysłowej będzie zaspokojenie potrzeb różnych grup interesu. Jak wskazuje Kurlantzik, z reguły bardziej efektywny jest kapitalizm państwowy w państwach demokratycznych, takich jak Norwegia, lub przynajmniej o demokracji nieco ograniczonej, ale nie popadających w autorytaryzm – takich jak Singapur czy Malezja.

U NAS TO NIE DZIAŁA

Polska na tle innych krajów prezentuje się jako państwo bardzo etatystyczne (choć nie popadające według Kurlantzika jeszcze w kapitalizm państwowy). Jesteśmy na czwartym miejscu wśród państw OECD (za Francją, Szwajcarią i Litwą), jeśli chodzi o wskaźnik PMR-PO mówiący o poziomie znaczenia własności państwowej dla gospodarki. Opowieści o masowej i błyskawicznej wyprzedaży majątku po 1989 r. można włożyć między bajki – obecnie państwo ma udziały jeszcze w 368 spółkach. I to nie tylko uznawanych za ważne z punktu widzenia interesów państwa, takich jak spółki energetyczne, lecz także w produkującym ceramikę Bolesławcu czy włóczęk Arelanie.

Nie wygląda na to, by w Polsce SOE działały lepiej niż prywatne, ale wręcz przeciwnie. Jak wynika z raportu OECD „Reassessing the Role of State-Owned Enterprises in Central, Eastern and Southern Europe”, opublikowanego w czerw-

cu 2019 r., firmy państwowe mają w Polsce gorsze wyniki niż prywatne (zarówno krajowe, jak i zagraniczne). Nie jest to jedynie „zasługa” obecnego rządu – eksperci wskazują, że w latach 2014–2016 dochód na pracownika, który wypracowywały polskie SOEs, był wyższy tylko od tego wypracowywanego na Ukrainie, gdy spojrzymy na państwa Europy Środkowej i Wschodniej (warto jednak na obronę dodać, że tylko w Estonii wynik ten był lepszy niż w przedsiębiorstwach prywatnych). Jednak także efekty polityki przemysłowej sterowanej przez rząd Mateusza Morawieckiego nie budzą zachwytu, gdy spojrzymy choćby na mizerne wyniki budownictwa mieszkaniowego w ramach programu „Mieszkanie Plus”, wspierania elektromobilności lub odbudowy polskiego przemysłu stocznio-owego. Nie od dziś spółki Skarbu Państwa stanowią idealne synekury polityków zdobywających władzę i źródło wsparcia finansowego dla rządzących obozów politycznych, co zdecydowanie jest niekorzystne dla obywateli.

Jednak mimo to kapitalizm państwowy może zdobywać na świecie coraz większe znaczenie. Nie tylko chcąc kopiować rozwiązania, które – w pewnych warunkach – przyniosły pewne sukcesy, lecz także dlatego, że mniejsze państwa będą musiały dostosować się do nowych reguł gry, które narzucają inni. – Mamy do czynienia z rosnącą konkurencją między USA a Chinami, której narzędziem są różnego rodzaju ingerencje państwa. Ponadto Chiny inwestują w wielu rejonach świata, są obecne np. w Afryce. Możliwe, że państwa afrykańskie będą w związku z tym chciały, albo nawet musiały, naśladować metody stosowane przez Pekin – mówi Kwiatkowski.

W porównaniu z odesłanym na szczęście do lamusa realnym socjalizmem kapitalizm państwowy ma tę zaletę, że jest mniej doktrynerski i uwzględnia zalety gospodarki rynkowej. Jednak opiera się na podobnym założeniu: eksperci wiedzą lepiej, czego potrzebują konsumenci, niż oni sami, podejmując suwerenne decyzje i w ten sposób wzmacniając lub osłabiając firmy prywatne. Zanim więc zachłystniemy się „chińskim snem”, pamiętajmy, że rozwiązania stosowane przez azjatyckie tygrysy przyniosły im sukces w specyficznych warunkach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja”.

W porównaniu z odesłanym na szczęście do lamusa realnym socjalizmem kapitalizm państwowy ma tę zaletę, że jest mniej doktrynerski i ma świadomość, jakie zalety ma gospodarka rynkowa

w Rosji czy Wenezueli. Największą zaletą etatyzmu jest to, że dzięki niemu można osiągnąć efekt skali. Zwłaszcza gdy prywatnemu biznesowi brakuje kapitału, państwo może wyciągnąć pomocną dłoń, udzielając kredytów, wspierając badania lub samodzielnie prowadząc biznes. Jednak nie ma powodu, by uważać, że pań-

Wtorek 21:30

KONIEC systemu

Zapraszam
Dorota Kania



Oglądaj również Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl f27a765446



Tomasz Kaźmierowski

To dziś druga po Niemczech gospodarka Europy. I pierwszy producent wina. Jej trunki, oliwy, owoce, kulinaria, architektura, wzornictwo, moda i kosmetyki mają nie mniejsze powodzenie niż jej muzyka, literatura i sztuki plastyczne

Zamiast lawirować i kazać państwu się domyślać, gdzie dokładnie ta Karolensja (właściwie: Carolença) leżała i cóż takiego się z nią stało, od razu powiem: istnieje i dziś. Rozciąga się od biskajskiego wybrzeża Atlantyku na północnym zachodzie i od wschodnich wybrzeży iberyjskich na południowym zachodzie daleko ku wschodowi, wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, hen, aż po San Remo i Savonę. A jeszcze obejmuje Baleary. Na północy zajmuje sporą część Alp, wraz z najwyższym tam Cime de l'Argentera (3297 m n.p.m.) i przepastny Masyw Centralny w środku – choć nie w samym sercu – Francji.

Z południa na północ ciągnie się przez 1200 km, ze wschodu na zachód przez około tysiąc. Zamieszkuje ją blisko 50 mln ludzi.

Jej fundament to nie tylko Rzym. Wcześniej w granicach przyszłej Karolensji przez pół millennium kwitły wzdłuż tysiąckilometrowego pasa miasta-państwa Greków fokajskich. Idąc od południowego zachodu: Hemeroskopejon, Saigante (okolice Walencji), Rhoda, Emporion (okolice Roses), Besara, Agete (Agde i Beziers), ich matecznik Massalia (Marsylia), a dalej Antipolis, Nikaja i Mo-noikos (Antibes, Nicea, Monaco).

Od kulturowego bogactwa zwariować tu nie trudniej niż od podmuchów mistralu.

Bez oksytańskiego światła ciężko wyobrazić sobie przecież nie tylko karo-leńskie oczywistości, takie jak Cézanne, Dalí, Miró, Tapies czy Toulouse-Lautrec, lecz także van Gogha i Picassa, i Braque'a, i Matisse'a.

A język oksytański Mistrala, Beatrice de Die, Wilhelma Akwitańskiego, Victora Gélou czy Bernarda Manciet? A Nostradamus? Lawenda? Oliwki? A butifarra, pansette, cassoulet, tapenade, friscieu? A bouillabaisse? A ostrygi z Port Leucate? Anchois z Collioure?

ZNIKAJĄCA AUTENTYCZNOŚĆ

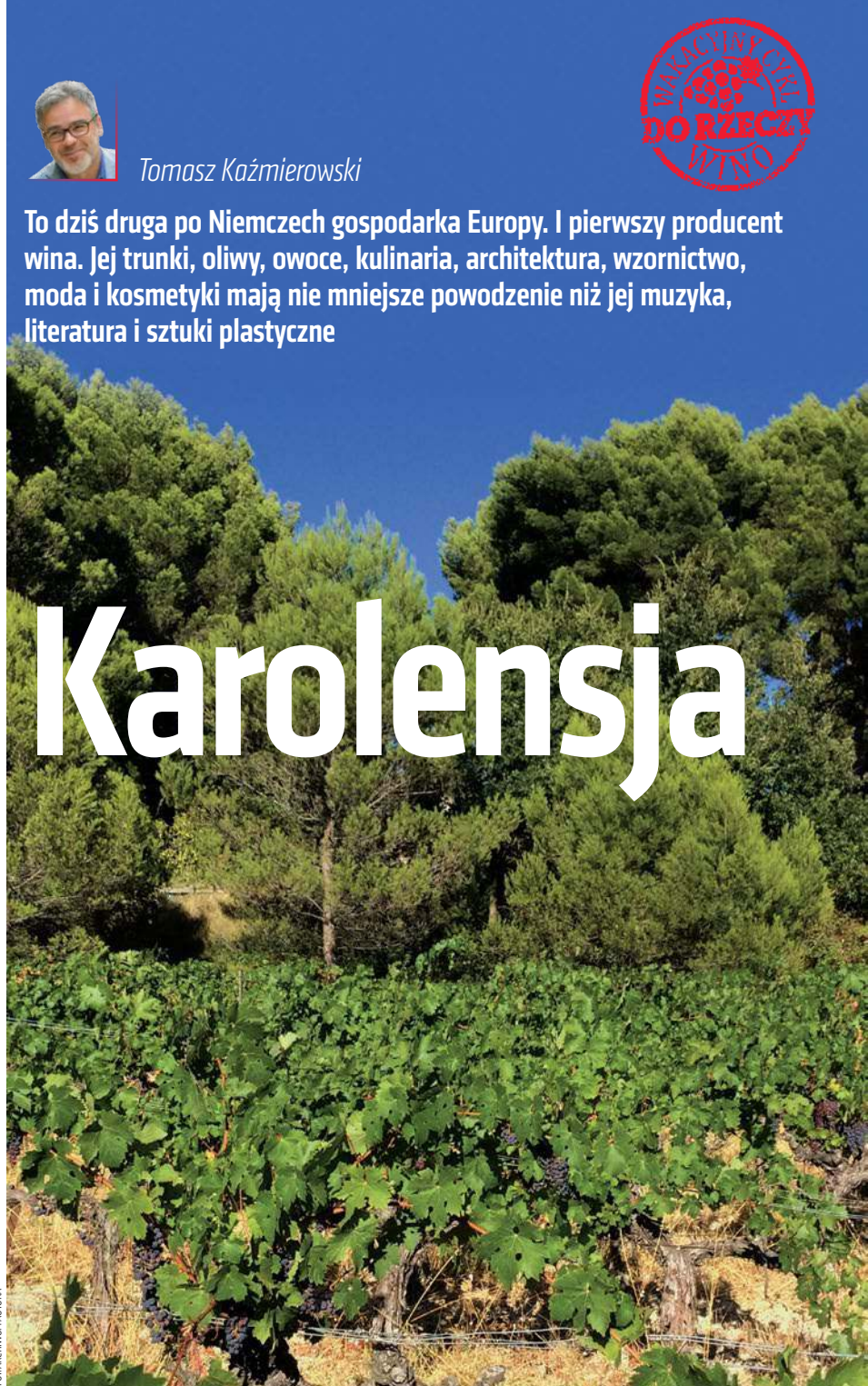
Od czasu „odkrycia” Lazurowego Wybrzeża przez Anglików, Collioure i Deltę Rodanu przez wielbicieli malarzy czy wreszcie plaż Katalonii przez europejskich deweloperów niektóre obszary Karolensji stopniowo tracą swój charakter. Stare uprawy są zarzucane, przeznaczenie tradycyjnych „mas” i siedlisk jest zmieniane lub lekceważone. W miasteczkach miejscem spotkań przestają być kościoły, lokalne sklepy i rynki, a stają się

nimi zazwyczaj ulubione bary przyjezdnych, z ich marnym piwem, najlichszym rosé i czym tam jeszcze.

Wciąż można jednak trafić do absolutnie niepowtarzalnych, jeszcze autentycznych miejsc, którym tradycyjni mieszkańcy wciąż nadają ton, nawet jeśli to już nie rolnicy i rzemieślnicy, a winiarze, właściciele szynków i pensjonatów.

W Prowansji taki charakter utrzymuje szczególnie wschodnia część Luberon, z ledwie tkniętymi Cucuron, Bonnieux

i Auribeau, czy przełom Verdon – z Rougon, Chasteuil i Moustiers-Sainte-Marie (w maleńkim Rougon polecam Le Mur D'Abeilles, bezpretensjonalną naleśnikarnię z zabójczym widokiem, a w Moustiers zaskakująco wyrafinowane Les Santons położone nad wodospadem). W zenicie francuskich wakacji, w połowie sierpnia, wchodziłem uznawanymi za najciekawsze (i zdecydowanie nie najtrudniejsze) szlakami na Mourre Nègre w Luberon, a w Masywie Verdon na



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Grand Margès i Teillon – i w ciągu trzech dni minąłem się z dwiema osobami!

Podobną rozłąkę z bieżącą gwarantują inne części Karolensji: wulkany Owernii, pirenejska dzicz Ariègeois czy bazaltowe cuda katalońskiej Garroty.

Blżej ludzkich osad niemal wszędzie matowo odbijają się od słońca oliwki, tu i tam mają też orzechy i migdałowce, a częściej przebogate sady owocowe. Wszędzie, od Walencji do Savony, od Lambesc do Jurançon, uwagę przyciągają winnice. Te na wąskich skalnych tarasach i te na ostro nachylonych skłonach, te skąpane w skwarze płaskowyżu i te z nadmorskiej niziny. Zajmują trudny do wyobrażenia przestwór, grubo przekraczający pół miliona hektarów.

A wszędzie, jak do niedawna dialekty oksytanoromańskie, królują niemal te same szczepy. Czerwone to w pierwszej kolejności – rzecz oczywista – wielka czwórka: grenache noir, syrah, mourvèdre (monastrell), carignan. Wśród pozostałych czerwonych odmian są jeszcze cinsault, terreta, fer servadou, malbec, a także tan-nata z Madiran.

Jako że trudniej o wybitne białe wina Carolency podam jedynie, iż kluczowe szczepy to marsanne, roussanne i grenache blanc. Koniecznie też wspomnę langwedocki piquepoul, dający bodaj najbardziej mineralne białe wina regionu.

Przy całym uwielbieniu dla tych ziem muszę (ponownie) przypomnieć, a nawet zastrzec, że tutejsze wina – o ile bordeaux zaliczymy do ziemi niczyjej – wciąż znacznie częściej niż północne popadają w znane herezje: nadmiar słodczy i alkoholu, niezdrową chwilami koncentrację przy jednoczesnym braku mineralności, kwasowości... Słowem – przy braku równowagi. Świetne winiarskie domeny Carolency, takie jak choćby gauby, bonneau, daumas cassac, pibarnon czy trévallon, dają nadzieję, że z tutejszymi winami będzie coraz lepiej przy zachowaniu ich rozsądnych cen, bo Carolenca to w końcu kraj o największym areale upraw winorośli w Europie!

WYRAFINOWANIE

Ostatnią prowansalską wizytę odbyłem w Domaine de Trévallon. Gdy przyjechałem dość wczesnym rankiem, pan Dürrbach oprowadził mnie po najbliższych parcelkach, które jeszcze oddawały nocną rosę. W końcu z jednej strony mamy tu ostatni, najdalej wysunięty na południe grzbiet Alpilles, a z drugiej Bouches du Rhone – Rodan tuż przed przepoczwarcze-

niem się w szeroką deltę. Gdy wyjeżdżałem po południu, było już 37 stopni w słońcu, a gospodarz chwalił się kanałem zasilającym jego winnice, płynącym wzdłuż starej, przedrewolucyjnej drogi do Arles. Domaine de Trévallon to miejsce już legendarne, a przy tym znacznie bardziej – w dobrym tego znaczeniu – wyrafinowane niż większość prowansalskich i południoworodańskich przedsięwzięć. Nie tylko, zresztą, winiarsko.

Widomo, Eloi Dürrbach pracuje na siedlisku, które kupił jego matka, Jacqueline (autorka sławnych gobelinów, z ONZ-owską „Guernicą” na czele) i ojciec, René, rzeźbiarz, przyjaciel Picassa, Légera, Gleizes’a i Giono. René, pomimo skrajnie egalitarystycznych przekonań, zdobył uznanie najbardziej witrażami dla kościoła w Epenoy oraz fascynującymi gigantami dla bazyliki Notre-Dame d’Espérance w Charleville-Mézières.

Wina Eloi Dürrbacha co najmniej od dwóch dekad błyszczą bardziej niż inne w Prowansji, choć daleko im do prowansalskiego archetypu wina. Były biodynamiczne, zanim ten termin wymyślono. Co więcej, czerwone powstają z udziałem nieprowansalskiego cabernet sauvignon.

Obok win z lat 2014, 2015 i 2016 miałem nieoczekiwaną przyjemność zdegustowania paru starszych roczników jego rouge. To niezapomniane wrażenia. Pierwsza myśl to „Północ Rodanu. Nie – Stoneczna twarz Burgundii!”. Poza tym skórą, trufłą, pieprzem, cynamonem, podpowiedziano mi też, że to, czego nie umiałem określić, to czarny bez i nie w pełni dojrzałe jeżyny... Jedwabiste, wyważone, harmonijne. Słowem – winiarska homeostaza. Wiem, wystarczy. Krótko zatem: świetne, niestety, w najlepszych rocznikach – rzadkie i drogie.

Nie sposób przy tej okazji nie powiedzieć, jakkolwiek mało odkrywcze by to było, że jednak główne zasługi w wyniesieniu winiarstwa Roussillon położył dawny mistrz Europy w boksie – Gérard Gauby. Skończył z typowym dla Południa nadmiarem słodczy i alkoholu, w zamian za to pokazując strzelistą owocowość, mineralność, wysublimowanie, długość.

Najwyższym wcieleniem ambicji boksera jest muntada, a dokładniej Domaine Gauby, Côtes du Roussillon-Villages, Muntada.

Oddalone od Roussillon o blisko 400 km na północny wschód okolice środkowego (dla winiarzy: północnego) Rodanu nie są mi obojętne, nie tylko z winiarskich wzglę-

dów. Pochodził stąd mój dziadek, francuski wojskowy z czasów drugiej wojny. Nigdy go nie poznałem. Większość wojny spędził w niemieckim obozie jenieckim, gdzie raczej nie pił wina. Jednak wcześniej...

W Lyonie i Modane do gotowości bojowej przygotowywał swoich rozleniwionych rezerwistów 99. Pułku Piechoty Alpejskiej płk Lacaze. Rezerwiści ledwie radzili sobie z wręczonymi im berthierami, lebelami i chatellerault. Za to ciągnęli jak muchy do miejscowego wina i pozostałych, klasycznych atrakcji; może z wyjątkiem koni.

Zwykli żołnierze zadowalali się na ten przykład prostymi butelkami bez etykiet, choćby z pobliskiego Crozes-Hermitage. Co innego oficerowie. I co innego l’Hermitage, maleńkie królestwo syraha, marsanne i roussanne, już wtedy szanowane, sprzedawane w co lepszych restauracjach Lyonu. Dajmy na to – w La Mère Brazier.

Strażnicze Lyonu od 1921 r., jego starej, dobrej kuchni, burżuazyjnie nobliwej, po oficersku eleganckiej, przy tym opartej na tradycji zbudowanej na skrzyżowaniu wpływów masła i oliwy, wołowiny i ryby, warzyw południa i północy, czekolady i nugatu. Amalgamat ten dopełniają, rzecz jasna, wina, raczej „chłodnych” jeszcze Beaujolais, Sabaudii, Jury i Burgundii od północy i północnego wschodu i przepastnej południowej studni apelacji rodkańskich, które charakterem potrafią sięgnąć głębokiego Orientu.

Gołąbki w figach, karczochy w foie gras, delikatna, soczysta barwana, wołowina z Charolais, wreszcie confit z rabarbaru i truskawek oraz madeleines aux amandes... Serów nie wspomnę... Polecam (La Mère Brazier, 12 rue Royale, Lyon).

Może to jednak wina mojego dziadka, że smakują mi tutejsze wina.

A najbardziej hermitage od Marca Sorrela z Tain. Na przykład rocznik 2002, wyjątkowo udany. Równowaga, tyle Południa, ile trzeba. Chociaż to już północna rubież Karolensji – nie mogłem sobie odmówić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Kaźmierowski jest założycielem Fundacji *Identitas*, która od 2014 r. przyznaje Literacką Nagrodę *Identitas*. W ostatnich latach wydał „Podróż z kwasem, garbikiem i słodyczą” (wyd. Zys i S-ka, 2016), „Winnik. Krople z podróży” (wyd. Noart, 2017) oraz „To było teraz” (wyd. Noart, 2019). Publikuje też regulamin na tematy winiarskie, podróżnicze i kulturowe, m.in. na Kroplezpodrozy.pl. *Pije wino od późnego Messnera.*



Z prof. Wiesławem Jędrzejczakiem,
wieloletnim konsultantem krajowym
ds. hematologii

rozmawia Katarzyna Pinkosz



Nowe leki, nowe szanse

KATARZYNA PINKOSZ: Nowotwory krwi wydają się wyjątkowo trudne do leczenia, a jednak to odkrycia w ich terapii są siłą napędową onkologii. Odstawialiśmy pod względem możliwości stosowania nowych leków w Polsce, jednak ostatnie zmiany na listach refundacyjnych przyniosły poprawę w niektórych nowotworach hematologicznych. Jak pan to ocenia?

PROF. WIESŁAW JĘDRZEJCZAK: To prawda. Dzięki tym zmianom jesteśmy już w bardzo dobrej sytuacji w leczeniu szpiczaka – mamy trzy nowoczesne leki. Na listach refundacyjnych pojawił się też blinatumomab w opornej ostrej białaczce limfoblastycznej. To innowacyjny lek, tzw. podwójne przeciwciało, które wiąże komórkę układu odpornościowego z komórką nowotworową, dzięki czemu ta ostatnia zostaje zniszczona.

Jakich jeszcze ważnych leków brakuje pacjentom w Polsce?

Na pewno problemem jest brak leków dla chorych z oporną przewlekłą białaczką szpikową i ostrą białaczką limfoblastyczną z obecnością chromosomu Philadelphia, czyli ponatynibu. W leczeniu

opornej przewlekłej białaczki limfocytowej pacjenci mają dostęp do nowych terapii: ibrutynibu i wenetoklasu, jednak tylko ci, którzy mają określone zmiany genetyczne. Grupa leczonych powinna być rozszerzona o chorych z postacią oporną choroby.

Z kolei dla pacjentów z ostrą białaczką szpikową i mutacją genu FLT3 pojawił się na świecie pierwszy lek celowany, midostauryna. W Polsce nie jest on jeszcze dostępny. Jeśli chodzi o chłoniaki, to problemem jest to, że rytuksymab można w Polsce stosować tylko u chorych z chłoniakiem rozlanym z komórek B tylko w leczeniu pierwszorazowym. Dobrze by było, żeby można go było też stosować u tych pacjentów, u których choroba nawraca. Problemem jest też chłoniak z komórek płaszczka: w tym wskazaniu nie jest w Polsce dostępny ibrutynib. Niedawno jednak Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji zmieniła swoją opinię na temat tego leku na pozytywną, jest więc nadzieja, że będzie go można stosować.

Częstym problemem jest to, że nowe leki są dostępne w Polsce w programach lekowych tylko dla bardzo wyselekcjonowanych grup pacjentów. Pozostali nie mają możliwości terapii.

Problemem są finanse, jako państwo przeznaczamy określoną sumę pieniędzy na zdrowie. Zawsze stałem na stanowisku, że jako społeczeństwo jesteśmy najbardziej odpowiedzialni za chorych najmocniej poszkodowanych przez los. Jeśli nie możemy zabezpieczyć leku dla wszystkich, to trzeba wskazywać grupy pacjentów, które mogą najbardziej skorzystać na leczeniu i najbardziej tracą na jego niedostępności. Dzięki temu podejściu udało się wiele leków wprowadzić przynajmniej dla niewielkich grup chorych, którzy nie mogli uzyskać remisji innymi metodami i dla których nie ma innej opcji leczenia. Oczywiście dobrze by było, by te leki były dostępne dla większej liczby chorych.

Przełomowe leki w hematologii często nie doprowadzają do wyleczenia, ale dzięki nim chory

może żyć przez długie lata, stale się lecząc.

Wyleczenia są możliwe na razie głównie dzięki przeszczepieniu szpiku, choć ceną jest wysoka toksyczność terapii. Nowe leki, często doustne, trzeba stale przyjmować. W niektórych przypadkach jednak leczenie „tabletkowe” można odstawić i choroba nie wraca. Tak jest u części chorych z przewlekłą białaczką szpikową, leczonych inhibitorami kinaz tyrozynowych. Po kilku latach, gdy chory ma remisję molekularną, można odstawić leki. U połowy osób choroba nie nawraca; u połowy wraca, ale dalej jest wrażliwa na terapię. W przypadku niektórych nowych leków przełomem może stać się ich zastosowanie od początku leczenia – zmienia to rokowanie pacjentów. Być może w przyszłości będą one szerzej wykorzystywane już w pierwszej linii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Wiesław Jędrzejczak – hematolog, wieloletni konsultant krajowy w dziedzinie hematologii, jako pierwszy w Polsce przeprowadził allogeniczny i autologiczny przeszczep szpiku.

Przewlekła nie zawsze oznacza łagodną



Katarzyna Pinkosz

Ten typ białaczki jest inny niż pozostałe nowotwory krwi. Co trzeci chory nigdy nie będzie wymagał leczenia. Jednak u części pacjentów choroba jest oporna i agresywna. Wciąż są w Polsce osoby pozbawione możliwości optymalnej terapii

24 tys. zł – tyle musi zebrać na swoje leczenie co miesiąc Aleksandra Lazar. Przez 10 miesięcy to się jej udawało – dzięki zaangażowaniu rodziny, zbiórkom, koncertom charytatywnym, prowadzeniu bloga i kanału na YT. Miesiąc mija jednak bardzo szybko i potrzebne są kolejne 24 tys.

LEK NIE DLA NIEJ, BO ZA DOBRZE ROKUJE

Aleksandra od wielu lat zmaga się ze wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego, przez pewien czas była nawet na żywieniu pozajelitowym. Trzy lata temu lekarza zaniepokoiły jej bardzo złe wyniki krwi i mocno powiększone węzły chłonne – rosły tak szybko, że na szyi zaczęły utrudniać oddychanie i mówienie. Badania wykazały, że to gwałtownie rozwijająca się przewlekła białaczka limfocytowa (PBL). Aleksandra miała 43 lata, zachorowanie w tym wieku to rzadkość, gdyż najczęściej na PBL zapadają osoby po 60.–65. roku życia. Jako leczenie pierwszego rzutu dostała immunochemioterapię, jednak bardzo źle ją znosiła. Pobyt w szpitalu za każdym razem przedłużał się do kilku tygodni, często konieczne były: przetoczenie krwi, podawanie płytek, osocza.

Do progresji, czyli postępu choroby, doszło jeszcze przed zakończeniem leczenia. To zły czynnik rokowniczy. – PBL znamy jako chorobę przewlekłą, jedna trzecia chorych nigdy nie wymaga leczenia, ale jedna trzecia wymaga leczenia od razu. Jeśli pacjent nie odpowiada leczenie pierwszego rzutu albo szybko dochodzi do progresji choroby, to rokowanie najczęściej jest złe – tłumaczy prof. Krzysztof Giannopolous, kierownik Oddziału Hematologicznego Centrum Onkologii Ziemi

FOT. ADRIAN STOK

■ Lubelskiej. W takim przypadku można zastosować lek nowej generacji, ibrutynib, jednak w Polsce ograniczenia programu lekowego powodują, że jest on dostępny wyłącznie dla chorych, którzy mają określone zmiany genetyczne: delecję 17p lub mutację TP53.

Aleksandra takich zmian nie ma. Lekarze wysłali do ministerstwa prośbę o możliwość zastosowania leku w ramach tzw. RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych), jednak ministerstwo odmówiło. – Tłumaczenie było takie, że w Polsce jest już program leczenia tym lekiem. Tyle że wyłącznie dla osób z określonymi zmianami genetycznymi. Ja ich nie mam, więc zostałam z niczym. Legalna eutanazja w świetle prawa – oburza się Aleksandra.

Próbowała odwoływać się od tej decyzji, lekarze również. – Jeden z urzędników tłumaczył mi, że z ekonomicznego punktu widzenia nie opłaca się mnie leczyć, bo za dobre rokuje – moje leczenie trzeba by było finansować przez wiele lat – dodaje. Rodzina i przyjaciele namówili ją, żeby zbierać pieniądze na lek: 24 tys. zł miesięcznie. Efekty były jednak spektakularne: węzły chłonne zmniejszyły się już po miesiącu, wyniki badań też się poprawiły. – Przez rok byłam osobą leżącą non stop w szpitalach. Dzisiaj jestem sprawna, samodzielna, wróciłam do pracy – mówi.

Nadzieją dla niej (i osób w podobnej sytuacji) jest to, że w kwietniu Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji wydała pozytywną opinię co do rozszerzenia stosowania ibrutynibu na pacjentów z oporną i nawrotową PBL nieposiadających określonych mutacji. AOTMiT powołała się m.in. na rekomendację NCCN (National Comprehensive Cancer Network), ECMO (Europejskiego Towarzystwa Onkologii Medycznej), a także polskich towarzystw naukowych. Również wyniki badania RESONATE, przedstawionego w tym roku podczas zjazdu ASCO (American Society of Clinical Oncology), po sześciu latach obserwacji pacjentów są jednoznaczne: wykazały stałą skuteczność leczenia, niezależnie od obecności mutacji genetycznych.

Niedawno minister wyraził zgodę na udostępnienie leku dla Aleksandry w ramach RDTL, ale tylko na trzy miesiące. – A co dalej? Za trzy miesiące znów mogę być w sytuacji, że będę musiała zbierać pieniądze, a leczenia nie można przerwać. Lekarze mówią, że mam być spokojna, bo psychika w tej chorobie

jest ważna. A jak mam być spokojna, skoro moje życie to zbieranie złotych wózków do złotych wózków i walka z biurokracją? – pyta Aleksandra. Z mężem policzyli kiedyś, ile kosztowało nieskuteczne leczenie: chemioterapie, kłopotów, ciągłe pobytu w szpitalu, przetwarzanie krwi, a do tego konieczność zwolnienia z pracy, renta, niesamodzielność. Wyszło, że to nie mniej niż 24 tys. miesięcznie. Nieleczenie naprawdę się ekonomicznie opłaca?

LEK DRUGIEJ SZANSY

Edward jest starszy od Aleksandry, ma 66 lat, dwie córki, wnuczki. Z PBL zmagają się od 10 lat. Od początku stosowania chemioterapii reagował na nią źle, miał poważne powikłania infekcyjne, gorączki, przeszedł zapalenie płuc, sepsę. Szybko doszło do progresji białaczki. On też nie ma mutacji kwalifikujących do leczenia nowoczesnymi lekami. Miał trochę szczęścia, bo w ramach darowizny dostawał od firmy ibrutynib. – Dzięki temu tata wrócił do życia, mógł spędzać czas z rodziną, z wnukami – opowiada córka Katarzyna.

Niestety, po 3,5 roku leczenia choroba przełamała działanie leku, wyniki badań były coraz gorsze, lekarze zdecydowali o zaprzestaniu terapii. Gdyby Edward miał delecję 17p lub mutację TP53, mógłby dostać wenetoklaks, lek o innym mechanizmie działania, który przyspiesza śmierć komórek nowotworowych. Od stycznia tego roku jest on dostępny w Polsce dla pacjentów, u których choroba przełamała działanie ibrutynibu. Warunkiem jest jednak delecja 17p lub mutacja TP53. Edward tych zmian genetycznych nie ma. – Lekarz wypisał wniosek do Ministerstwa Zdrowia o możliwość zastosowania tego leku w ramach RDTL, jednak wszystkie procedury trwają, a tata słabł w oczach. Nie miał już siły nawet wstawać – mówi Katarzyna. Rodzinie udało się zebrać pieniądze i kupić lek: pieniędzy wystarczyło na trzy miesiące terapii.

– Już po dwóch tygodniach było widać, że działa, wyniki badań się poprawiły. Tata wychodzi z domu, normalnie funkcjonuje. Gdyby nie nasza decyzja o kupieniu leku, już by go na świecie z nami nie było – dodaje Katarzyna.

Delecję 17p lub mutację TP53 ma tylko ok. 30 proc. pacjentów z oporną, nawracającą PBL. Pozostałe 70 proc. tych zmian genetycznych nie ma. W takich przypadkach lekarze w Polsce są bezradni, stają przed dylematem moralnym, czy w ogóle

informować, że jedyną szansą dla chorego jest zbieranie na lek po 20 tys. miesięcznie. – Na co dzień mam na oddziale takich pacjentów. Dochodzimy do takich sytuacji, że lekarz w Polsce szuka markerów złego rokowania, żeby móc zastosować leczenie – mówi prof. Giannopolous.

OGRANICZONA W CZASIE

Oba leki – ibrutynib i wenetoklaks – w opornej PBL stosuje się w sposób ciągły dopóty, dopóki leczenie jest skuteczne, to znaczy do progresji choroby. Niedawno zakończone badania kliniczne MURANO wykazały jednak, że bardzo skuteczna u chorych z oporną, nawrotową PBL może być również terapia trwająca tylko dwa lata, ale przy zastosowaniu dwóch leków. – Podawanie rytuksymabu z wenetoklaksem powodowało redukcję ryzyka progresji choroby u więcej niż 80 proc. pacjentów, a u 60 proc. nie stwierdzono choroby resztkowej, czyli nie stwierdzono komórek białaczki – opowiada prof. Giannopolous.

Po dwóch latach takiej terapii chory już nie musi być leczony. – Wyniki badań są spektakularne, dotyczą dwóch lat obserwacji po leczeniu: 85 proc. chorych, którzy dostawali taką terapię, nie wymagało dalszego leczenia. Nie wiemy jeszcze, jak długo ten efekt będzie się utrzymywał, jednak u części pacjentów być może będzie on wieloletni. Nie mówimy jeszcze o wyleczeniu, jednak jest to bardzo skuteczny schemat terapii – dodaje prof. Giannopolous. Plusem terapii ograniczonej w czasie jest dla pacjenta zmniejszenie ryzyka działań niepożądanych przy długotrwałym stosowaniu leków, a dla płatnika: ograniczenie kosztów.

Lekarze chcieliby mieć możliwość stosowania u pacjentów z oporną i nawrotową PBL terapii ograniczonej w czasie, czyli połączenia wenetoklaksu z rytuksymabem, bo taki schemat wykazuje wysoką skuteczność. Chcieliby też móc stosować ibrutynib i wenetoklaks u chorych bez delecji 17p i mutacji TP53. Brak tych zmian genetycznych nie może przecież wykluczać chorych z możliwości leczenia, gdy jest ono jedyną szansą. Leki różnią się sposobem działania, działaniami niepożądanymi, oba mają jednak wysoką skuteczność. – W badaniach stosowano już nawet połączenie obu tych leków z bardzo wysoką efektywnością, jednak na takie schematy w praktyce klinicznej trzeba będzie zaczekać – dodaje prof. Giannopolous. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWOŚĆ OD DE TOMASO

De Tomaso – słynny włoski producent samochodów sportowych, do którego niegdyś należało m.in. Maserati – po przejęciu przez inwestorów z Hongkongu powraca na rynek z nowym autem. Chińczycy pokazali światu model P72. Jeżdżące dzieło sztuki to idealne połączenie stylu retro i nowoczesnej inżynierii. Niestety, oficjalnie nie wiadomo jeszcze, jaka jednostka znajdzie się pod maską. Spekuluje się jednak, że nowość od De Tomaso od zera do 100 km/godz. powinna przyspieszać w niecałe trzy sekundy.

Cena: 750 tys. euro, czyli nieco ponad 3,2 mln zł. Zainteresowani już mogą składać zamówienia. I nie mają dużo czasu, bo produkcja jest limitowana do 72 egzemplarzy. Dostawy planowane są na jesień 2020 r. i wiosnę 2021 r.



LEXUS LIMITOWANY

Zaledwie 50 sztuk prestiżowego modelu LX570 chce sprzedać w tym roku importer Lexusa na polskim rynku. Za auto o długości ponad 5 m zaprojektowane z myślą o bogatych szejkach i amerykańskich milionerach trzeba zapłacić

650 tys. zł. W zamian szczęśliwy kierowca otrzymuje jednak gigantyczny samochód z pięknie brzmiącym, rasowym silnikiem V8 o pojemności 5,7 l. Dzięki temu pięciosobowa luksusowa terenówka ze stałym napędem na wszystkie koła przyspiesza od zera do pierwszej setki



w zaledwie 7,7 s. Nie jest to więc auto dla oszczędnych ekologów – średnie spalanie wynosi bowiem ok. 14 l/100 km.

Z zewnątrz auto wygląda majestatycznie. Z kolei minimalistyczne wnętrze wykończone jest skórą i drewnem, a pasażerowie mają do dyspozycji czterostrefową klimatyzację oraz

nowoczesne wyświetlacze zamontowane na oparciach przednich foteli.

PÓŁ MILIONA ZA PRĘDKOŚĆ

Mandat w wysokości 120 tys. euro, czyli ponad 512 tys. zł, musi zapłacić słynny hokeista Rasmus Ristolainen. Fińska policja złapała go bowiem, jak swym mercedesem G500 pędził 81 km/godz. po obszarze, na którym obowiązuje ograniczenie do 40 km/godz.

Grzywna jest tak wysoka, bo w Finlandii wysokość mandatu uzależniona jest od zarobków, dzięki czemu kara jest tak samo uciążliwa zarówno dla biednych, jak i bardzo bogatych. Poza wysoką grzywną hokeista musiał się też pogodzić z utratą prawa jazdy na trzy miesiące. W Polsce nawet największy milioner za podobne wykroczenie zapłaciłby góra 400 zł. ©© **Jacek Przybylski**



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Żartowniś Łuba

Wielkim i przeżabawnym facejoniście był ok. 1640 r. szlachcic Jan Faustyn Łuba herbu Lubicz, który podpisywał się na różnych listach i papierach jako carewicz moskiewski. Tym samym uważał się w żartach za trzeciego samozwańca, dwaj poprzedni o imieniu Dymitr wywołali wojnę domową w Moskwie na początku XVII w.

Niespodziewanie owe krótko- i chwilowo stały się powodem awantury. Jak podaje w pamiętnikach Albrycht Stanisław Radziwiłł, pewien szalony ruski pop powędrował do Moskwy i zawiadomił cara, że w Polsce jest człowiek, który „podaje się za dziedzica Dymitra i podpisuje jako car, to jest książe”. Pokazał też wielkiemu księciu Michałowi Fiodorowiczowi Romanowowi jakiś dokument z podpisem Łuby. Na efekty nie trzeba było czekać długo – car batiuszka zawrzał gniewem. W 1643 r. wysłał z poselstwem do Rzeczypospolitej Aleksego Lwowa i dumnego diaka Puszkina, którzy zażądali zbadania sprawy przebywających tutaj samozwańców. Ponieważ zaś królowi Władysławowi, szykującemu się do wojny z Turcją, zależało wówczas na uporządkowaniu spraw z Moskwą i zawarciu sojuszu, sprawa zrobiła się gardłowa.

Albrycht Stanisław Radziwiłł nie krył, że wszystko zaczęło się od żartów. Otóż w czasie wojny z Moskwą kanclerz litewski Lew Sapieha wykreował własnego samozwańca, gdyż kazał nazywać swojego sługę – owego Jana Faustyna Łubę – carewiczem. Aleksander Kraushar idzie jeszcze dalej, podając, że bohater był synem żołnierza królewskiego – Dymitra, który zginął w 1619 r. pod Smoleńskiem, a jego niepełnoletnim potomkiem zaopiekował się Lew Sapieha. Kanclerz zwał go dla żartu



dymitrowiczem, z czego pospólstwo wywnioskowało, że jest to kolejny z samozwańców – podających się za cudownie uratowanego syna cara Iwana Groźnego lub też za Dymitra Samozwańca II, który został zamordowany przez jednego ze swoich dworzan w 1610 r.

Oliwy do ognia dolali posłowie królewscy, którzy prowadząc w 1640 r. rozmowy z Moskwą o ostatecznym ustaleniu granic, zaszantażowali carskich wysłanników, grożąc wykreowaniem i poparciem kolejnego fałszywego Dymitra. To wszystko sprawiło, że Moskwa – wiedząc, iż Władysławowi IV zależy na nawiązaniu dobrych stosunków – zażądała wydania Jana Faustyna, grożąc zerwaniem rozmów między państwami.

W odpowiedzi senatorowie ściągnęli Łubę do Warszawy, a w tym samym roku wysłano go do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego w poselstwie Samuela Sokolińskiego, aby naocześnie przekonać cara i jego doradców, że nie jest on żadnym samozwańcem. Poselstwu nie było jednak do śmiechu, bo w stolicy czekał ponoć kat, a Moskale chcieli definitywnie pozbyć się kolejnego rzekomego, budzącego przerażenie pretendenta do tronu. Sokolińskiemu

udało się jednak nie dopuścić do stracenia nieszczęśnika – potajemnie wywiózł go z powrotem do Rzeczypospolitej. A chociaż Łuba zaprzysiągł, że nie jest żadnym carewiczem, Moskwa daleka była od uspokojenia.

Sprawa ciągnęła się dalej – w 1646 r. przyjęta została pod naciskiem carskich posłów konstytucja sejmowa „Deklaracja o Łubie szlachcicu polskim”. Zakazywała ona pod karą gardła podawanie się przez kogokolwiek ze szlachty i z pospólstwa za carewiczów moskiewskich, Janowi Łubie zaś zabraniała wyjazdów za granicę. A wszystko w imię „nierozzerwania” pokoju i przyjaźni z Moskwą. Był to jawny zamach na wolność szlachecką i precedens – bo car mieszał się w wewnętrzne sprawy Korony i Litwy. Konstytucja groziła także infamią wszystkim żołnierzom i sługom, którzy zgłaszałyby się pod rozkazy samozwańców.

Co się stało potem z Łubą? Nie wiadomo; być może, jak chce Siergiej Sołowiow, zginął w czasie walk z Kozakami Chmielnickiego. Z kolei Franciszek Siarczyński w „Obrazie wieku panowania Zygmunta III” podaje fantastyczną historię. Otóż w 1648 r. bohater miał wyjechać do Danii, chroniąc się pod panowaniem Fryderyka Oldenburgskiego, gdzie jednak dopadli go rozwścieczeni Moskale. Król zaciągnął bowiem w Moskwie dług, który car obiecał darować, jeśli wyda mu się Łubę. Ponoć podstępem zwabiono go na statek w Lubecie i odwieziono do Moskwy, gdzie 31 grudnia 1649 r. zakneblowanego postawiono przed carem. Zaprezentowano też jakąś kobietę, która rozpoznana go jako swego syna. Następnie nieszczęśny Łuba został ścięty i poćwiartowany, a jego ciało rzucono psom na pożarcie. Jednak żadne inne źródła nie poświadczają tych rewelacji. ©

HISZPAŃSKA PAELLA

JOLANTY KLESER

Biorąc udział w drugiej edycji „MasterChefa”, od którego zaczęła się moja wielka przygoda z gotowaniem, postawiłam na hiszpańską kolorową paellę. To danie już zawsze będzie mi się kojarzyć z odwagą i ze zmianą mojego życia. Kuchnia hiszpańska jest zresztą jedną z moich ulubionych. Do paelli możesz dodać rybę lub kurczaka, ja jednak najbardziej lubię ją z krewetkami i świeżymi mullami. Na co dzień uczę innych, jak ją przygotować w Pracowni Smaku w samym sercu Katowic.

Składniki:

- 50 ml oliwy
- 2 grillowane czerwone papryki
- szczypta szafranu
- 250 g kiełbasy chorizo
- 1 cebula
- 2 ząbki czosnku
- sól morska i pieprz
- łyżeczka papryki wędzonej
- 300 g ryżu do paelli
- 2 pomidory lub 400 g pomidorów z puszek
- 1 litr bulionu
- 200 ml białego wytrawnego wina
- garść obranych krewetek
- garść świeżych mulli
- 150 g zielonego groszku
- 1 mały pęczek świeżej natki pietruszki
- 2 cytryny

Przygotowanie:

Podgrzej bulion i dodaj do niego szafran. Uważaj z ilością, wystarczy naprawdę szczypta.

Na dużej patelni rozgrzej oliwę, podsmaż plasterki

chorizo. Na powstałym tłuszczu podsmaż pokrojoną w kostkę cebulę. Potem dorzuć grubo posiekany czosnek oraz posiekane łydźki natki pietruszki. Przypraw solą, pieprzem i wędzoną papryką. Dorzuć ryż i całość mieszaj, aż ryż przejdzie wszystkimi smakami. Podlej winem i poczekaj, aż odparuje. Dodaj obrane i pokrojone w kostkę pomidory, zalej bulionem i po raz ostatni zamieszaj i spróbuj. W razie potrzeby dopraw do smaku.

To ostatni moment, aby każde ziarenko ryżu zostało dokładnie wymieszane ze wszystkimi składnikami. Hiszpanie zostawiają potrawę dalej bez mieszania, aby na dnie utworzyła się lekka skorupka. Doprowadź bulion do wrzenia, a następnie gotuj na małym ogniu przez 15–20 min. Po tym czasie ryż powinien być już ugotowany, ale nieco twarde. Dodaj teraz owoce morza i groszek. Smaż jeszcze przez 5–10 min.

Następnie przykryj paellę ściereczką kuchenną na kilka minut, aby potrawa doszła. W tym czasie pokrój grillowaną paprykę w paski, cytrynę w cząstki, posiekaj pietruszkę. Podaj paellę na stół, podnieś ściereczkę, udekoruj papryką, cytryną i natką pietruszki. ☺☺

oprac. raw

Jolanta Kleser
była uczestniczką programu „MasterChef”,
jest autorką książek kulinarnych, założycielką studia kulinarnego Pracownia Smaku.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niedojedzone



FOT. ADRIAN STOK

Spleśniało, wyschło, pokryło się lepką mazią. Wyhodował się zielony kożuch pleśni, dostało bombażu, skończył się termin ważności. Jednym słowem – wyrzuciliśmy. Kto tak nie miał?

Co roku w Polsce wyrzuca się 9 mln ton żywności. W tej dyscyplinie zajmujemy niezbyt chlubne piąte miejsce w Unii Europejskiej. I marne pocieszenie, że jedzenie marnuje cały świat. Jedna trzecia globalnej produkcji – 1,3 mld ton – idzie na śmietnik. 222 mln ton żywności, które co roku do śmieci delegują Europa i Stany Zjednoczone, to cała jadalna produkcja Afryki Subsaharyjskiej.

„Liczyby, które szokują” – pisze Marta Sapała w książce „Na marne”. Jednak ta doskonała książka jest nie tylko o liczbach. Ona sięga głęboko do mechanizmów, pokazuje obrót żywności w systemie, w którym kupujemy jedzenie nie od producentów, tylko od dystrybutorów, z drugiej, trzeciej albo czwartej ręki. W supermarketach, wielkich sieciach. Jedzenie przetworzone, opakowane, oczyszczone, przetworzone. ☺☺



MARTA SAPAŁA
„NA MARNE”
WYDAWNICTWO CZARNE 2019



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wątpić nie potrzeba...

Ledwie kończymy cykl obchodów związanych ze stuleciem odzyskania niepodległości przez Polskę, a już weszliśmy w nowe, wynikające z kalendarza historycznego lat 2019–2020. Minęliśmy w pędzie 40. rocznicę I pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, jego przełomowe, otwierające historię Solidarności zawołanie o odmianę oblicza tej ziemi. Minęliśmy, także szybko, 30. rocznicę zwycięskich wyborów czerwcowych 1989 r. i zmieniającego ich sens hasła „Pacta sunt servanda”, użytego wtedy przez prof. Geremka dla uzasadnienia nadrzędności układu „z właścicielami PRL” nad werdyktem wyborczym milionów Polaków, którzy listę krajową tychże „właścicieli” jednoznacznie odrzucili. 450. rocznicy epokowej unii lubelskiej niemal nie zauważyliśmy. Pędzimy w kierunku 75. rocznicy powstania warszawskiego i 80. rocznicy wybuchu II wojny. Spieramy się już o to, do kogo należy symbol Westerplatte: do „wolnego miasta Gdańska” czy do Polski. Na horyzoncie mający coraz wyraźniej 100. rocznica wielkiego zwycięstwa, które zatrzymało pod Warszawą, w sierpniu 1920 r., armię bolszewików w pochodzie na Europę. Wcześniej czeka także 100. rocznica urodzin

największego z Polaków: Karola Wojtyły, czyli św. Jana Pawła II.

Ico? Nic. Rocznice śmigają, urzędnicy (rządowi, samorządowi, kościelni) „odfajkowują” ich uczczenie. Po stuleciu odzyskania niepodległości został tylko nieco dziwny pomysł odbudowania Pałacu Saskiego. Na stulecie Bitwy Warszawskiej władze warszawskie wciąż skutecznie blokują projekt zbudowania pomnika tego największego i najważniejszego z triumfów polskiego oręża w XX w. Ślimaczy się projekt budowy pomnika tam, gdzie samorządowcy go nie blokują, to jest w Ossowie. Hasło usypiania kopca Jana Pawła II, kopca narodowej wdzięczności i zgody, obok istniejących już kopców narodowej pamięci – Kościuszki i Piłsudskiego – budzi u „najwyższych czynników” tylko irytację albo politowanie.

Może słusznie? Może pamięć i jej trwałe znaki nie są nam potrzebne? Po co coś budować w sferze symbolicznej, która miałaby nas łączyć? Pozostaniemy podzieleni – połączeni tylko przez fakt używania tych samych przekleństw, jak to już kiedyś z goryczą zauważył poeta. Niewdzięczni wobec tego, co dały nam poprzednie pokolenia, niezdolni wyciągać nauki z ich zasług ani doświadczeń z ich błędów, pozostaniemy doskonale „self-entertaining” we wzajemnym rzucaniu wyzwisk?

Nie mam na to terapii. Mogę tylko przypominać kolejne okazje do przemyśleń, które niosą ze sobą kartki kalendarza, choćby z lata tego roku, przywołujące przez kolejne okrągłe rocznice sprawy naszej niepodległości, obywatelskiego współżycia i patriotyzmu. Może warto zatrzymać się 2 sierpnia przy 500. rocznicy bitwy pod Sokalem. To była bitwa przegrana. Sprzymierzeni z Moskwą Tatarzy rozbili tam wojska polsko-litewskie. Opiewać jeszcze jedną przegraną? Nie. Warto raczej

przypomnieć, że pamięć bohaterów, którzy wtedy Polskę próbowali zasłonić od tego najazdu, tak jak pamięć bohaterów Westerplatte 420 lat później (również przecież „przegranych”), zostawiła trwalszy od spizu testament: smutną fraszkę Kochanowskiego „Na Sokalskie mogiły” i myśl rozwiniętą potem w jego „Pieśni XII” (z „Ksiąg Wtórnych”): „A jeśli komu droga otwarta do nieba, / Tym, co służą ojczyźnie. Wątpić nie potrzeba...”

3 maja tego roku minęła też, całkowicie niepostrzeżenie, 200. rocznica założenia przez mjr. Waleriana Łukasińskiego Wolnomularstwa Narodowego – pierwszej organizacji spiskowej, która prowadzi już w prostej linii do walki o pełną niepodległość Polski, wyraża niezgodę na podległość wobec Rosji, na wprowadzoną przez jej namiestnika w Warszawie (też rocznica: 16 lipca 1819 r.) cenzury prewencyjnej w duchu carskiej satrapii. Łukasiński stanie wkrótce na czele Towarzystwa Patriotycznego. Aresztowany przez policję polityczną wielkiego księcia Konstantego w 1822 r., skazany na zakucie rąk i nóg w kajdany, wywieziony do najsroźszej w całym Imperium Rosyjskim twierdzy szlisselburskiej, spędził w niej, w pojedynczej celi, resztę życia. Dopiero w 1862 r. uzyskał prawo wyjścia z celi na więzienny spacer. Zmarł w 1868 r. – po 46 latach najsurowszego więzienia. Zostawił taki prosty testament: „Sto razy orężem Polaki mogą być zmuszeni do posłuszeństwa i sto razy powstawszy, walczyć będą z powiększonym zapalem za swoją niepodległość, dopóki nie zostaną wolnymi”. Może tyle powinniśmy w tych wszystkich rocznicach powtarzać i pamiętać. Bez bohaterów naszej niepodległości nie byłibyśmy dzisiaj wolni. Dlatego symboliczna o nich pamięć jest naszym obowiązkiem, zapomnienie – zdradą. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

*Wolne od Polaków miasto Gdańsk,
pod patronatem PO,
to nasze hasło wyborcze!*



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

W Bostonie tłok

W Bostonie tłok. Stoją grupą, patrzą, kontemplują. Czasem któryś wes-
technie, poruszy się, kobiety
lekką zarzucią włosami, ale
wszystko w ciszy. Przecież
to muzeum, a ludzie przybyli
tu są kulturalni, nie jakiś
motłoch. W ogóle przychodzi
państwu do głowy, żeby oni
tu przybyli? Wyobrażają sobie
państwo ich w muzeum? No
może. W końcu podnosi się im
stopa życiowa, na coraz więcej
ich stać, byt im poszerza
świadomość. W każdym razie
stoją w Bostonie, ci, którzy
stoją i patrzą. Mają potrzebę.
Nie jest prawdą, że stoją tu
kilka lat. Zaprzeczam. Ale
jakiś czas jednak stoją, gdyż
są świadomi. Sporo się ich tu
mieści jednorazowo, bo obraz
ma prawie 4 metry, więc jest
przestrzeń. Mają nadzieję, że
Paul Gauguin im odpowie:
„Skąd przychodzimy? Kim
jesteśmy? Dokąd zmierzamy?”

W tym arcydziele zaszytych
jest tyle pytań i tyle odpo-
wiedzi o kondycję, ale przede
wszystkim o tożsamość, że
polska opozycja, gromadząc
się, przynajmniej powie: „Gau-
guin, mamy problem”. Za bar-
dzo się opozycji rozciągnęła
tożsamość od prawej do lewej
i trzeba ją dookreślić w wy-
niku inspiracji oraz namysłu.
Niby trzeba się spieszyć, ale
jednak festina mówi, że lente.
Nie chciałbym czarno zerkać
w przyszłość opozycji, ale ten
obraz to tak od razu nie na-
straja ku radości. Ten cały Gau-
guin kazał interpretować od
prawej do lewej, a po prawej
dziecko śpiące na tym obrazie
słodko i wszystko przed nim,
a lewica (tego obrazu) to stara

baba, która wszystko przeżyła
i jest pogodzona ze wszystkim.
Niedobrze. Jest tam jednak
dużo więcej znaków, żeby na-
sza opozycja mogła odzyskać
tożsamość. Żeby mogła sobie
spójnie odpowiedzieć na pyta-
nia: „Skąd przybywamy? Kim
jesteśmy? Dokąd zmierzamy?”.
Bo na razie się rozmyło. Może
tę lewicę oderwać? A może coś
przyszyją? No nie wiem, co
na to Boston, ale różne rzeczy
zdarzają się w „Poszukiwaniu
straconej tożsamości”. Rośnie
jednak desperacja.

I na koniec jeszcze kró-
ciutko o podróżach, bo
przecież sezon wakacyjny.
Podróże zaczynają się często
od marzeń i od słów. Do
zagranicznych wojaży zachę-
cał młodzież wiceminister
oświaty Andrzej Stanisławek,
mówiąc: „Nie wiem, czy jest
jeszcze na to szansa, ale
może uczniowie, którzy nie
dostali się do żadnej szkoły,
mogą poszukać odpowied-
niej za granicą”. Te zachęty
spotkały się z żywą reakcją
samej zrobionej przez
reformę edukacji w konia
młodzieży, a także szefa pana
wiceministra, który zapropo-
nował panu Stanisławkowi,
żeby osobiście wziął udział
w podróżach, choć na począ-
tek w mniejszym, niemędzy-
narodowym zakresie. Zapro-
ponowano mu mianowicie,
żeby w trybie pospiesznym
wyemigrował z ministerstwa
na trawkę, co też się stało.
Ma więc Stanisławek Andrzej
wakacje, może sobie na
przykład poszukać mądrości
czy tożsamości w Bostonie,
czy gdzie tam chce. Nie wiem
jeszcze, czy zazdrości. ©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wojny futbolowe

Ponieważ w XXI w.
nic nie jest już po pro-
stu filmem, portalem
społecznościowym czy
grą komputerową – również
piłka nożna prędzej czy
później musiała zostać pasem
transmisyjnym ideologii. Tym
razem ubranej w zgrabne
hasło „Equal game – equal
pay” („Równa gra, równe
płace”). Rzecz dotyczy jednak
żeńskiego futbolu, o którym
zrobiło się głośno za sprawą
niedawno zakończonych
mistrzostw świata kobiet oraz
zwycięstwa reprezentacji USA.

„Nigdy dotąd nie oglądali-
śmy tak chętnie kobiecej piłki
jak podczas zakończonego
w niedzielę mundialu we
Francji. A przecież większość
zawodniczek zмага się nie
tylko z rywalkami, lecz także
z dyskryminacją i lekcewa-
żeniem” – napisał w tekście
okładkowym „Tygodnik
Powszechny”. „Kobiety w piłce
nożnej zarabiają mniej, bo
przynoszą mniejsze docho-
dy i zapewniają mniejszą
oglądalność niż mężczyźni
– przekonują wyznawcy
kapitalizmu. To wystarczający
powód, żeby płacić im mniej?”
– pytała „Krytyka Polityczna”.
W Stanach, gdzie liderką
emancypacji piłkarek została
królowa strzelców, zadekla-
rowana „antytrumpistka”
Megan Rapinoe, niektórzy idą
znacznie dalej. Demokratka
Alexandria Ocasio-Cortez
zateetowała nawet, że w po-
równaniu z sukcesami, które
odnosi kobieca reprezentacja,
powinna być opłacana przy-
najmniej dwukrotnie wyżej
niż męska.

Właśnie w tym kontekście
coraz częściej pada wspo-

mniany już argument „równej
płacy” oraz zarzut niepropor-
cjonalnego rozłożenia zysków.
W końcu nagrody w męskim
mundialu to łącznie ok.
400 mln dol., w żeńskim
ok. 30. Dlaczego świat godzi
się na tolerowanie tak rażącej
niesprawiedliwości? Może
dlatego, że piłkarki otrzymują
w ramach nagród ekwiwalent
13 proc. zysków z mundialu,
natomiast piłkarze 9 proc.?
I na tym właśnie polega
sprawiedliwość kapitalizmu,
że nie dzieli on po równo
jak socjalizm, bez względu
na efekty pracy. Przy okazji,
wiedzą państwo, że modelki
zarabiają średnio 10 razy
więcej od modeli? Gdyby fak-
tycznie żeńska reprezentacja
USA miała zarabiać po równo,
tak jak np. męskie zawodowe
kluby piłkarskie, najpierw
musiałaby umieć wygrać choć
z jednym z nich. Tymczasem
w sparingu przed mistrzo-
stwami przegrała z... 15-latką
mi z juniorów FC Dallas.

Cóż, jeśli brakuje argu-
mentów, zawsze można
jednak uciec w świat
lewicowych fantazji. Raz
jeszcze oddam głos „Krytyce
Politycznej”. „Piłka nożna
w wykonaniu kobiet to
także większa przestrzeń dla
różnorodności i równości. Po
boiskach we Francji biegało
40 wyautowanych lesbijek
i piłkarek biseksualnych. [...] Żeby
walczyć z dyskryminacją
kobiet w futbolu, musimy
zacząć promować żeński
futbol wbrew logice syste-
mu, który wyklucza piłkarki
z uwagi na uwarunkowania
biologiczne, a w najlepszym
razie – genderowe”. Piękne,
prawda? ©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

PiS zabija dzieci

ALEKSANDRA DULKIEWICZ: „Tej wiosny, niemal każdego dnia, dostawałam wiadomości o kolejnych próbach samobójczych w ostatnich klasach podstawówki czy gimnazjum. Presja dodatkowa na tych młodych ludzi, którą wytworzył rząd Prawa i Sprawiedliwości – nie boję się tego słowa użyć, bo oni są autorami tej reformy – a każą odpowiedzialność ponosić nam, samorządom. Trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje czyny”.

Trzeba przyznać, że jak na osobę, która deklaruje, iż chce łączyć, a nie dzielić, pomysły na zaistnienie w mediach Aleksandra Dulciewicz miewa oryginalne

Dopytywana przez dziennikarkę bynajmniej niesympatyzującą z PiS Dulciewicz potwierdziła, że o próby samobójcze uczniów obwinia swoich politycznych przeciwników. Trzeba przyznać, że jak na osobę, która przy każdej okazji deklaruje, iż chce łączyć, a nie dzielić, i jest kreowana przez opozycję na nową jakość

w polskiej polityce, pomysły na zaistnienie w mediach miewa oryginalne. Zbijanie politycznego kapitału na samobójstwach dzieci i młodzieży spodoba się tylko najbardziej zacietrzewionym.

Nie mam pojęcia, czy pani Dulciewicz powiedziała prawdę na temat liczby zgłoszeń, jakie do niej trafiały, więc nie wiem, czy w ogóle nastąpił wzrost w porównaniu z poprzednimi latami, ale skoro pani Dulciewicz koniecznie chce szukać winnych nasilającego się ponoć od wiosny zjawiska, może się wspólnie zastanowimy, co takiego się tej wiosny działo i jaki mogło to mieć wpływ na psychikę niedojrzałej młodzieży. Mam oczywiście na myśli strajk nauczycieli, przez który młodzież najpierw nie wiedziała, czy w ogóle będzie zdawać decydujące o dalszej nauce w wymarzonych liceach egzaminy, potem zdawała ten egzamin w atmosferze daleko odbiegającej od komfortu, który powinna mieć, aby zdać na maksimum swoich możliwości, a gdy już się jej udało egzaminy zdać, rzecznik praw obywatelskich ogłosił, że wcale niewykuczone jest ich unieważnienie, bo „pospieszne zmiany w organizacji egzaminów

szkolnych wprowadzane w reakcji na strajk nauczycieli mogą naruszać prawa obywatelskie”. Taką wiosnę zgotowali młodzieży nauczyciele, przy ogromnym wsparciu partii pani Dulciewicz, która zresztą obiecała strajkującym nauczycielom wypłacenie im za strajk „dodatków motywacyjnych”, żeby nie byli finansowo stratni na strajku, będącym koszmarem dla młodzieży przygotowującej się do ważnych egzaminów. Ciekawe, jaki to wszystko miało wpływ na psychikę młodzieży, a przede wszystkim na wyniki egzaminów tak ważnych w rekrutacji do wymarzonego liceum? Naprawdę chcemy się przerzucać odpowiedzialnością za to, w przypadku czego nawet nie wiemy, czy się wydarzyło, a jeśli tak, to jakie były tego przyczyny?

Skoło jednak pani prezydent wywołała temat fali samobójstw wśród gdańskiej młodzieży, zasadne jest pytanie, jakie kroki od wiosny podjęła, żeby im zapobiegać. Jako prezydent miasta ma całkiem sporo możliwości, głupio by było, gdyby się okazało, że jedyną jej reakcją było poskarżenie się w mediach, iż to wszystko „wina PiS”. ©

PODSŁUCHANE

O jeden podest za daleko

– ... i nie chcę nigdy więcej żadnych podestów, Beata. Żadnych.
– Beatko, nie denerwuj się tak. Przecież wiesz, że oni ci ten podest z dobrego serca...

– Czy ja jestem aż taka niska?
– No...

– Wiem, wysoka nie jestem. Ale bez przesady. Żeby mi podest jeszcze był potrzebny. W dodatku niebieski. Żeby chociaż w jakimś neutralnym kolorze, zlewający się z otoczeniem, ale nie. Niebieski musieli. Nawet nie pod kolor żakietu.

– Przecież ludzie cię kochają, tamci się tylko ośmieszili, dostałaś pół miliona głosów, następne wybory za pięć lat, mogą ci skoczyć na ten podest.

– Niby tak. Ale jak było głosowanie na przewodniczącą komisji, to

słyszałaś, co ci socjaliści do mnie pokrzykiwali? „Podest, podest”. Nawet Francuzi. Bo to łatwe słowo. Platformersi im donieśli. Widziałam, jak w kącie Arłukowicz ich uczył, jak to się wymawia. Więc żadnych podestów.

– Ale ja się przyglądałam sali plenarnej i tam jak się występuje inaczej niż z miejsca, to jest podest. Trzeba na niego wejść.

– Żadnych podestów! Powiedziałam. Będę mówić tylko z miejsca. Albo wcale. © Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polska jest kojarzona z eurofobią i fochami”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł PO i były szef MSZ, w rozmowie z Interię

fot. Jerzy Gumowski



Łomot (2)

Póździennikowo-listopadowe wybory samorządowe 2018 ukazały z dużą precyzją identyczność podziału elektoratu w wielkich miastach: w każdym z nich 2/3 to Salon, zaś 1/3 to antySalon. Wszelkie wysiłki kandydatów PiS-u pragnących zostać w metropoliach burmistrzami nie mogły przełamać tych zaklętych proporcji stosunku sił na wielkomiastowych arenach „wojny polsko-polskiej” — wszędzie tam dwóch spośród trzech mieszczuchów wspiera „opozycję totalną”. Według kontrSalonu te dwa mieszczuchy to oczywiście „wykształcuchy”, „ynteligencja”, „elyta” kulturowa III Rzeczypospolitej, a według Salonu ten jeden (czyli ja) to wieśniactwo, buractwo, oszołomstwo, czarna sotnia, w butach słoma, zakuta pała, vulgo: ciemnogród. Z ratuszów muszą oświeceni rządzić również tą ciemnotą małowierną, małeuropejską, małorolną, małozdolną. Lecz jak przyjeździe z zagranicy cudzoziemski dygnitarz — ścisiska w ratuszu dłoń światła (elitarną/establishmentową/mainstreamową), nawet (przy odrobinie szczęścia) pederalną, a nie jakąś plebejską grabę, więc nie ma wstydu. Można zatem dalej „kręcić lody” na kamienicach i ulicach. Tudzież vice versa: gdy Salon uważa, że głosujący zwolennicy PiS to mrowie „chamów” i „moherów” — pisowski elektorat uważa salonowców za puszcących się „bubków” i „dupków” z dyplomami/fotelami. Dla „symetrystów” tymczasem — obyczajowo i kulturowo rzecz biorąc — jedni są warci drugich, pierwsi bowiem kochają disco-polo i „operę mydlaną”, drudzy natomiast dewiacyjną politpoprawność oraz bluźnierczą tfurczość. Pierwsi konsumują foody-śmierciówki, a drudzy ośmiorniczki. Pierwsi zaśmiecają chodniki papierkami i petami, a drudzy je obsrywają przy pomocy swych czworonożnych pupilów. Sorry, takie mamy społeczeństwo, od samej góry do samego dołu — mówi „symetrysta”.

Co prawda Centrum Badań nad Upředzeniami (Uniwersytet Warszawski) orzekło parę miesięcy temu, iż w nadwiślańskim międzypartyjnym łomocie to opozycja, a nie PiS, przoduje jako fabryka „hejtu”, lecz kontrSalon nie pozostaje dłużny wrogom. Według antysalonowców salonowiec (członek lub sympatyk „Eine Totaloposition”) tęskniąc do państwowości zaczynającej się sylabą „Rze” ma na myśli „Rzeszę”, nie zaś „Rzeczpospolitą”. Ci sami antysalonowcy uważają, iż komiczne są próby grania mężów stanu przez delegatów PO czy PSL w Unii Europejskiej, bo robią to oni z identyczną klasą, z jaką w discopolowych „clipach” opuchłe spaślaki o prymitywnych kwadratowych ry-

lach udają czułych amantów. Antysalonowca zabija też śmiechem uniwersalna przepustka byłych członków/pracowników/zwolenników PiS-u (Ludwik Dorn, Kazimierz Marcinkiewicz, Michał Kamiński, Radosław Sikorski, Stefan Niesiołowski, etc.) do kręgu „opozycji totalnej”: demonstrowanie nienawiści wobec „Prezesa”. Robert Walenciak: „Wystarczy się zderzyć z J. Kaczyńskim, by wszystkie grzechy zostały wybaczone, przeszłość wybielona — by awansować do grona autorytetów” (2019). Wiecznym aspirującym jest tu adwokat tego towarzystwa, Roman Giertych, który ślini się i łasi do sztabu Salonu, lecz to nie będzie łatwa droga, bo salonowcy gardzą nim identycznie jak prawicowcy — salonowiec Henryk Martenka zwie go pogardliwie per: „polityczne zombie Giertych, były führer Wschepolaków, którego zawstydzające wślizgi i poślizgi...” (2019). Kolega Martenki z goszyżującej „Angory”, lewiciowiec Antoni Szpak, tak samo nie zostawia suchej nitki na Schetynie, zwąc go „paradnym, karykaturalnym, nadymanym, nabzdyczonym”, zarzucając mu „tupet i kłamliwe obietnice wyborcze”, a jego partii (PO) „budowanie na morzu biedy zielonej wyspy dla samych swoich”, wresz-



Wincenty Pol („O co chodzi?”):

„O co tyle walk i krzyków?

Ha! — o władzę tylko chodzi!”



cie tak kończąc: „Odpuść sobie, chłopie, tę teatralną totalną opozycję, przeproś wyborców, którzy wam zaufali, i zejź z politycznej sceny. No, chyba że masz, Grzesiu, w planach zostać grabarzem Platformy, wtedy nie rezygnuj, dalej wódzem bądź” (2017).

Prócz takich domowych wojenek u swych przeciwników pisowcy lubią także nadawać adwersarzom przydomki. „Jurny Stefan”, „Żalosiary Kaz”, „Mądry Ryszard”, „Gajowy Bronisław”, „Piekielny Donald”, „Analny Robert”, „Grzegorz Zniszczę Cię”, itp. Plus „Hanka od kamienic”, „Ewka od dinozaurów”, „Kaśka. Nowoczesna”, „Kryśka Och teatralna” (vel „Krycha Komedianka”), itp. Kolejna rzecz, którą ci złośliwcy lubią, to posługiwanie się cyframi, procentami, statystykami, etc. Twierdzą, że już w pierwszym roku (2016) obowiązywania programu 500+ na kilkunastodniowe letnie wakacje wyjechało 96% uczniów szkół podstawowych, gdy w roku 2015 (ostatnim roku rządów PO-PSL) tylko 63%. Bądź przypominają, że kiedy gabinet Beaty Szydło zaplanował roczny deficyt budżetowy wynoszący 13,2 mld zł — opozycja rzywała, iż to mord na ojczyźnie, śmierć Lechistanu. Ale kiedy rok później, dzięki trafnym decyzjom gospodarczym rządu i sprzyjającej koniunk-

turze, deficyt okazał się właściwie zerowy — opozycja zawyla, że to skandal, ekonomiczne barbarzyństwo, straszliwa krzywda dla kraju. Co znaczy, że każde dobrodziejstwo, jakie PiS wyrządza państwu i społeczeństwu — w opozycyjnym wariatkowie rytualnie zostaje uznane za zbrodnie przeciwko racji stanu i obywatelom. Natomiast każda obrona PiS-u to definicyjnie „mowa nienawiści”.

Wreszcie ikonologia. Ponieważ obie główne strony barykady mają swych guru (bożków, których przeciwnicy uważają za źródło wszelkiego zła), czyli swą żywą ikonę (Kaczyński oraz Tusk) — wszystkie pozostałe formacje też by chciały takowych mieć. Kukiz'15 swoistą namiastkę ma, chociaż fama rockmana już zwietrzała, zaś gloria polityka nie kwapi się do pana Pawła zbytnio. Ale co mają powiedzieć SLD, „Nowoczesna, Razem czy Teraz? O charyzmie można mówić jedynie w dwóch przypadkach kilku procentowych: Konfederacji (lider z muszką, charyzmatyczny dla neoendeków) i Wiosny (lider z pipuszką odtłocową, charyzmatyczny dla seksualnych farmazonów). Ten pierwszy ciągle się kompromituje wygadywaniem jakichś głupot (np. wciąż utrzymuje, że Hitler o Holocaustie nie miał błędnego pojęcia), a ten drugi zraża wielu Polaków lansowaniem głupot samochodowych (że tłok winien pracować w rurze wydechowej zamiast w cylindrze) i do tego ma brzydką przeszłość nie tylko pederalną. Prawie dwie dekady temu matka Roberta Biedronia poskarżyła się „organom” (policji, prokuraturze), że syn ją skatował, łamiąc jej szczękę, więc sprawa trafiła wtedy do króśnieńskiego Sądu Rejonowego. Lecz w świetle dzisiejszych „zeznań” tej pani (zawsze pilotowanej około mikrofonów i kamer przez syna) można wnioskować, że tamto złamanie i zgłoszenie pobicia to był żart, robiła sobie „jaja”, bo była zestresowana, a ukończony syn palcem jej nie tknął.

Takiej chytrej/sprytnej gadaniny pełno u opozycyjnych polityków. Vide Włodzimierz Cimoszewicz, który tego samego dnia gdy na pasach potrafił staruszkę samochodem (notabene niemającym badań technicznych) — dla spacyfikowania gniewu opinii publicznej szybko zawiadomił przedstawicieli mediów, że właśnie wykryto u niego raka (trzeba mu więc współczuć, miast go kłać). A propos przeklinania warto pamiętać, że pełen przekleństw łomot wśród polityków jest nie tylko międzypartyjny, bywa też wewnątrzpartyjny, gdy buldogi jakiejś (każdej) partii — jej frakcje, koterie, klany, sitwy — gryzą się pod dywanem. To zjawisko nieśmiertelne, znane od wieków, nierozwalnie związane z uprawianiem polityki. Cytując wyznane salonowej pisarki Manueli Gretkowskiej: „— Pewien stary senator powiedział mi, że w polityce każdy jest przeciw każdemu. Współdziałanie to zabawa na krótką metę. W końcu zostaje samiec alfa, który nie może mieć zaufania do nikogo” (2019). Fajny półświadek ta polityka. ©©

Waldemar Łysiak



DOBRZE CI SIĘ WYDAJE

Z KARTĄ KREDYTOWĄ PKO MASTERCARD PLATINUM

- Płać swobodnie **w każdej walucie** bez prowizji za przewalutowanie.
- Podróżuj spokojnie z prestiżowym **pakiem ubezpieczeniowym**.



Bank Polski



Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 12,30%, całkowita kwota kredytu 25 000 zł, całkowita kwota do zapłaty 26 624,77 zł, oprocentowanie zmienne 10%/rok, całkowity koszt kredytu 1 624,77 zł (w tym: opłata za obsługę karty kredytowej 250 zł, odsetki 1 374,77 zł, obligatoryjne ubezpieczenie na życie 0 zł), 12 miesięcznych rat równych po 2 218,73 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 17.05.2019 r. na reprezentatywnym przykładzie. Do obliczenia powyższych parametrów przyjęto, że limit w wysokości 25 000 zł został wykorzystany jednorazowo w całości poprzez dokonanie transakcji bezgotówkowej przy fizycznym użyciu karty (z wyłączeniem transakcji dokonanych w punktach oznaczonych jako kasyna gry, salony gier, zakłady bukmacherskie, loterie i totalizatory) w miesiącu, w którym klient ją otrzymał.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Szczegóły, w tym informacje o zakresie ubezpieczenia, wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdujące się w OWU oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne na www.pkobp.pl